12 non stop

MAGAZYN MUZYCZNY

Nr 12 (370) • GRUDZIEŃ 1989 • Cena 600 zł



Steve Tyler

AEROSMITH str. 14-15

- JETHRO TULL
- JANE'S ADDICTION
- KING'S X
- DEZERTER
- NIEMEN
- SHE

PL ISSN 0239-6904, Nr indeksu 36592



PLUSY I MINUSY

To nie będzie podsumowanie, ponieważ jednoznaczna ocena tego, co działo się w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy na naszym rynku muzyki rockowej jest zadaniem niewykonalnym. Dlatego też zrywamy z grudniową tradycją sażnistych referatów, chcąc zwrócić Waszą uwagę na kilka subiektywnie wybranych problemów, które stanowiły w mijającym roku plusy i minusy naszego życia muzycznego i wprost lub pośrednio zaważyły na jego kondycji i obrazie.

W górę:
- rozszerzenie zasięgu oddziaływania muzyki rockowej, który objął dokładnie cały kraj, powodując, że stała się ona jedną z najpopularniejszych form aktywności kulturalnej młodego pokolenia
- festiwal w Jarocinie, gdzie nadal najważniejsze jest tworzenie szansy publicznej prezentacji i weryfikacji umiejętności zespołom amatorskim oraz konsolidacja czegoś co nieprecyzyjnie można by określić mianem ruchu fanów rocka
- niemały udział rockowej reprezentacji na festiwalu w Sopocie oraz nowa formuła tej imprezy, której zadaniem było zainteresowanie ludzi show businessu sztuką opartą na zdrowych merkantylnych zasadach
- zniesienie przez MKiSZ siatki stawek i kategorii przy określaniu honorariów artystów
- rozwój prywatnych studiów nagraniowych i przyzwoity poziom ich produkcji
- ukazanie się szeregu debiutanckich płyt polskich zespołów rockowych oraz seria płyt licencyjnych artystów światowych wydana przez Polskie Nagrania
- obie „Zadymy"
- 50 urodziny Czesława Niemena, który udowodnił tym samym, że artyści mogą w Polsce żyć tak długo.

W dół:
- zmniejszenie przez rząd (poprzedni) o 50% środków na kulturę
- nieistnienie polskiego przemysłu rozrywkowego oraz brak działań w celu jego stworzenia
- rosnąca (czasowa i trwała) emigracja muzyków
- marny poziom festiwalu opolskiego, który ujawnił cały infantylizm naszej rozrywki
- prezentacja radzieckiego rocka w Sopocie (ze względu na sympatię dla dyrekcji i zobowiązania sojusznicze uznajemy to za wypadek przy pracy)
- brak polskiej muzyki rockowej w programach naszej TV
- nieistnienie systemu promocji młodych grup, szczególnie tych o debiucie płytowym
- brak prawdziwych gwiazd na polskiej scenie rockowej, co powoduje, że staje się ona szara i bezbarwna
- wysokie ceny prasy muzycznej, jej poziom edytorski i nieterminowe ukazywanie się (mimo że robimy co możemy)
- totalny brak pieniędzy na wszystko, a prawdziwa sztuka to po pierwsze pieniądze, po drugie dużo pieniędzy i po trzecie bardzo dużo pieniędzy.

Z tym bagażem polski rock rozpoczyna nowy rok. Jeśli problemy okażą się zbyt ciężkie i utonie on w głębokich wodach gospodarki rynkowej, nie omieszkamy Was o tym poinformować.

WOJCIECH S. KACZOROWSKI



DAWNIEJ „JAZZ"
rok zał. 1956

Nr 12 (370) ● GRUDZIEŃ 1989

REDAGUJE ZESPÓŁ:
Barbara Jóźwiak (sekretarz redakcji), Wiesław Królikowski, Wojciech S. Kaczorowski (redaktor naczelny), Ewa Marczyńska (z-ca sekretarza redakcji), Roman Rogowiecki (z-ca redaktora naczelnego), Jerzy Rzewuski, Jerzy Stokowski (fotoreporter). Redaktor techniczny: Katarzyna Malarska. Opracowanie graficzne: Zbigniew Karaszewski.

STALI WSPÓŁPRACOWNICY: Tomasz Beksiński, Grzegorz Brzozowicz, Monika Dzieran (foto), Jacek Marczyński, Przemysław Mroczek, Arkadiusz Pragłowski, Jakub Wojewódzki.

ADRES REDAKCJI: Magazyn Muzyczny, ul. Kredytowa 5/7 00-056 Warszawa, tel. 26-74-00.

WYDAWCA:
Warszawskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", 02-017 Warszawa, Al. Jerozolimskie 125/127.

DRUK: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72.

PL ISSN 0239-6904.
Nr indeksu 36592.
Zam. 8948. A-14.

WARUNKI PRENUMERATY:
1. Wpłaty na prenumeratę przyjmowane są tylko na okresy kwartalne.*
2. Cena prenumeraty na I kw. 1990 r. wynosi zł 1650.
3. Prenumerata ze zleceniem dostawy za granicę jest o 100% wyższa; w przypadku zlecenia dostawy drogą lotniczą – koszt dostawy lotniczej w pełni pokrywa prenumerator.
4. Wpłaty na prenumeratę przyjmują:
– oddziały RSW właściwe dla miejsca zamieszkania lub siedziby prenumeratora – odbioru zamówionych egzemplarzy dokonuje prenumerator w wyznaczonych punktach sprzedaży lub w inny, uzgodniony sposób.
– urzędy pocztowe i listonosze – od prenumeratorów z terenów wiejskich lub innych miejscowości, w których nie ma oddziałów RSW, a w miastach tylko od osób niepełnosprawnych – poczta zapewnia dostawę zamówionych egzemplarzy pod wskazany adres pod warunkiem uiszczenia dodatkowej opłaty za każdy doręczony egzemplarz – I kw. 1990 r. opłata wynosi 100 zł od egzemplarza,
– Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, 00-958 Warszawa, konto PBK XIII Oddział W-wa 370044–1195–139–11 – tylko od prenumeratorów zlecających dostawę za granicę.
5. Terminy przyjmowania prenumeraty:
– na kraj – do 20 XI na I kw. roku następnego
do 20 II na II kw.
do 20 V na III kw.
do 20 VIII na IV kw.
– na zagranicę – do 31 X na I kwartał oraz do 1 dnia każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.
* Uwaga: w odniesieniu do miesięczników i półroczników wpisać – półroczne, a roczników i częstotliwości nieokreślonych – roczne.

CAŁY TEN ZGIEŁK

HONORY I GESTY

■ Zaszczytu wejścia do **Rock'n'rollowego Panteonu Sławy** z siedzibą w Cleveland dostąpili w tym roku: **The Who,** czemu się trudno dziwić, zważywszy zwieńczone wielkim sukcesem jesienne tournée po Ameryce Północnej i ćwierć wieku istnienia; The Kinks liczący również 25 lat; The Platters (już choćby tylko za dwa superprzeboje lat 50., *Only You* i *The Great Pretender*); a także – Bobby Darin, Four Seasons, którego lider Frankie Valli miał udany powrót w tym roku, Four Tops – wciąż aktywny „czarny" kwartet wokalny, duet Simon And Garfunkel i Hank Ballard.

■ Listopadowe wydanie magazynu **„Life"** poświęcone zostało mijającym latom 80. W gronie pierwszoplanowych postaci dekady – obok aktorki Meryl Streep, wielebnego Jesse Jacksona, sędziego Sądu Najwyższego Sandry Day O'Connor, ministra zdrowia C. Everetta Coopa, Margaret Thatcher, Lecha Wałęsy i króla hokeja, Wayne'a Gretzky'ego – znaleźli się Billy Cosby, muzyk rockowy i organizator Live-Aid Bob Geldof, Michael Jackson i Madonna.

■ Najpoważniejszymi pretendentami do dorocznej, 10 nagrody za wybitne osiągnięcia w muzyce bluesowej **(Blues Music Award)** są płyty Etty James *(Seven Year Itch)*, Alberta Kinga *(Blues At Sunrise)* oraz Williego Dixona *(Hidden Charms)*.

■ Podobizna **Elvisa Presleya** znajduje się prawdopodobnie na jednym z pięciu znaczków pocztowych, tworzących serię poświęconą najwybitniejszym przedstawicielom muzyki amerykańskiej XX wieku. Filateliści muszą się jednak uzbroić w cierpliwość, bowiem edycja owej serii przewidziana jest dopiero na 1991 lub nawet 1992 rok.

■ Uczniowie Gardner Street Elementary School w Los Angeles przeżyli nie lada dreszczyk emocji, kiedy do ich skromnej „budy" zstąpił z wysokości sławy sam **Michael Jackson,** by 11 października wziąć udział w otwarciu nazwanej jego imieniem, przebudowanej sali widowiskowej. *To najszczęśliwsza chwila w moim życiu* – oświadczył z przekonaniem 31-letni gwiazdor, który właśnie w tej szkole zaliczył szóstą klasę w latach 1969–1970. Jackson prawdopodobnie weźmie udział w przygotowywanej trasie familijnej trupy The Jacksons, tymczasem zaś na liście przebojów znalazł się jego nowy singel, *Liberal Girl*.

■ Z inicjatywy **The Rolling Stones,** podczas koncertu w Coliseum w Los Angeles 18 października ustawiono wokół stadionu łańcuch stanowisk, w których zbierano datki na pomoc ofiarom trzęsienia ziemi.

MONEY, HONEY

■ Reaktywowany w oryginalnym składzie **Jefferson Airplane** może poszczycić się plikiem znakomitych recenzji z koncertów. Znacznie mniejszym powodzeniem cieszy się wszakże ich album o tytule będącym zarazem nazwą zespołu, a singel *Planes* – poparty świetnym video clipem – nie znalazł się nawet w pierwszej setce listy „Billboardu". Jak na ironię, mała płytka ostatniej reinkarnacji grupy Starship – *M's Not Enough* – z punktu wstrzeliła się na pozycję 15, wykazując tendencję zwyżkową.

■ Jeśli chodzi o wydawnictwa innych aktywnych na jesieni weteranów rocka i



CHER

pop, oczekiwań nie zawiedli The Rolling Stones, Bee Gees i Cher, ale wyniki sprzedaży płyt: *Tin Machine* Davida Bowiego, Carole King i Paula McCartneya okazały się co najmniej rozczarowujące. Dla przykładu, intensywnie reklamowany *Flowers In The Dirt* tego ostatniego rozszedł się w niezbyt pochlebnym nakładzie 500 000 egzemplarzy i nie przebił się nawet do Top 20 (w USA), a wykrojony z niego singel *This One* ulokował się zaledwie na 95 miejscu, po czym zniknął. Jak słusznie zauważył przed kilkoma miesiącami dziennikarz „Rolling Stone", *co innego mieć randkę ze starymi znajomymi „na mieście", a co innego – zaprosić ich do domu.*

■ Niezbyt popularny w Polsce **Randy Travis** wydał czwarty album, *No Holdin' Back*. Poprzednie trzy osiągnęły łączny nakład 8 milionów egzemplarzy.

■ Nagrania, za które autorzy i wydawcy brytyjscy zarobili w 1988 roku najwięcej pieniędzy na rynku amerykańskim: 1. *Get Out Of My Dreams, Get Into Ma Car* (Billy Ocean; Zomba Music); 2. *I Don't Want To Go On With You Like That* (Elton John; Big Pig Music); 3. *Hands To Heaven* (David Glasper, Ian Spice, Marcus Lillington, Michael Delahunty – czyli Breathe; Virgin Music); 4. *Wishing Well* (Sean Oliver – wyk.: Terence Trent D'Arby; Chrysalis Music); 5. *Flame* (Bob Mitchell – wyk.: Cheap Trick; Red Bus Music).

NA LINII FRONTU

■ **Gitarzysta Living Color, Vernon Reid,** stanął na czele kampanii, mającej na celu umieszczenie Jimiego Hendrixa na Chodniku Sławy na Hollywood Boulevard. Reid, który założył w Nowym Jorku Black Rock Coalition, wspierany jest przez nowo otwarty oddział tej organizacji w Los Angeles. Pierwsza petycja wysłana do hollywoodzkiej Chamber Of Commerce została załatwiona odmownie. BRC nie zamierza jednak kapitulować i gromadzi fundusze na dalszą walkę w 1990 r.

EAST – WEST

■ Na przełomie sierpnia i września radziecki zespół **Zvuki Mu** (którego brytyjski album ukazał się kilka miesięcy temu nakładem firmy Land), podczas tournée po Wschodnim Wybrzeżu USA, znalazł chwilę czasu, by wejść do studia ze znanym producentem muzyki House, Markiem Kaminsem. Efektem tej współpracy jest opublikowany w październiku singel *45 Zima*. Po powrocie z USA, Zvuki Mu odbyły cykl koncertów w Wielkiej Brytanii.

Z ŻYCIA MRÓWEK

■ Po cyklu wieczorów autorskich, związanych z publikacją książki *And The Ass Saw The Angel*, **Nick Cave i Bad Seeds** przystąpili do pracy nad nowym albumem. Tym razem nieobliczalny Nick i jego koledzy doszli do wniosku, iż najbardziej inspirującym ich otoczeniem będzie Brazylia.

■ **Prince** podjął się przemiksowania i dołożenia swoich pięciu groszy (a raczej – centów) do utworu *Gimme Your Love*, nagranego przez Arethę Franklin w duecie z odpoczywającym właśnie za kratkami Ojcem Chrzestnym Soulu, Jamesem Brownem.

NOWE MASKI

■ **Thomas Dolby** pojawi się na ekranie w roli Stanleya, szalonego właściciela zakładu pogrzebowego, w filmie *Rockular*. Tymczasem, jako producent, przygotowuje on kolejną płytę *Prefab Sprout* i czuwa nad nagraniem trzech utworów na nowy album Ofry Hazy, których jest współautorem.

■ 25 listopada amerykańska rozgłośnia National Public Radio nadała prapremierowe nagranie opery napisanej przez dawnego perkusistę The Police, **Stewarta Copelanda,** dokonane przez Cleveland Opera. *Holy Blood And Crescent Moon* – taki bowiem jest jej tytuł – rozgrywa się w scenerii Środkowego Wschodu, w czasach wypraw krzyżowych. Copeland nie jest jedynym emerytowanym Policjantem, próbującym swych sił w teatrze. Jego dawny kolega, Sting, występuje właśnie w National Theater w Waszyngtonie jako odtwórca jednej z głównych ról w nowej inscenizacji *Opery za 3 grosze* Brechta i Weilla.

■ Kompletując obsadę trzeciej części *Ojca chrzestnego*, Francis Ford Coppola bierze poważnie pod uwagę kandydaturę **Madonny.** Zdjęcia mają się rozpocząć pod koniec listopada – w chwili kiedy oddajemy ten numer do druku nie znamy jeszcze ostatecznej decyzji reżysera – bezzwłocznie poinformujemy o niej w następnej edycji „Zgiełku".

■ **Van Dyke Parks,** który niedawno uroczyście celebrował w Los Angeles – wraz z Brianem Wilsonem, Harrym Nilssonem, Chrisem Isaakiem, Sydem Strawem i innymi przyjaciółmi – wydanie piątej solowej płyty w 21-letniej karierze, *Tokyo Rose*, przygotowuje muzykę do filmu Jacka Nicholsona, *The Two Jakes*. W założeniu aktora-reżysera jest to dalszy ciąg głośnego obrazu Romana Polańskiego *Chinatown* z 1974 roku.

PRZETASOWANIA

■ Nieprawdziwa okazała się pogłoska o rozpadnięciu się **Fairground Attraction.** Jak podaje rzecznik prasowy grupy, po nieporozumieniach między Emmą Thompson i Markiem Nevinem co do ostatecznego kształtu przygotowywanego właśnie nowego albumu, obie strony doszły do satysfakcjonującego je porozumienia. Tymczasem Emma równolegle rozpoczyna karierę ekranową, jako odtwórczyni głównej roli kobiecej w telewizyjnym serialu *Your Cheating Heart*. Przewiduje się, iż zdjęcia zakończą się w grudniu 1990 roku.



FAIRGROUND ATTRACTION

■ Prasa amerykańska obwieściła w październiku koniec żeńskiej formacji **The Bangles.** *Nie wydaje się, byśmy były zadowolone z siebie* – stwierdziła na łamach dziennika „USA Today" wokalistka Susanne Hoffs. – *Przez dziewięć lat dawałyśmy sobie nawzajem tak wiele, iż zaczęło to przypominać małżeństwo – długie małżeństwo.* Być może reporterzy z USA zinterpretowali te słowa opacznie, bowiem w „New Musical Express" owa informacja została zdementowana. Mówi się natomiast o rocznej przerwie w działalności – długich wakacjach po wyczerpującym tournée. Ostatni album The Bangles, *Everything*, rozszedł się w liczbie 1,2 miliona egzemplarzy, a jeden z wybranych z niego na singel utworów, *Eternal Flame*, wspiął się na wierzchołek listy tygodnika „Billboard".

■ Nie jest wykluczone, iż wakujące po śmierci Roya Orbisona miejsce w wesołej kompanii **Traveling Wilburys** zajmie inna popularna na przełomie lat 50. i 60. postać – Del Shannon. Do podobnych spekulacji skłania fakt, iż Shannon współpracował z Tomem Pettym i Jeffem Lynnem przy nagrywaniu swojego nowego singla, a George Harrison i Bob Dylan już kilkakrotnie konferowali na temat reaktywowania tej efemerycznej grupy.

■ Wszystko wskazuje na to, iż w 1990 roku ukaże się nowa płyta zespołu **Japan.** David Sylvian, Steve Jansen, Richard Barbieri i Mick Karn wznowili współpracę i zapowiadają, iż ich nowy produkt będzie miał charakter „eksperymentalny". Przypomnijmy, że Japan rozpadł się w 1981 roku, po wydaniu albumu *Tin Drum*.

■ Grupa **Big Country** poszukuje nowego perkusisty. We wrześniu opuścił ją bowiem Mark Brzezicki, by rozpocząć solową karierę.



BIG COUNTRY

■ Nazwę **Max Q** wybrał duet złożony z Michaela Hutchence'a z INXS i „podziemnego" australijskiego muzyka, Olliego Olsena. Dyskografię tej formacji otwiera singel *Way Of The World* z albumu *Max Q*.

■ **Phil Thornalley,** producent, niegdyś członek The Cure, został nowym wokalistą grupy **Johnny Hates Jazz.**

■ **Billy MacKenzie,** współzałożyciel i podpora The Associates, podpisał kontrakt z firmą Circa, należącą do Virgin Records. Obecnie przygotowuje pod opieką Juliana Mandelsohna album solowy, który ukaże się na początku przyszłego roku.

■ Koniec kariery obwieściła grupa **Syndicate,** a stało się to ledwie miesiąc po ukazaniu się jej debiutanckiego albumu *Keep*.

ŻYCIE W WIRÓWCE

■ Gitarzysta The Rolling Stones, **Keith Richards,** oświadczył w wywiadzie udzielonym BBC, że ostatecznie zerwał z nałogiem heroinowym, aby jego *dzieci nigdy więcej nie były świadkami nalotów policji na jego dom. Cały czas uciekałem* – wspomina burzliwe lata 70., kiedy mieszkał z niemiecką aktorką Anitą Pallenberg, matką jego dwojga dzieci. – *Moje dzieciaki dorastały, przyzwyczajając się do wpuszczania do domu całych hord policjantów.*

■ Zamiast tournée po USA w towarzystwie gwiazdy – Boba Dylana, **Shane MacGowan** wybrał wagary. Po prostu, zniknął, czego powodem – jak się okazało – było skrajne wyczerpanie nerwowe. Obowiązki lidera i pierwszego wokalisty The Pogues pełnił przez sześć wieczorów Spider Stacy. MacGowan dołączył do zespołu w Dallas – na pierwszy koncert rozpoczynający właściwą, trzytygodniową trasę swojej formacji, gdy ona (a nie Dylan) była główną atrakcją.

CRIMINAL TANGO

■ Syn nieżyjącego już piosenkarza, **Bobby'ego Darina** wytoczył proces koncernowi McDonald's Corp. o odszkodowanie w wysokości 10 milionów dolarów. Jego zdaniem, sieć restauracji McDonalda kopiowała bezczelnie w swych reklamach telewizyjnych „Mac Tonight" charakterystyczną dla Dariana interpretację standardu *Mack The Knife* – wielkiego przeboju z 1959 roku.

OBRAZKI

● Ten zespół ma tylu fanów, że sukces koncertowego filmu, wydanego na kasecie jest gwarantowany. Mowa oczywiście o **THE MISSION** i nakręconym podczas tournée po Ameryce Południowej obrazie dokumentalnym *South America*, reżyserowanym przez Craiga Adamsa, Wayne'a Husseya i Tony'ego Perrina (60 min; Mish Productions).

● Wytwórnia Virgin uruchomiła ostatnio nową serię wydawniczą Fotodisk. Jej katalog inaugurują trzy pozycje koncertowe: ***CELTIC FROST:*** *Live At The Hammersmith Odeon* (występ w marcu 1989 r.; 60 min), ***URIAH HEEP:*** *Raging Through The Silence* (koncert w londyńskiej Astorii 18 maja br.; 104 min) oraz ***IAN GILLAN IS GARTH ROCKET AND THE MOONSHINERS:*** *Live At The Ritz* (zakończenie tournée po Anglii w manchesterskim klubie Ritz w maju br.; 105 min).

● Skoro już jesteśmy przy Virgin, dodać należy nowe, opublikowane przez nią kasety: drugą część składanki *Glam Rock*, przypominającej m.in. Gary'ego Glittera, The Sweet, T. Rex, Alvina Stardusta, Sparks, Alice'a Coopera i Mud (52 min) oraz ***NEW ORDER:*** *Substance 1989* (zestaw 7 videoclipów; 40 min).



GARY GLITTER

● Channel 5, czyli PolyGram Video, przejął dystrybucję firmy Spectrum. Efektem jest wznowienie czterech tytułów: ***BOB MARLEY AND THE WALLERS:*** *Legend* (składanka 13 utworów; 57 min), ***RUSH:*** *Thru The Camera's Eye* (koncert; 43 min), ***GRACE JONES:*** *A One Man Show* (koncert; 47 min) oraz ***MAGNUM:*** *On The Wings Of...* koncert; 69 min).

● Jeśli zaś chodzi o własną produkcję, Channel 5 ma wyjątkowo tylko jeden film: ***SHAKESPEAR'S SISTER:*** *Sacred Heart*, na który składają się dwa clipy oraz materiał nakręcony podczas występu w ZSRR (30 min).

● PMI, czyli wydawnictwa koncernu EMI, oferują zestaw 8 teledysków grupy **NEW MODEL**



NEW MODEL ARMY

ARMY, zatytułowany *Videos 86–89* (30 min), ***ROBERT PALMER:*** *Supernova* (50 min), a zasłużona seria Music Club-Video Collection przypomina ***QUEEN:*** *We Will Rock You* (90 min) – doskonałe uzupełnienie opublikowanego przed kilkoma miesiącami ***QUEEN:*** *Rare Live* (60 min; PMI)

● Przez cały okres swej długiej kariery, **PAUL McCARTNEY** z powodzeniem starał się, by publiczność nigdy o nim nie zapominała. Ostatnim tego dowodem, wiążącym się zresztą w wielkim światowym tournée, jest dokumentalny film telewizyjny *Put It There*, którego premierowa emisja odbyła się w listopadzie. Jest on osiągalny na kasecie wydanej przez MPL i zawiera, oprócz fragmentów wywiadów, aż 23 piosenki (65 min).

● Z ukazaniem się nowego albumu grupy **AEROSMITH,** *Pump*, zbiega się reedycja zapisu koncertu zespołu w Dallas w 1978 roku, *Live Texxas '78* (CMV). Podobny cel przyświecał wydaniu *Thru The Barricades* formacji **SPANDAU BALLET** (72 min; CMV).

● Wśród innych nowości video wyróżniają się: ***THE BLOW MONKEYS:*** *Choices – The Video Collection* (zestaw 14 utworów; 60 min; BMG), ***LOVE AND ROCKETS:*** *The Haunted Fishtank* (Beggars Banquet-PVG), ***PREFAB SPROUT:*** *From Langley Park To Hollywood* (6 utworów; 30 min; CMV), ***WOMACK AND WOMACK:*** *Celebrate The World* (10 utworów; 65 min; Island Visual Arts) oraz godzinny zapis występu różnych wykonawców pt. *AIMS Gala – Royal Albert Hall*, w tym Chrissie Hynde, Elvisa Costello, Chrisa Rea, Terence'a Trenta D'Arby'ego, Ronniego Wooda, Phila Collinsa, Iana Dury'ego i Billa Wymana (Odyssey).



WOMACK & WOMACK

● Castle Hendring Video poszerzył swój katalog o ***BO DIDDLEY AND FRIENDS,*** koncert pioniera rocka z udziałem Rona Wooda, Kenny'ego Jonesa, Micka Fleetwooda i Ronniego Lane'a; ***JOHN LEE HOOKER AND FRIENDS SURVIVORS:*** *The Blues Today*; ***JIMMY CLIFF:*** *Bongo Man*; ***MEZZOFORTE:*** *High Voltage* oraz ***IAN MATTHEWS:*** London Revisited.

33 1/3

★ Trzeci – jeśli nie liczyć składanki *Barbed Wire Kisses* – album **The Jesus And Mary Chain** nosi tytuł *Automatic*. Świetne recenzje. (Blanco Y Negro-WEA).

★ Pracowali długo i z poświęceniem, aby druga płyta cieszyła się równym powodzeniem jak pierwsza sprzed ponad dwóch lat. W



CURIOSITY KILLED THE CAT

październiku **Curiosity Killed The Cat** wydali *Getahead* (Mercury). Z innych pieszczochów masowej publiczności mamy jeszcze **Bros** z *The Time* (CBS) i **Wet Wet Wet** z *Holding Back The River* (Precious-Phonogram).

★ Po błyskotliwym sukcesie na początku lat 80., gwiazda **Adama Anta** jakby nieco przygasła. Czy rozjarzy się na nowo, niedługo zdecydują nabywcy jego nowego krążka, *Manners And Physique* (MCA).

★ Wielkim i miły zaskoczeniem jest solowy album znanego producenta, **Daniela Lanois** (U2, Peter Gabriel, Robbie Robertson, a ostatnio – Bob Dylan). Jego tytuł – *Acadie* (WEA).

★ Po cokolwiek rozczarowującym ubiegłorocznym *69*, **A.R. Kane** poszli na całość. Proponują długi, bowiem aż dwupłytowy zbiór o bardzo króciutkim tytule – *I* (Rough Trade).

★ Czasy hegemonii mężczyzn w muzyce rockowej dawno minęły. Kobietki atakują ostro i skutecznie, choć używają broni o bardzo różnym kalibrze. Z królestwa dzielnych Amazonek tej jesieni otrzymaliśmy *Crossroads* **Tracy Chapman** (Elektra), *Bound By The Beauty* – **Jane Siberry** (Reprise-Duke Street), *Nina Hagen* – **Niny Hagen** (Mercury), *Strange Angels* ekscentrycznej **Laurie Anderson** (Warner Bros), *Stay With Me* **Reginy Belle** (CBS), *Flying Cowboys* **Rickie Lee Jones** (Geffen), *Crazy* **Kym Mazelle** (Syncopate), *Cry Like A Rainstorm* **Lindy Ronstadt** (Elektra) oraz trzy krążki trzech bardzo różnych formacji: *Cheers You Lot!* heavymetalowej **Girlschool** (Razor), *Griller* skłaniającego się ku awangardzie nowojorskiego tria **Ut** (Blast First) i *The Sigles Album* z taneczną tapetą grupy **Gladys Knight And The Pips** (PolyGram).

★ Na deser zostawiamy sobie dwa wielkie sukcesy – płyty *Janet Jackson's Rhythm Nation 1814*, oczywiście, **Janet Jackson** (A+M) i *Enjoy Yourself* **Kylie Minogue** (PWL), która – jak należało się spodziewać – w październiku znalazła się na pierwszym miejscu brytyjskich list, komercyjnej i niezależnej.

★ Zapowiadany na jesień nowy album **The Primitives** nosi tytuł *Pure* (RCA)

★ **The Creatures** miały być w założeniu jednorazową ekstrawagancją Siouxsie i perkusisty The Banshees, Budgieego. Oboje wszakże postanowili ten duet reaktywować, a rezultatem jest LP *Boomerang*, poprzedzony edycją singla *Standing There* (Wonderland-Polydor).

★ Jak się okazuje, **The Sex Pistols** to nie tylko historia. Całkiem już poważna, „pośmiertna" dyskografia zespołu wzbogaciła się o dwa nowe tytuły: *No Future U.K.* (Reciver) i składankę *Flair* firmy Confection Mike'a Alwaya, ongiś założyciela El Records.

★ Ćwierć wieku działalności grupa **The Kinks** nie ma zamiaru obchodzić wyłącznie wydaniem kolejnej, bodaj najlepszej wśród niezliczonej ich ilości, składanki *The Ultimate Collection* (Castle Communication). W sklepach pojawił się nowy, 29 album *UK Jive* (drugi dla wytwórni London), którym weterani brytyjskiego rocka mają nadzieję wrócić do łask rodzimej publiczności.

★ 12 lat istnienia formacja **The Mekons** obchodzi wydaniem EP *The Dream And Lie Of The Mekons* i LP *The Mekons Rock'n'Roll* (Blast First).

★ Skoro już wspomnieliśmy o Blast First, warto dodać, że jednym z najnowszych nabytków tej zasłużonej i uwielbiającej ryzykowne posunięcia firmy jest **Sun Ra**, który w nowych barwach debiutuje retrospektywną składanką *Out There A Minute*.

★ Niegdyś członkowie mniej lub bardziej znanych zespołów, dziś – soliści: **Terry Hall** (b. wokalista Colourfield) – *Ultra Modern Nursery Rhymes* (Chrysalis); **Michael Monroe** (niegdyś niesforny frontman Hanoi Rocks) – *No Fakin' It* (Vertigo-Phonogram); **Exene Cervenka** (wokalistka kalifornijskiej, nie istniejącej już formacji X – choć kobieta, zaliczyliśmy ją do tej kategorii) – *Old Wives' Tales* (Rhino); **Steve Jones** (który jakoś nie może się zmobilizować od czasu rozpadnięcia się The Sex Pistols) – *Fire And Gasoline* (MCA), **Adrian Borland** (ex-The Sound) – *Alexandria* (Play It Again Sam); **Jake Waterson** (b. basista Green On Red) – *Whose Dog?* (World Service); **Grant Hart** (dawniej perkusista Hüsker Dü) – *Intolerance* (Rough Trade); **The Bounty Hunters** (grupa założona przez b. członka Dogs D'Amour, Dave'a Kusworthа i Nikkiego Suddena) – *Threads* (Creation).

★ Jeśli zespół nosi nazwę **Erasure**, pierwsze miejsce na liście bestsellerów w pierwszym podejściu jest gwarantowane. 28 października album *Wild!* z punktu zajął tę właśnie zaszczytną pozycję, detronizując Kylie Minogue, mając wszakże poważną konkurencję w postaci *The Sensual World* Kate Bush na drugim miejscu. (Mute).

★ Po udanym powrocie Fairport Convention przed kilkoma miesiącami, przypomina o sobie inny weteran brytyjskiego folk-rocka, **Steeleye Span**, płytą *Tempted And Tried* (Chrysalis).

★ Podobnie jak Adam Ant, o odzyskaniu dawnej popularności marzą uwielbiani niegdyś **Thompson Twins** – *Big Trash* (WEA), **Spandau Ballet** – *Heart Like A Sky* (CBS), **Gary Numan** – *Skin Mechanic* (IRS), **Blues Band** – *Back For More* (Ariola), **The Monkees** – *Idolized, Plasticised* (Discussion) i **Ten Years After** – *About Time* (Chrysalis).

★ Weterani acid rocka, **Grateful Dead**, także nie próżnują oferując potężnej rzeszy swych fanów nowy krążek, *Built To Last* (Arista).

★ Legendarny i niezwykle wpływowy, otoczony swoistym kultem **J.J. Cale** przypomina o sobie albumem *Travel Log*, wydanym przez prężnie rozwijającą się niezależną firmę Silvertone.

★ Inny **Cale**, tym razem **John** – współzałożyciel mitycznego Velvet Underground w latach 60. – postanowił utrwalić na winylu *Suitę falklandzką* – ambitną orkiestrową ilustrację poezji Dylana Thomasa. Płyta nosi tytuł *Words For The Dying* i została nagrana w Moskwie przez Briana Eno, dla jego wytwórni Land.

★ Skoro zahaczyliśmy o ZSRR, zawiadamiamy, że jedna z wiodących formacji z tego kraju, **Gorky Park**, może się poszczycić opublikowanym przez CBS, zarejestrowanym w USA, albumem *Gorky Park*.

★ Agresywna, wściekła Ameryka unika wszakże – jak Biafra – rozdrapywania starych ran. Atakuje ostro, oferując chyba najciekawszą, najbardziej ekscytującą muzykę końca dekady lat 80. Mamy więc tym razem *Harder Then You* – **24-7 SPYZ**, *Drugs Are Nice* – **Suckdog** (Suckdog), *Disco Rigido* – **Die Warzau** z Chicago (Fiction), *Wake Me When It's Over* – **Faster Pussycat** (Elektra), *Fungent Stench* – **Fungent Stench** (Nuclear Blast), *Fun And Games* – **The Connels** (Demon), *Louder Then Love* – **Soundgarden** (A+M), *Roadmouth* – **The Fluid** z Seattle (Sub Pop-Glitterhouse), *Mudhoney* – **Mudhoney**, także z Seattle (Glitterhouse), mini-album *Salt Lick* byłego rzeźnika z tegoż miasta, **Tada** (Sub Pop-Glitterhouse),

Krzyki i Szepty

★ Coraz większą popularność zdobywa młoda warszawska grupa **Oczy Amelki** występująca w składzie: Grzegorz Kluska ex-Róże Europy (gb), Paweł Pękalski ex-Cold War i Idee Fix (g, voc.), Grzegorz Marczak (g), Witek Kwiatkowski (dr), Ryszard Wojciul ex-Róże Europy, aktualnie SPA (klawisze, saxofon).

★ Nową wokalistką grupy Bruno Wątpliwy została **Katarzyna Ziemlak.**



YA Fot.: WITOLD ALBIŃSKI

★ Podczas ostatniej edycji Rocku Pokoju zadebiutowała utworzona w 1987 roku w Inowrocławiu grupa **YA,** którą tworzą: Remigiusz Juśkiewicz (kdb, voc), Jarosław Lewandowski (b), Jacek Czerwiński (dr), Bobby X (voc, g.)

★ Nowym klawiszowcem grupy **DAAB** został, w miejsce Waldemara Deski, były muzyk grupy Dada, Witold „Prezes" Badeński.

★ W grudniu do studia w celu realizacji swej pierwszej płyty długogrającej wchodzą **Chłopcy z Placu Broni.**

★ Podczas ostatniej „Zadymy" zaznaczyła swą obecność coraz ciekawsza scena rockowa Stalowej Woli, którą tworzą m.in. Zaczarowany Ołówek, Beat Brothers, Blockheads and Rockers, Der Serdel, Pechadonna.

★ 16 października na Ochocie z samochodu Łada skradziono wzmacniacz basowy **Ibanez GX 60B.** Uczciwy złodziej proszony o kontakt z **Jackiem Klattem,** tel. 10-51-88 Warszawa.

★ Warszawski Klub Młodej Sztuki to organizacja skupiająca młodych ludzi zajmujących się kulturą (literatów, muzyków, plastyków, dziennikarzy, krytyków etc.). Powołaniem klubu jest promocja młodego środowiska twórczego, uruchomienie własnych serii wydawniczych, organizacja występów, koncertów oraz odpowiednia ich reklama. Adres dla korespondentów: WKMS, Warszawa 86, skrytka pocztowa 86.

★ Oto wyniki mini-ankiety pt. **„10 lat Polskiego Punk Rocka",** którą przeprowadziliśmy wśród publiczności ostatniej „Zadymy" na Torwarze:

1. Ojcowie chrzestni: Tomek Lipiński, Robert Brylewski
2. Największa osobowość: Tomasz Budzyński
3. Autor tekstów: Tomasz Lipiński, Tomasz Budzyński
4. Wokalista: Tomasz Budzyński
5. Gitarzysta: Tomasz Lipiński



TOMASZ LIPIŃSKI wraz z rodziną



TOMASZ KOŻUCHOWSKI

Fot.: TOMASZ LIPIŃSKI

6. Basista: Marcin Ciempiel
7. Perkusista: Tomasz Kożuchowski (Gogo)
8. Zespół: TILT
9. Nadzieja: Armia.

★ W trakcie koncertu Lady Pank we Lwowie, podczas imprezy Footbal Show, organizowanej przez Teleexpress, basista grupy **Bodek Kowalewski** złamał nogę. Życzymy szybkiego powrotu do zdrowia.

★ Poznański **Lombard** znalazł się w dalekim Iraku, gdzie wystąpił na III Festiwalu Babilońskim. Grupa była jedynym zespołem rockowym i została przyjęta z dużym zainteresowaniem.

★ **Mechanik** nagrał materiał na nową płytę, który wydany został, jak na razie, na kasecie zatytułowanej *Mechanik Szuja*.

★ We wrześniu br. **Grupa Teatr Dźwięku Atman** brała udział w East Festival w Szeged na Węgrzech. Organizatorem tygodniowego spotkania teatrów alternatywnych z Anglii, Holandii, Włoch, Danii, ZSRR, Jugosławii, Węgier, Bułgarii i Polski było Europejskie Zrzeszenie Teatrów Studenckich. Po powrocie z East Festival, Atman, wspólnie z ekipą TV Kraków i Ośrodkiem Teatru Warsztatowa z Tarnowa zrealizował film pt. *Muzyka Pełna Herbaty*. W filmie, obok muzyki grupy, wykorzystano fragmenty warsztatu ekologicznego Joanny Macy z USA oraz mowę wodza Indian Seatle. Film jest pierwszym zrealizowanym w Polsce dokumentem przybliżającym nurt Ekologii Głębokiej (Deep Ecology). Obecnie grupa przygotowuje się do udziału w międzynarodowym projekcie „Droga do Delf", firmowanym przez Międzynarodową Federację Teatru Niezależnego. Na początku przyszłego roku grupa zamierza zrealizować trzecią sesję nagraniową już bez nadziei na wydanie tego materiału w kraju.

★ PAA „Pagart" uhonorowała tragicznie zmarłego wspaniałego muzyka, Wacława Kisielewskiego. **„Vacek"** ma być doroczną nagrodą dla najbardziej interesującego muzyka lub zespołu. Pierwszym laureatem została jazzowa grupa Young Power. „MM" gratuluje laureatom i życzy, by młoda siła polskiego jazzu nawiązała do międzynarodowej kariery Wacka Kisielewskiego.

Z Wystawy i Spod Lady

● Po dziesięcioletniej przerwie ukazał się nowy longplay **Czesława Niemena,** od dawna już zapowiadana *Terra deflorata*. Tym, którzy lubią Niemena, płyta powinna się spodobać. A czy przysporzy mu nowych zwolenników – zobaczymy; Veriton, SXV 1001.

● Jeszcze trochę rocka z Veritonu. Firma ta wydała dwupłytowy album z nagraniami z „Letniej zadymy w środku zimy", która odbyła się w styczniu zeszłego roku w warszawskiej „Stodole". Udało się zachować coś z niepowtarzalnej atmosfery tej imprezy, a pokazują tu swe możliwości w cudzym repertuarze sprzed lat tacy wykonawcy jak Voo Voo, Recydywa, De Mono, T.Love, Tomek Lipiński czy Wawel Underground; SXV 1004/1–2.

● Jeśli już jesteśmy przy płytach koncertowych, to Polskie Nagrania opublikowały na 3 longplayach Jarocin '88. Niestety, wszystkich uwzględnionych uczestników potraktowano zgoła mechanicznie, jednakowo (każda grupa ma po jednym utworze) i pomieszano ich produkcje w trudny do uzasadnienia sposób; spowodowało to, że wydawnictwo straciło wiele z uroku, który mieć mogło. No i jeszcze cena. Rekordowo wysoka: 15 tys. zł; Muza SX 2777–9.

● Grupa **KSU** – odkrycie rodzimego punku z 1980 r. – w końcu doczekała się longplaya. To, co dziś proponuje, jest swoistym „postpunkiem" i może też zainteresować. Przynajmniej jako autentyk; KSU, Pronit, PLP 0096.

● Dzięki Pronitowi trafiła na rynek polska wersja wydanej na Zachodzie płyty **Turbo,** *Last Warrior*. Longplay, wydany – niestety – w zmienionej kopercie, potwierdza, że grupa rzetelnie opanowała arkana thrashu, ale też nadal ma słabość do metalu z lat siedemdziesiątych; *Ostatni wojownik*, PLP 0095.

● Licencyjny przebój z Tonpressu: *Lonely Is An Eyesore*, wybór nagrań najlepszych zespołów tak cenionej u nas wytwórni 4 AD – jak **Colourbox, This Mortal Coil, Wolfgang Press, Cocteau Twins, Dead Can Dace, Throwing Muses, Clan Of Xymox** (SX-T145).

● I jeszcze licencja z Wifonu: longplay angielskiej grupy The Woodentops, z kolei lansowanej przez Rough Trade; *Wooden Foot Cops On The Highway*, LP-144.

● W czasie Jazz Jamboree przeżyliśmy kompaktową eksplozję. Do sprzedaży trafiły – niestety, w mikroskopijnych ilościach i w cenie 38 tys. zł za sztukę – kompakty z muzyką z serii Polish Jazz. Na 15 płytach ukazały się próbki talentu naszych najlepszych jazzmenów: **Jana „Ptaszyna" Wróblewskiego, Andrzeja Trzaskowskiego, Krzysztofa Komedy, Zbigniewa Namysłowskiego, Jazz Band Ballu, Novi, Old Timersów, Tomasza Stańki, Michała Urbaniaka, Adama Makowicza, Krzysztofa Zgrai, Laboratorium, Jarosława Śmietany i Vistuli River Brass Bandu,** a ponadto – **Stanisława Sojki** i **Ewy Bem** (na jednym, wspólnym CD); edycje te są rezultatem porozumienia między Polskimi Nagraniami a brytyjską firmą Discotronics (PN CD 0024–38).

AEROSMITH, THE CULT

Berlin, Deutschlandhalle, 1.11.1989 r.

O mały włos nie doszłoby do tej relacji. Pomyłkowo udałem się w podróż z paszportem ważnym tylko na „demoludy". Byłem tak nieświadomy tego, co posiadam w kieszeni, że zostałem wykryty dopiero na ostatniej (trzeciej) bramce kontrolnej na granicy jednego miasta. Dla nieuświadomionych dodam, że po drugiej stronie muru nikt nie pyta o dokumenty. Całe szczęście, że w naszej ambasadzie spotkałem człowieka (pana R. Podsiadlika – serdecznie dziękuję!), który dostrzegł zmiany zachodzące w kraju i zaoferował mi pomoc. W ten sposób nie tylko celnicy dowiedzieli się, że za ścianą będzie niezła rock'n'rollowa zadyma, ale również NRD-owskie ministerstwo spraw zagranicznych!

Deutschlandhalle przypomina katowicki Spodek, lecz niestety, tym razem zapełniła się zaledwie w połowie. Taki zestaw rockowych wymiataczy nie tylko mnie przyprawił o zawrót głowy, bo przykładowo w Londynie każdy z zespołów grałby po dwa wieczory w Wembley Arena, co w sumie daje około 60 tys. widzów. Cóż, Niemcy chyba bardziej nadają się do picia piwa niż słuchania tej muzyki, co potwierdzili jeszcze swym ślamazarnym zachowaniem w trakcie występów. Tyle narzekań, bowiem pozostałe wrażenia jeszcze dziś przyprawiają mnie o dreszcze.

Obawiałem się występu The Cult, gdyż, jak dotąd, większość recenzji z koncertów tej grupy nie była zbyt pochlebna. Tym razem zespołowi przypadła niewdzięczna rola przedgrupy, która miała jedynie rozgrzać publiczność. The Cult otrzymał do dyspozycji tylko połowę sceny i znikomą liczbę świateł, a sam występ został ograniczony do zaledwie 50 minut. Obok trójki kultowców (Ian Astbury, Bill Duffy, James Stewart) pojawiło się na scenie jeszcze dwóch muzyków, którzy nie zostali przedstawieni i mogę tylko podejrzewać, że byli to: perkusista Mickey Curry i keybordzista John Webster, którzy uczestniczyli w powstaniu albumu *Sonic Temple*. Rola tego ostatniego była dość enigmatyczna i sprowadzała się do kilkakrotnego zagrania podczas występów, gdyż później był on dokładnie zagłuszony przez gitarę Duffyego. W sumie ufarbowany brzydal Astbury z kolegami wykonali osiem numerów, które rozpoczął *Phoenix* znany z płyty *Love*. Po nim nastąpił set z *Sonic Temple*, z którego najlepiej przyjęta została piosenka Edie *(Ciao Baby)*. Finał stanowiły: *She Sells Sanctuary*, *Fire Woman* i niezapomniana *Love Removal Machine*. W porównaniu z metalowcami kultowcy poruszają się jak muchy w smole, ale też muzyka grupy odnosi się bardziej do hardrockowych tradycji. Brzmienie jest wyraźnie uboższe niż na płytach, ale i tak czad jest niezły.

Po dwudziestominutowej przerwie wreszcie mogliśmy zobaczyć scenę w całej okazałości z jej dwoma poziomami i light showem przypominającym ten, który do nas przywiózł Iron Maiden. I tym razem piątkę Aerosmithowców wspomagała anonimowa dwójka muzyków (klawiszowiec i saksofonista). Perkusista Joey Kramer miał na bębnie taktowym wymalowaną piękną nagą panienkę, ale jego zestaw perkusyjny prezentował się dość skromnie. Nad nim rozpościerało się ogromne fosforyzujące logo zespołu. Co warte podkreślenia – gitarzysta Brad Whitford nosił koszulkę z firmą The Cult, lecz i tak całą uwagę skupiał na sobie wokalista Steve Tyler, który przywdział czarne, koronkowe wdzianko, przez które widać było, że jest bez... majtek i tylko wąski pasek przykrywa mu przyrodzenie. Tyler jest nie tylko niepodzielnym frontmenem, ale również dyryguje zachowaniami kolegów. Na jego tle współlider grupy, gitarzysta Joe Perry wypada nad wyraz spokojnie, ale i tak wymiata, że daj mu Boże zdrowie.

Występ Aerosmith może służyć za wzór koncertu rock'n'rollowego. Bez zbędnych słów panowie wymietli dwadzieścia numerów z werwą nastolatków. Profesjonalizmem i umiejętnościami instrumentalnymi Amerykanie na głowę biją swoich brytyjskich kolegów. Konfrontacja The Cult – Aerosmith pokazuje, na czym polega siła brzmienia zespołu posiadającego w swym składzie dwóch gitarzystów oraz pianistę, który wie co do niego należy. Pierwszą połowę występu Amerykanów stanowił materiał z promowanego albumu *Pump*, po czym nastąpiła wiązanka przebojów: *Rag Doll, Draw The Line, Dream On (ten numer poświęcamy tym, co są po drugiej stronie muru)*, ostatni hit *Love In Elevator, Dude (Looks Like A Lady)*. W *Sweet Emotion* Joe Perry przypomniał, że za jego czasów śpiewano przez gadającą rurkę (Voice bag). Na bis (tylko jeden!) Aerosmith wykonał *I'm Down* spółki Lennon-McCartney oraz fantastyczny *Walk This Way*.

Cóż, rewelacyjny koncert, w którym każdy element był doskonale dopracowany, a program ułożony bez pudła. Ciekawe, że zarówno Joe Perry i Bill Duffy za swoje podstawowe narzędzie pracy używają zapomnianych Gibsonów. Jak widać i słychać, powtórka z lat 70. trwa i co ważniejsze wzmaga apetyt.

GRZEGORZ „BORDERSMITH" BRZOZOWICZ



AEROSMITH

OWACJE I GWIZDY

JAZZ JAMBOREE '89

Warszawa, Sala Kongresowa, 26–29.10.1989 r.

To już 31 raz. Największe święto polskiego jazzu za nami. Mimo trudności i kłopotów, odbyło się. Po raz kolejny zostało udowodnione, że jest jedną z nielicznych imprez w Polsce, której nie trzeba się wstydzić. JJ ściąga znakomitości światowego jazzu i tłumy fanów nie tylko z naszego kraju.

Październik, choć oficjalnie ochrzczony miesiącem oszczędności, już od wielu lat jest miesiącem jazzu. Jazz Film Saloon, Jazz Jamboree i jego krajowe edycje, koncert Adama Makowicza w Filharmonii Narodowej, do zeszłego roku Poljazz Festiwal i liczne imprezy towarzyszące z jamami do białego rana, są tego wystarczającym dowodem. A jednak nawet w tym miesiącu dla jazzu w Polsce nie ma przychylnej atmosfery. Prawdziwy jazzowy klimat panuje jednak przez cztery dni w Sali Kongresowej. Wspaniała zabawa na scenie i widowni, luz, spontaniczne owacje towarzyszyły także tegorocznemu JJ. Mniej dyskutowano, mniej było spotkań w barku, więcej zaś słuchano muzyki. Muzyki wspaniałej, zagranej przez najlepszych, godnej tradycji tego festiwalu.

Polacy

O takim zestawie może marzyć każdy organizator festiwalu. Zbigniew Namysłowski – pierwszy alcista Europy w konfrontacji z muzykami z „jaskini lwa" wypadł znakomicie. Tomasz Stańko – nie tylko muzyk, ale po prostu artysta. Gra tak, że może konkurować z najlepszymi trębaczami. Zagrał wielki koncert i porwał publiczność swoją niełatwą sztuką. I wreszcie nasi z zagranicy. Urszula Dudziak dzień wcześniej przeżyła chwile grozy. W Łodzi spłonęły jej magnetofony i wzmacniacze. Ale krajowa „złota rączka" dokonała cudów i mogliśmy podziwiać „Magic Lady" we wspaniałym jazzie. Naszej eksportowej gwieździe towarzyszył Walk Away. Ich jazz-rock wzbudził entuzjazm, zwłaszcza wśród młodszej publiczności JJ. I wreszcie Adam Makowicz. Po 11 latach mogliśmy go po raz pierwszy usłyszeć w pełnym, koncertowym repertuarze. A że jest czarodziejem fortepianu – po jego koncercie nikt nie ma wątpliwości.

Michael Brecker and company

Miało być wiele gwiazd najwyższej próby. Niestety, Modern Jazz Quartet i Winton Marsalis w tym roku nie zawitali do Warszawy. Najbardziej wypada żałować braku MJQ, gdyż nie wiadomo jak długo ten kwartet będzie jeszcze koncertował. Wiek ma swoje prawa i być może za rok starsi panowie przestaną wojażować po dalekiej Europie.

Wszyscy zaproszeni goście, którzy wystąpili na JJ'89, stanowią czołówkę światowego jazzu. Już w pierwszym dniu Marlboro Superband i Gene Harris dali nam próbkę wspaniałej muzyki. Przenieśliśmy się w szalone lata 30. i – w tej części świata nie tak szalone – lata 40. Marlboro reklamuje się jako zespół gwiazd. I nie ma w tym żadnej przesady. Leader – Gene Harris grywał z takimi znakomitościami, jak Benny Carter, Milt Jackson, Joe Williams, czy B.B. King. Na kontrabasie gra weteran bebopu, współpracownik Parkera, Gillespiego, Powella, Petersona i Fitzgerald – Ray Brown. Kolejnym wielkim wśród Marlboro jest Herb Ellis – obok Byrda i Kessela uważany za najlepszego gitarzystę świata. I tak można by wymienić wszystkich członków tego big bandu. A co mogą zagrać takie gwiazdy? Muzykę najwyższej klasy. I tak zagrali.

Także drugi dzień JJ okazał się wspaniały. Mingus Dynasty – formacja, która kontynuuje dzieło zmarłego Charlie Mingusa pokazała witalność, parcie do przodu i wspaniałą zabawę. Wszyscy jednak czekali na największą gwiazdę tegorocznego JJ. Michael Brecker – jeden z najwyżej cenionych saksofonistów ostatniego dziesięciolecia udowodnił swoją wielkość. Osobowość tego wiecznie poszukującego artysty, wspaniała muzyka, niezwykła sprawność techniczna, wyobraźnia muzyczna, była wielkim przeżyciem. I nikt w Sali Kongresowej w sobotni wieczór nie mógł być obojętny wobec jego sztuki. Ucztę, którą nam zgotował będziemy mieli długo w pamięci. A jeżeli już jesteśmy przy uczcie, to był nią także występ Arta Blakey'a i Jazz Messengers. Art Blakey – żyjąca legenda jazzu, znakomity 70-letni perkusista połowę życia spędził z Jazz Messengers. Starszy pan w towarzystwie młodych muzyków, dla których już od lat ten zespół jest uniwersytetem, zaprosili widzów na wspaniały bankiet urodzinowy. Przepyszny tort muzyczny smakował wszystkim i – jak w przypadku innych występów – była także repeta.



Fot. JERZY STOKOWSKI

MICHAEL BRECKER

JJ już za nami. Jakie było? Miało jedną cechę – było bardzo wyrównane, a poziom wszystkich muzyków i muzyki był bardzo wysoki. Było też wspaniałą, jak co roku, lekcją jazzu. Udowodniło także, że każdy z Polaków może być ozdobą najlepszych światowych festiwali. Pokazało, że choć nie chciane i nie kochane przez tzw. decydentów, odbyło się i jest jednym z najważniejszych wydarzeń muzycznych w naszym kraju. A wszystkich niedowiarków w wartości płynące z muzyki, która, ich zdaniem, dawno się przeżyła, zapraszam za rok, na kolejne JJ. Odbędzie się, choć musi zmienić formę organizacyjną. Musi poszukać nowych sponsorów, by nie liczyć na krajowych, którzy często w ostatniej chwili zawodzą. Idzie nowe nie tylko w polityce. Idzie nowe także dla jazzu i JJ. Ale można przyspieszyć jego przyjście, jeżeli się w nie wierzy. A jazzmani i jazzfani wierzą.

MARIAN T. KUTIAK

ANDERSON BRUFORD WAKEMAN HOWE

Londyn, Wembley Arena, 29.10.1989 r.

Oficjalnie koncert ten zwał się „An Evening With Yes Music Plus" jako, że tych czterech panów sądownie straciło prawo do używania szyldu Yes. Z drugiej strony wiadomo, iż to właśnie głos Andersona, gitara Howe'a oraz klawisze Wakemana stanowiły o brzmieniu i potędze oryginalnego Yes. Nie będąc fanem żadnego Yes, z wyjątkiem *LP 90125*, bez napięcia oczekiwałem na konfrontację z ożywioną legendą.

Zaczęło się przyjemnie – Anderson, Howe i Wakeman po kolei, solowo, dali mini-pokaz swych umiejętności. Zachwycił mnie rzeczywiście Jon A., który w białym kombinezonie, niczym aniołek, pięknym niebiańskim głosem odśpiewał specjalną składankę z powracającym motywem *Owner Of A Lonely Heart*. Był wspomagany akustycznie przez dwóch młodych, nieznanych mi muzyków, którzy później pojawili się na scenie z całym ABWH. Z kolei Steve Howe przeraził mnie ciągłymi zmianami gitar, choć zarówno w temacie hiszpańskim, jak i klasycznym czuło się wirtuoza sześciu strun. Wakeman, jak było do przewidzenia, pomacał kilka klawiatur w starym stylu i na jego popis pozostałem zupełnie obojętny. Pierwsza część koncertu trwała 70 minut i, oprócz zmagań solowych, ABWH zagrali kolektywnie m.in. nowy numer *Birth Right* z promowanej właśnie płyty, jak również klasyki w postaci *Long Distance Runaround* z LP *Fragile*, tudzież znakomitą wersję *I've Seen All Good People* z krążka *The Yes Album*. Pomiędzy tymi utworami znalazło się miejsce na solówkę Billa Bruforda. Będę szczery – nigdy nie słyszałem tak fantastycznie nieziemskiego brzmienia elektronicznej perkusji Simmonsa. Prawdziwy dźwiękowy katharsis! Równie zaskakująca i to chyba dla wszystkich była przerwa po słodkim interludium Andersona.

Ale to, co nastąpiło potem było dla mnie nie do zniesienia. Rozpoznałem wprawdzie znajome dźwięki tematu *Your Is No Disgrace*, ogólnie jednak na scenie odbywały się muzyczne harce czterech znakomitych instrumentalistów, którzy zdawali się nie zauważać obecności kolegów z zespołu. Patetyczne popisy Wakemana, znerwicowane wtręty Howe'a, przerażające dudnienie Bruforda i ten biedny, mały Anderson podskakujący niczym jo-jo lub robiący koci łapki. To musiała być wielka muzyka. Zbyt wielka jak na moje uszy. Nie mogąc wytrzymać tego bałaganu (jamu?), wyszedłem w 120 minucie koncertu. Tak, koncertu, bo trudno to, co widziałem, nazwać showem. Jakaś dziwaczna konstrukcja za muzykami przypominająca rozczapierzone dłonie po chorobie Heinego Medina wprawdzie niby się uniosła i ruszyła, ale wyglądało to gorzej niż kiepskie pomysły Szajny.

Oprócz głosu Andersona i solówki Bruforda w pamięci utkwiły mi tylko dziwne, długie niby paznokcie, którymi posługiwał się podczas gry basista Tony Levine oraz zdalnie sterowany statyw mikrofonu, który sam chował się w podłogę. Raczej wieczór straconych złudzeń niż Yes Music Plus.

ROMEK ROGOWIECKI

PAT METHENY

Hamburg, Musichalle, 2.11.1989 r.

W Hamburgu czuję się jak w domu – powiedział Pat Metheny po przyjeździe do miasta nad Elbą i nie była to tylko kurtuazja, bowiem od wiosny 1981 roku, kiedy to odbył się jego pierwszy koncert promocyjny w Europie, Metheny regularnie odwiedza Hamburg odnosząc tu zawsze sukcesy. Tak było i tego wieczora w dwukrotnie wypełnionej po brzegi Musichalle, gdzie artysta udowodnił raz jeszcze, że należy do ekskluzywnego grona geniuszy jazzowej gitary.

Rozpoczął romantycznym *Phase Dance* zachwycając i dosłownie wbijając w miejsca wielotysięczną publiczność. W kolejnych utworach, *Have You Heard* i *Third Wind*, przechodził od delikatnego, wręcz jedwabistego brzmienia swojej ulubionej gitary Gibson Es-175 do ostrych, elektronicznych dźwięków produkowanych przez instrumenty strunowe najnowszej generacji z wyglądu tylko przypominające gitary. Metheny pokazał szerokie spektrum umiejętności wrażliwego gitarzysty, osiągając niespotykane brzmienia, grając doskonale zarówno w partiach solowych, jak i w utworach, w których świetnie wspomagała go sekcja złożona z muzyków najwyższej klasy.

Lyle Mays prowadził na instrumentach klawiszowych nie kończące się dialogi z gitarą mistrza, popisując się wyrafinowanymi, skomplikowanymi solówkami. Argentyńczyk Pedro Aznar uzupełniał ten duet swoim głosem i grą na instrumentach strunowych i perkusyjnych. Basista Steve Rodby, trochę w cieniu tej trójki, ale bardzo przekonywający w partiach solowych, Brazylijczyk Armando Marcal, poruszający się z dużą swobodą w gęstwinie bębnów i wszelkiego typu „przeszkadzajek", i Paul Wertico grający na perkusji dostarczali „pary" całemu zespołowi, stanowiąc doskonale zgraną, żywiołową sekcję. Ale gwiazdą był Metheny – w jeansach i adidasach, skupiony, z zamkniętymi oczami nie pozostawił żadnych wątpliwości, że muzyka, którą prezentuje podczas swojego wielkiego tournée jest naprawdę świeża i autentyczna. Metheny gra przede wszystkim to, co zwykło się nieprecyzyjnie określać jako jazz-rock, ale jest w jego muzyce sporo miejsca na jazzowe improwizacje i ostre rockowe riffy, na latynoamerykańskie melodyjki i pełne zadumy mainstreamowe tematy poświęcone pamięci jego wielkich mistrzów i nauczycieli – Wesa Montgomery'ego i Stanleya Turrentinea. Repertuar koncertu stanowiły utwory z najnowszej płyty Metheny'ego *Letter From Home*, ale wracał też chętnie do dobrze znanych tematów ze swoich poprzednich albumów *(First Circle)* oraz prezentował kompozycje jeszcze nigdzie nie publikowane, które – jak zapowiadał – znajdą się w jego kolejnej, planowanej na rok przyszły, płycie. Sądząc po reakcji hamburskiej publiczności, będzie to kolejny sukces.

TOMEK NIEMIRO



PAT METHENY Fot.: JERZY STOKOWSKI

33 1/3

Love Out – **Biting Tongues** (Cut Deep) i *Umber* – **Magnet** z Ohio (What Goes On).

★ Obraz młodej Ameryki byłby niepełny bez wydawnictw SST. Oto Chris Desjardins, kiedyś lider pionierskich formacji punkrockowych z Los Angeles, The Flesh Eaters i Devine Horsemen, nagrał płytę *I Pass For Human* pod nowym kryptonimem **Stone By Stone With Chris D,** a wśród innych płyt oferowanych przez tę wytwórnię na uwagę zasługują *Honey Bubble* – **Tar Babies** i *Buffalo Tom* – **Buffalo Tom.**

★ Z założonymi rękami nie siedzi również nawiązująca do psychodelicznego rocka z lat 60., z albumu na album coraz popularniejsza formacja **Camper Van Beethoven.** Jesienią otrzymaliśmy od niej LP *Key Lime Pie* (Virgin).

★ Była kiedyś taka wytwórnia amerykańska Ralph Records, lecz choć już dziś ona nie istnieje, wciąż aktywne są dwie grupy będące jej podporą. Jej założyciele, **The Residents,** nagrali płytę *The King And I* (Torso), a **Tuxedomoon** przypominają o sobie koncertowo-rocznicowym zbiorem *Ten Years In One Night* (Play Boy).

★ Dumni, bezkompromisowi, niezależni...: **Yeah God!** – *Noizegasm* (Chapter 22), **Red Lorry, Yellow Lorry** – *Blow* (Situation 2), **A.C. Marias** (którą wspomagają różni członkowie grupy Wire) – *One Of Our Girls /Has Gone Missing* (Mute), **Schreecing** – *Schreecing* (Wetspots), **The Beat Happenings** – *Black Candy* (Rough Trade), **Christian Death** – *The Heretics Alive* (Jungle), **Mark T** – *The Room* (Waterfront), **The Meteors** – *Undead, Unfriendly And Unstoppable* (Anagram), **Lush** – mini-album *Scar* (4AD).

★ Pięć lat po rewelacyjnym debiucie **The Blue Nile,** *A Walk Across The Rooftops*, recenzenci rozpływają się nad drugą płytą długogrającą tej interesująej szkockiej grupy, *Hats* (Linn–Virgin).



THE BLUE NILE

★ **Can,** zachodnioniemiecki zespół, który wywarł wielki wpływ na wielu wykonawców z całego świata, by wspomnieć tylko Talking Heads i Sonic Youth, a jej członek Holger Czukay ostatnio współpracował z Davidem Sylvianem, proponuje swym zagorzałym fanom nowy album studyjny, *Rite* (Mercury).

★ Wytwórnia Mute wznowiła ostatnio nieosiągalne już dwie płyty formacji **Swell Maps** w oryginalnym składzie. Są to *A Trip To Marineville* z 1979 roku i *Jane From Occupied Europe* z roku 1980. Z kolei firma Creation przypomina nagrania grupy **The Loft,** z której wyłoniły się zespoły The Weather Prophets i nie istniejący już The Wishing Stones. Album nosi tytuł *The Once Round The Fair.*

★ Coraz pewniej w Anglii czują się wykonawcy z kontynentalnej Europy. Renomowany, cieszący się dużym szacunkiem na Wyspach **Einstürzende Neubauten** z RFN oferuje *Haus Der Luge* (Some Bizarre), **Club De Rome** ze Szwajcarii – LP *Club De Rome* (Lively Act), **Von Magnet** z RFN – LP *El Sexo Surrealista* (French Danceteria), a heavymetalowy **Bonfire,** także z RFN – LP *Paint Blank* (MSA–BMG).

★ Zafascynowany brazylijską muzyką **David Byrne** z Talking Heads firmuje drugą składankę z wykonawcami z tego kraju, pt. *Brazil Classics 2/O* (Reprise) oraz nagraną pod wpływem tej muzyki solową płytę *Rei Momo* (Sire), co po portugalsku znaczy *Król karnawału.*

★ Wielkie nadzieje dużych i małych wytwórni: **Ghostdance** – *Stop The World* (Chrysalis), **Jesus Jones** – *Liquidizer* (Food-EMI), **The Wedding Present** – *Bizarro* (RCA), **The Mighty Lemon Drops** – *Laughter* (Chrysalis), **Runrig** – *Searchlight* (Chrysalis), **The Wood Children** – *Shopaholic* (Demon), **The Flame** – *The Flame* (Anxious), **The Field Mice** – *The Field Mice* (Sarah) i **The Bible** – *The Bible* (Esign).

★ Różne różności: **The Indian Givers** z Edynburga – *Love Is A Lie* (Virgin), **The Alarm** – *Change* (IRS), **Herb Alpert** – *My Abstract Heart* (A+M), **Shakatak** – *Turn The Music Up* (Polydor), **A Certain Ratio** – *Good Together* (A+M); **Barry White** – *The Man Is Back* (A+M), **Jeff Beck With Terry Bozzio And Tony Hymas** – *Jeff Beck's Guitar With Terry Bozzio And Tony Hymas* (Epic), **Squeeze** – *Frank* (A+M), **Loudon Wainwright III** – *Therapy* (Silvertone), **Steve Marriott** – *30 Seconds To Midnight* (Trax), **Climie Fisher** – *Coming In For A Kill* (EMI), **Roger Whittaker** – *Home Lovin' Man* (PolyGram), **Randy Travis** – *No Holdin' Back* (Warner Bros), **The Black Velvet Band** z Irlandii – *When Justice Come* (Elektra), **Lilac Time** – *The Paradise Circus* (Mercury), **Friends** – *Road Leading Everywhere* (Summerhouse), **Everything But The Girl** – *The Language Of Life* (Blanco Y Negro–WEA), **Love And Money** – *Strange Kind Of Love* (Fontana), **Hipsway** – *Scratch The Surface* (Phonogram), **One Nation** – *Strong Enough* (IRS), **Faith No More** – *The Real Thing* (Slash–London), **The Almighty** – *Blood, Fire And Love* (Polydor), **Eat** – *Sell Me A God* (Fiction), **Yargo** – *Communicate* (London), **Sydney Youngblood** – *Feeling Free* (Circa-Virgin), **A.S.A.P.** – *Silver And Gold* (EMI), **The Adventurers** – *Trading Secrets With The Adventurers* (Elektra), **Criminal Element Orchestra** – *Locked Up* (CBS), **Screaming Blue Messiahs** – *Totally Religious* (Atlantic), **The Beautiful South** – *Welcome To The Beautiful South* (Go! Discs), **Toni Halliday** – *Hearts And Handshakes* (Anxious).

★ Reggae: **Dean Frazer** – *Raw Sax* (Greensleeves), **Wayne Wonder** – *One More Chance* (Pickup), **King Edwards** – *Ska-Lutations* (King Edwards Records), **Tito Simon** – *Never Let Me Go* (Krisp), **Peter Chemist** – *Chemist Formula Vol.* 1 (Blue Mountain), **Gregory Isaacs** – *I.O.U.* (Greensleeves), **Twinkle Brothers** – *Dub Massacre 2* (Twinkle).

★ Heavy metal: **Accuser** – *Who Dominates Who* (Atom), **Axxis** – *Kingdom Of The Night* (Roadracer), **Guardian** – *First Watch* (Roadracer), **Magnum** – *Night Riding* (Knight), **Malice** – *Crazy In The Night* (Roadracer), **Sacred Chaos** – *Sacred Chaos* (Aaargh), **Holocaust** – *Sound Of Souls* (Chrome), **Thunderhead** – *Behind The Eight-ball* (Legacy), **Ted Nugent** – *Call Of The Wild* (Edsel), **Boltthrower** – *Realm Of Chaos* (Earache), **Xentrix** (pierwszy brytyjski zespół metalowy, który podpisał kontrakt z firmą Roadrunner) – *Shattered Existence* (Roadracer).

StORY

4.

Nigdy nie było dla mnie ważne, jaki rodzaj sztuki uprawiam. Chciałem po prostu być sławny. Wybrałem rock, bo w nim czułem się najlepiej.

Bowie

Sława pomaga mi w odkrywaniu samego siebie. Zawsze chciałem być akceptowany, chociaż na początku osiągnąłem to dzięki zwykłej pretensjonalności. Myślę, że jestem odpowiedzialny za tę całą nową szkołę pretensjonalizmu.

Bowie

David to cudowny człowiek. Znając go bliżej, bezgranicznie ulega się jego urokowi. Poznałam w życiu wielu mężczyzn, ale ten jest wyjątkowy.

Elizabeth Taylor

Po tym jak zagrałem na Broadwayu tytułową rolę w sztuce „The Elephant Man" mogę zagrać wszystko. W muzyce rockowej do osiągnięcia czegoś podobnego potrzebna jest butelka whisky, wódka albo kilka piw. To było jedno z moich najważniejszych doświadczeń.

Bowie

Myślę, że Bowie to prototyp zdobywcy. Osiąga to, co zaplanuje. Prawdziwy człowiek Renesansu.

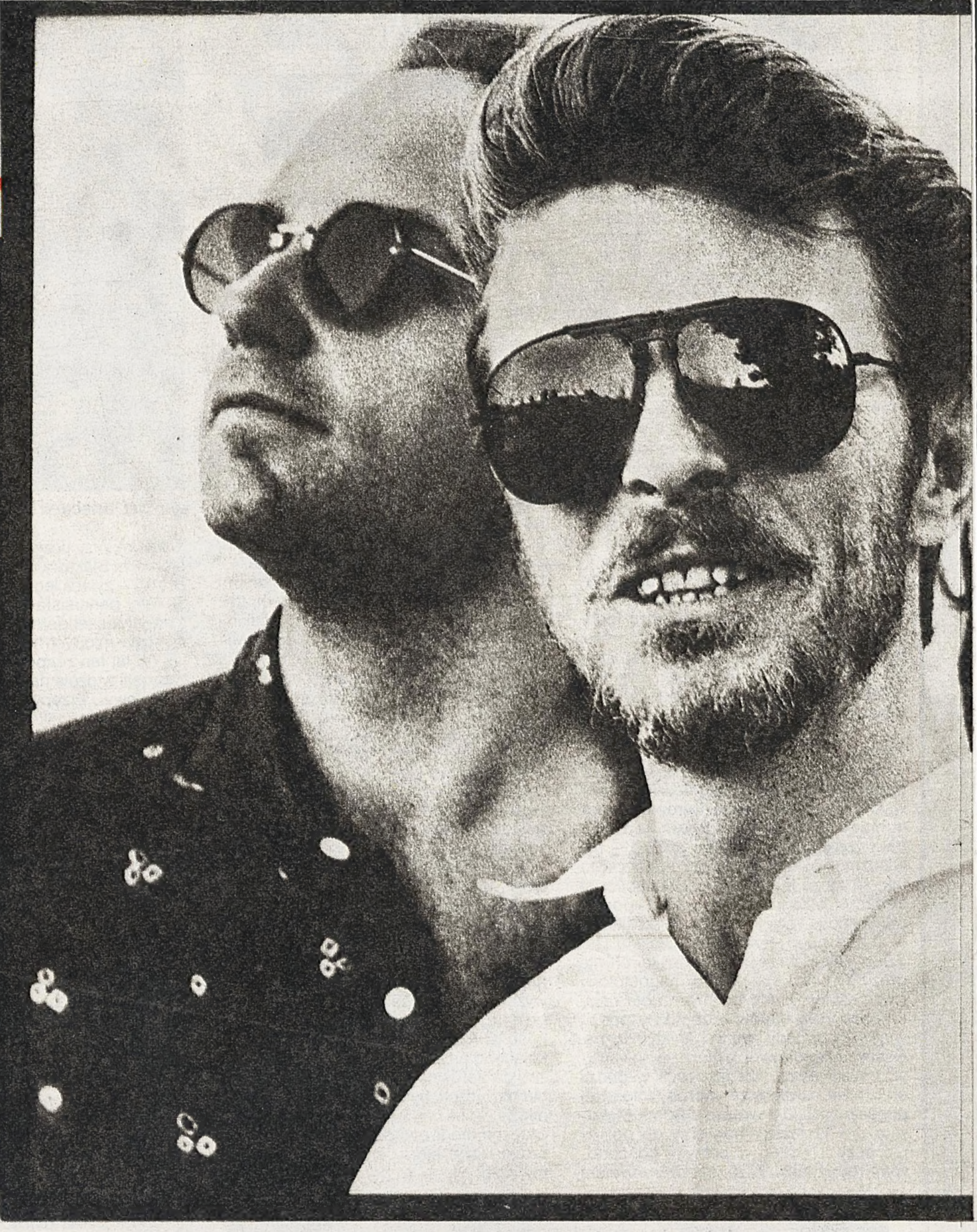
David Hemmings

Tin Machine może być zaskoczeniem. Po prostu zbyt daleko uciekłem od ludzi, a najważniejsza jest właśnie współpraca z ludźmi.

Bowie

Nie wiem kim będę za miesiąc, za rok. Szaleńcem, którymś z dzieci kwiatów, dyktatorem. Nie wiem. Dlatego nigdy nie znudzę się życiem.

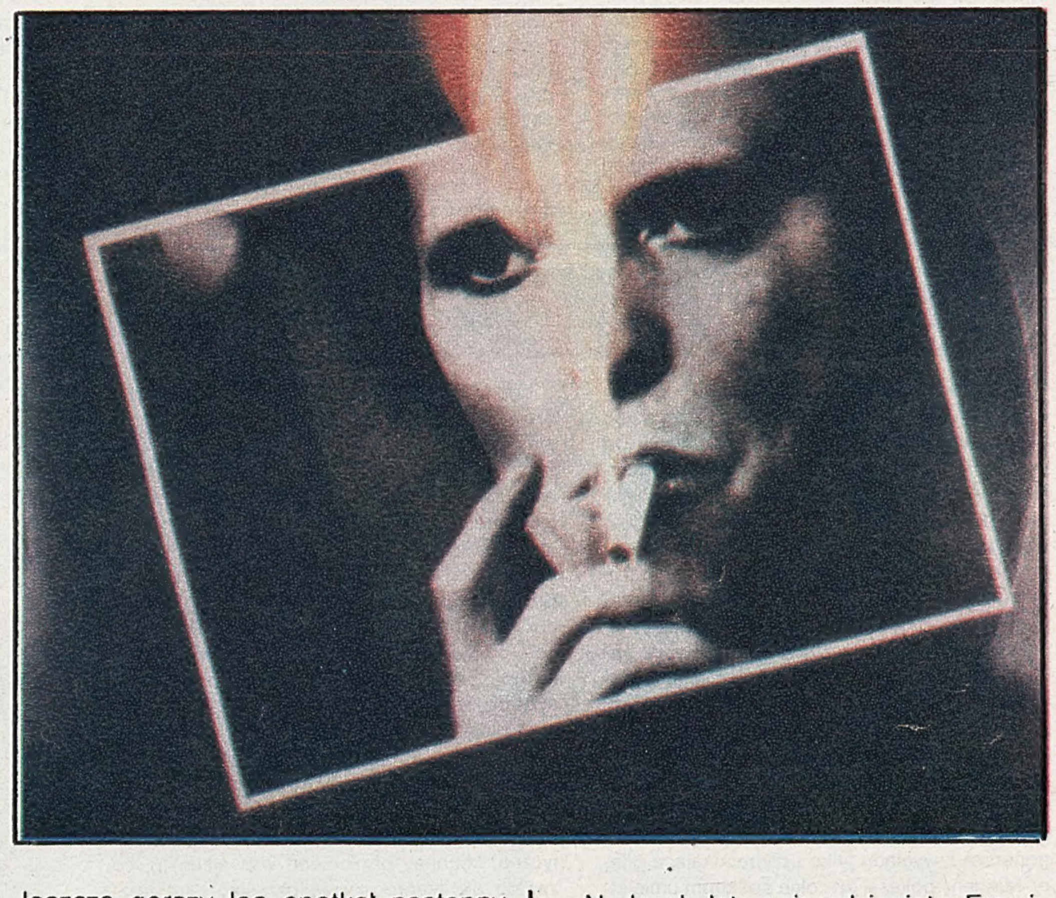
Bowie



W ŚWIECIE

Powoli, krok za krokiem, David Bowie zmierzał do panteonu masowej kultury, gdyż rock w odniesieniu do niego jest zbyt wąskim pojęciem. Nie tylko zresztą rock, ale muzyka w ogóle. Często traktował ją jako zło konieczne, jako punkt startu do osiągnięcia innych celów. W dzisiejszych czasach, czasach specjalizacji, ludzie określający się tak jak Bowie – multimedia person – nie są traktowani poważnie. Widzi się w nich przeżytki minionej, romantycznej epoki, nie potrafiących znaleźć sobie miejsca we współczesnym świecie. W przypadku twórcy Ziggy Stardusta stało się jeszcze inaczej. Nikogo specjalnie nie dziwi, wręcz przyjmowane jest to za oczywiste, że ta sama osoba w równie udany i naturalny sposób interpretuje songi Brechta, śpiewa soul, wykonuje akustyczne ballady, dyskotekowy pop, gitarowy rock, tworzy elektroniczne pejzaże. Bowie traktuje muzykę jak aktor rolę. Pozostaje wciąż sobą, chociaż występuje w różnych kostiumach.

Rok 1983 okazał się dla Bowiego przełomowy. Był to rok upadku Bowiego-muzyka, a zarazem rok narodzin Bowiego – człowieka wyzwolonego. Płytą *Let's Dance* zburzył mit budowany przez 10 lat. Komercyjny sukces albumu i pochodzących z niego singli po raz pierwszy przyniósł mu całkowity komfort psychiczny. Wiązało się to z podpisaniem kontraktu z wytwórnią EMI-America. Trwający przez 12 lat, a uciążliwy dla obu stron związek z RCA stał się przeszłością. Jaką wagę przywiązywała do niego poprzednia firma świadczy fakt, że zamieniła go na Kenny'ego Rogersa (z całym szacunkiem dla herosa country). Bowie wiedział, że od udanego debiutu w barwach EMI zależy jego dalsza kariera i to nie tylko muzyczna. Musiał ugruntować pozycję gwiazdy pop. Wszelkie rockowe poszukiwania nie wchodziły w rachubę, wszedł bowiem w świat wielkiego businessu. *Let's Dance* nie lansował kolejnego wcielenia – to była konieczność. Bowie wykreował się na postać, przy której Prince i Springsteen – odnoszący przecież o wiele większe komercyjne sukcesy – wydawali się tylko rockowymi kukiełkami. Jego pasją i marzeniem był film. W połowie lat siedemdziesiątych traktowano go jako kolejną gwiazdę muzyki pop, która dzięki winylowym krążkom trafiła na ekran. Opinię tę trzeba było zweryfikować. Już filmowy debiut w obrazie Nicolasa Roega *The Man Who Fell To Earth (Człowiek, który spadł na ziemię)* pokazał, że Bowie ma naturalne aktorskie predyspozycje. Film ten, tylko z pozoru należący do gatunku science-fiction, pokazywał zagubienie jednostki w świecie wrogości i nietolerancji. Tragiczna rola przybysza z gwiazd, poszukującego ratunku dla swojej cywilizacji, nie miała dotąd odpowiednika w ekranowej fantastyce. Kolejna filmowa propozycja zapowiadała się sensacyjnie. Do wystąpienia w *Just A Gigolo* reżyser David Hemmings zaprosił same sławy, między innymi Kim Novak, Sydney Rome, Maximilliana Schella i wielką Marlenę Dietrich. Bowie przeistoczył się w pruskiego oficera, który po powrocie z I wojny światowej staje się zwykłym bawidamkiem i ginie w końcu od zabłąkanej kuli. Film miał być triumfalnym powrotem Marleny Dietrich – okazał się niewypałem. Kilkakrotnie zmieniano scenariusz, dokręcano sceny, lecz rezultat pozostał mizerny: *Just A Gigolo* nie trafił nawet do szerokiego rozpowszechniania.



Jeszcze gorszy los spotkał następny obraz, w którym Bowie zagrać miał główną rolę austriackiego malarza ekspresjonisty, Egona Schiele: realizację przerwano.

Nadeszły lata osiemdziesiąte. Era video. W tym nowym medium Bowie mógł urzeczywistnić swoje reżyserskie ambicje. Był jednym z pierwszych, który dostrzegł rosnące znaczenie video cli-



TIN MACHINE

ILUZJI

pu. Podniósł go do rangi sztuki – co jest dziś oczywiste, ale wówczas było działaniem nowatorskim. W 1980 r., podczas festiwalu w Cannes, po raz pierwszy wręczono nagrody za najlepszą reżyserię teledysku. Otrzymał ją właśnie Bowie za *Ashes To Ashes*. Nie zapomniał jednak o filmie. Pierwszą znaczącą rolą i pierwszym znaczącym w jego karierze aktorskiej obrazem był *Merry Christmas Mr Lawrence* Nagisy Oshimy. Wcielił się w postać brytyjskiego oficera, więzionego podczas ostatniej wojny w jednym z japońskich obozów. Zarówno ten film, jak i następny, *Hunger* (znany w Polsce jako *Zagadka nieśmiertelności)*, ugruntowały pozycję Bowiego jako aktora. Odtąd bardzo starannie selekcjonował oferty. Z góry odrzucał wszystkie propozycje kojarzące go z gwiazdą rocka. Z dwoma wyjątkami – rolą króla Goblinów w baśniowym obrazie *Labirynt*, i cynicznego przedsiębiorcy budowlanego w *Absolute Beginners*, w których był współautorem muzyki. Zagrał również w epizodach w *Dzieciach z Dworca ZOO* i znanej z polskich kin *Ucieczce w noc (In The Heat Of The Night)* Johna Landisa. Ostatnim filmem z udziałem Bowiego jest kontrowersyjne *Ostatnie kuszenie Chrystusa*. Martin Scorsese proponował mu tytułową rolę, jednak nie zgodził się i wystąpił jako Poncjusz Piłat.

Odnosząc sukcesy na ekranie Bowie przez ostatnie lata traktował muzykę z lekkim lekceważeniem. Zajmował się drobiazgami jak piosenki do filmów *Cat People, When The Wind Blows, Falcon And The Snowman (This Is Not America)*, duety z Queen, Jaggerem i Tiną Turner. Jego autorskie albumy pozbawione były dawnej pasji poszukiwania czegoś nowego. Powstawały niejako z rozpędu, z konieczności wywiązania się z kontraktu z EMI. Kiedy muzyka przestała być dlań środkiem do wyrażania siebie, zeszła na dalszy plan. Stąd kompletna klapa albumu *Never Let Me Down*, mimo iż promujący go *Glass Spider Tour* był jednym z największych spektakli w historii rocka.

Wydaje się, że Bowie nigdy do końca nie wyzbył się kompleksów. Tak trzeba chyba traktować jego najnowszy pomysł – grupę Tin Machine. Role się odwróciły. Będąc supergwiazdą, zapragnął stać się szarym człowiekiem, jednym z członków zespołu objeżdżającego kluby rockowe. Czy to nie jest jednak iluzją? W końcu 1977 mógł bez obciążeń sławą występować u boku Iggy Popa, 12 lat później wiarygodność podobnych działań wydaje się być złudzeniem. A może właśnie o to chodzi?

Przez 25 lat David Robert Jones dążył do realizacji samego siebie. Ambicje zawsze przewyższały jego możliwości – przewyższały możliwości jednostki z gatunku homo sapiens. Chciał być sławny, stał się sławny, będzie legendą, ale nigdy nie znajdzie „drogi do homo-superior", której szukał od czasów *The Man Who Sold The World*. Pozostanie pełnym kompleksów piosenkarzem, kompozytorem, multiinstrumentalistą, poetą, producentem, tytanem pracy, filantropem, aktorem, malarzem; człowiekiem, któremu dane było żyć w najmniej odpowiednich dla siebie czasach.

PRZEMYSŁAW MROCZEK

DAVID BOWIE IN BERTOLD BRECHT'S BAAL
RCA, 1982

Baal's Hymn; Remembering Marie A; Ballad Of The Adventures; The Drowned Girl; The Dirty Song.

Ten minialbum jest ścieżką dźwiękową z telewizyjnego przedstawienia, w którym Bowie zagrał główną rolę, a także zaśpiewał 5 songów z tekstami Brechta skomponowanych przez Kurta Weilla i Dominica Muldowneya. Bowie, który piosenki o podobnym charakterze śpiewał już wcześniej *(Amsterdam* i *My Death* Brela), znakomicie czuje aktorski, pełen dramatyzmu sposób interpretacji. Udowodnił to również wcześniej świetnym wykonaniem *Alabama Song* dwa lata temu. **(3 1/2) (Peem)**

LET'S DANCE
EMI America, 1983

Modern Love; China Girl; Let's Dance; Without You; Ricochet; Criminal World; Cat People; Shake It.

Do zrealizowania tego albumu Bowie zaprosił doskonałych fachowców, których nazwiska gwarantowały, że płyta będzie superprofesjonalnym, komercyjnym przebojem. Współproducentem był Nile Rodgers, wsławiony współpracą z grupą Chic, a wśród muzyków uczestniczących w sesji nagraniowej, znaleźli się m.in. Carmine Rojas, Omar Hakim, Tony Thompson i Stevie Ray Vaughn. Strona pierwsza przynosi właściwie same dyskotekowe przeboje – oprócz *Without You* wszystkie wydane na singlach. Strona druga jest bardziej urozmaicona i ciekawsza aranżacyjnie, zwłaszcza *Ricochet* i *Criminal World*. Nieporozumieniem wydaje się jedynie utwór *Cat People*, umieszczony tu na siłę, nie pasujący do całości. *Let's Dance* stanowi jakby uproszczoną wersję *Young Americans*, zrealizowaną w równie perfekcyjny sposób. **(3 1/2) (Peem)**

ZIGGY STARDUST MOTION PICTURE
RCA, 1983

Ten podwójny album zawiera ścieżkę dźwiękową filmu dokumentującego ostatni występ Bowiego i The Spiders w ramach trasy koncertowej promującej płytę o Ziggy Stardučie. Słaba jakość nagrań oraz zauważalne zmęczenie muzyków sprawiają, że nagrania te mają wartość jedynie dokumentalną, choć i tak to zestawienie jest o wiele ciekawsze od tragicznego *David Live*. Jednocześnie tylko w tym wydawnictwie została zarejestrowana piosenka *White Light/White Heat*, z repertuaru The Velvet Underground, będąca w owym czasie stałym punktem programu Bowiego. Wydając ten album, wytwórnia RCA niewątpliwie chciała wyciągnąć korzyść z nagłej, ponownej popularności Davida. **(2) (gb)**

TONIGHT
EMI America, 1984

Loving The Alien; Don't Look Down; God Only Knows; Tonight; Neighborhood Threat; Blue Jean; Tumble And Twirl; I Keep Forgetting; Dancing With The Big Boys.

Płyta, która nie przyniosła zupełnie nic nowego, będąca jedynie dalszym ciągiem orientacji zapoczątkowanej na *Let's Dance*. Jest to po prostu dobry album z muzyką pop i nic więcej. Są tutaj dwa błyskotliwe momenty *(Loving The Alien* i fantastyczna wersja przeboju Beach Boys *God Only Knows)*, a reszta potwierdza profesjonalizm Bowiego. Kontynuuje on propagowanie pozytywnych emocji, głównie miłości i filozofii nowego optymizmu. Po dawnej apokaliptycznej wizji świata nie pozostało ani śladu. **(2 1/2) (gb)**

NEVER LET ME DOWN
EMI America, 1987

Day-In Day-Out; Time Will Crawl; Beat Of Your Drum; Never Let Me Down; Zeroes; Glass Spider; Shining Star (Makin' My Love); New York's In Love; '87 And Cry; Too Dizzy; Bang Bang.

Jak się okazało, jest to ostatnia część radosnej, podnoszącej na duchu trylogii. Wszystkie uwagi dotyczące tej płyty – tak jak wyżej, z tym że brak tutaj choćby jednej wyróżniającej się kompozycji. Fanatycy Bowiego bawili się w poszukiwanie cytatów z przeszłości, a niektórzy poszli jeszcze dalej – odkryli, że jedyne wytłuszczone na okładce litery układają się na napis DB DIE. Mniej wyrozumiali słuchacze przestali się interesować Bowiem jako artystą. **(2) (gb)**

TIN MACHINE
EMI America, 1989

Heaven's In Here; Tin Machine; Prisoner Of Love; Crack City; I Can't Read; Under The God; Amazing; Working Class Hero; Bus Stop; Pretty Thing; Video Crime; Run; Sacrifice Yourself; Baby Can Dance.

Iggy Pop na albumie *Instinct* powrócił do swych korzeni i co najważniejsze – pozostał sobą. Bowie, jakby idąc za przykładem starego przyjaciela, zapragnął być kim innym niż był przez ostatnie lata. Czyżby naprawdę chciał uśmiercić DB? Narodził się Tin Machine z sekcją rytmiczną złożoną z byłych muzyków Popa, braci Sales. Bowie zadowala się rolą jednego z czterech członków grupy, ale i tak wiadomo do kogo należy ostatnie zdanie. W efekcie dokonanej zmiany pojawiło się więcej pytań niż odpowiedzi. Faktycznie panowie w garniturach udowodnili, że umieją łoić, ale to niespodziewane rock'n'rollowe wcielenie Davida mimo wszystko tchnie fałszem. I jeszcze jedno: członkowie Tin Machine znają swój fach, tylko nie mają co grać. Z całego materiału zdecydowanie wyróżnia się kompozycja Lennona *Working Class Hero*. Reszta numerów, może z wyjątkiem *Crack City* i *Run*, niestety zlewa się w jeden dość monotonny dźwiękowy obraz. Bowie lubi zmiany, lecz czy ta ostatnia będzie trwała, a co ważniejsze – twórcza, pokaże następna płyta. **(2 1/2) (gb)**

Inne wydawnictwa z lat 1981–1989:

1. *ANOTHER FACE* (Decca, 1981)
2. *CHANGESTWOBOWIE* (RCA, 1981)
3. *DON'T BE FOOLED BY THE NAME* (PRT, 1981)

Nagrania z roku 1966 dla wytwórni Pye: *Do Anything You Say: Good Morning; I Dig Everything; I'm Not Losing Sleep; Can't Help Thinking About Me; And I Say To Myself.* Dwa ostatnie są firmowane przez Dawid Bowie And The Lower Third. Płyta ponownie wydana w 1985 r. jako *Rare Tracks* (Showcase).

4. *CHRISTIANNE F. WIR KINDER VOM BAHNHOF ZOO* (RCA, 1981)

Muzyka do filmu *Dzieci z Dworca ZOO* ułożona z wcześniej publikowanych nagrań.

5. *CHANGES* (RCA, 1981) nagrania z płyt *Hunky Dory* i *Ziggy Stardust*.

6. *THE MANISH BOYS – DAVID JONES AND THE LOWER THIRD* (Charly, 1981).

Najwcześniejsze nagrania Bowiego: *I Pity The Fool; Take My Tip; You've Got A Habit Of Leaving; Baby Loves That Way;* firmowane przez grupy wymienione w tytule płyty. Zestaw ten ukazał się w 1979 r. w wersji singlowej.

7. *QUEEN: HOT SPACE* (EMI, 1982)

Zawiera przebój Bowiego i Queen z 1981 r., *Under Pressure*.

8. *CAT PEOPLE* (MCA; 1982)

Muzyka filmowa, tytułowa piosenka w wykonaniu Bowiego.

9. *GOLDEN YEARS* (RCA, 1983)
10. *RARE* (RCA, 1983)

M.in. wcześniej nie publikowane na albumach piosenki z singli: *Amsterdam; Holy Holy; Velvet Goldmine; John I'm Only Dancing (Again);* oraz włoska wersja *Space Oddity* zatytułowana *Ragazzo Solo*.

11. *FASHION* (RCA, 1984)
12. *PORTRAIT OF A STAR* (RCA, 1984)

Trzypłytowy album – zbiorowa edycja *Low, Heroes* i *Lodger*.

13. *PAT METHENY GROUP: THE FALCON AND THE SNOWMAN* (Geffen, 1985)

Muzyka filmowa. Bowie wykonuje piosenkę *This Is Not America*.

14. *SANTA'S GREATEST HITS* (Atlantic, 1985)

Piosenki noworoczne, Bowie śpiewa wraz z Bingiem Crosbym utwór *Peace On Earth – Little Drummer Boy*. Nagranie to pojawiło się na singlu kilka lat wcześniej.

15. *ABSOLUTE BEGINNERS* (Virgin, 1986)

Muzyka filmowa, Bowie śpiewa standard *Volare* oraz dwie własne piosenki: *That's Motivation* i *Absolute Beginners*.

16. *LABYRINTH* (Virgin, 1986)

Muzyka filmowa. Bowie napisał i zaśpiewał pięć piosenek: *As The World Falls Down; Within You; Underground; Magic Dance* i *Chilly Down*.



MICK JAGGER i KEITH RICHARDS na uroczystości przyjęcia The ROLLING STONES do Panteonu Rockowych Sław na początku 1989 r.

25 lat temu wszystko było proste. The Beatles podbili Amerykę, The Rolling Stones i The Kinks wydali swe znakomite debiutanckie albumy, The Animals mieli na koncie olbrzymi międzynarodowy przebój *The House Of The Rising Sun,* Bob Dylan sposobił się do etapu elektryfikacji, a The Who zaproponowali światu swój pierwszy wielki młodzieżowy hymn – *My Generation.* Elvis miał dopiero (albo „aż", jak na ówczesne rock'n'rollowe normy) 29 lat. Młodzi byli po prostu młodzi, a starzy – rzeczywiście starzy. Dzieląca ich przepaść gustów, doświadczeń i pokoleń wydawała się nie mieć dna.

Przypominało to trochę status muzyki jazzowej w latach 20., która obwołana została medium młodych z generacji F. Scotta Fitzgeralda.

Czas wszakże płynie nieubłaganie. W obu przypadkach – jazzie i rocku – ani wykonawcy, ani znaczna część ich publiczności nie traktowali jednak faktu przemijania poważnie. Pierwsi nie zamierzali dob-



THE WHO


JIMMY PAGE

Mam nadzieję, że umrę zanim będę stary

My Generation – The Who, 1964


RINGO STARR


PAUL McCARTNEY

rowolnie zejść ze sceny; drudzy – opuścić sal koncertowych. Podczas tournée The Who po USA w 1979 roku, a dwa lata później – The Rolling Stones, ogromne stadiony i audytoria wypełnione były do ostatniego miejsca przez ludzi w wieku od 15 do 35 lat. Dinozaury nie chciały wymierać, choć ich zagładę ledwie kilka lat wcześniej zapowiedzieli punkrockowi obrazoburcy. Na przełomie lat 70. i 80. kult młodości jako podstawowego atrybutu rocka był wciąż tak silny, iż nikt – mimo oczywistych przesłanek – nie odważył się głośno powiedzieć, że mimo potężnego dopływu świeżej krwi

Rock się starzeje;

nie jest już tylko i wyłącznie muzyką– środkiem przekazu pokolenia wstępującego w życie, pragnącego swymi doświadczeniami i spostrzeżeniami podzielić się z rówieśnikami – w hermetycznym języku. Wbrew intencjom Malcolma McLarena, po płyty Sex Pistols z zaciekawieniem sięgnęli trzydziestoletni fani rock'n'rolla, a sukces The Stranglers – których lider, Hugh Cornwell urodził się w 1950 roku, a perkusista Jet Black był rówieśnikiem Elvisa i najstarszego Stonesa, Billa Wymana – w pewnym sensie potwierdził fakt metamorfozy rocka z młodzieżowego na międzypokoleniowe medium. Dzisiaj nikt już nie dziwi się (oczywiście, na Zachodzie), widząc na koncertach rodziców ze swymi dorastającymi pociechami.

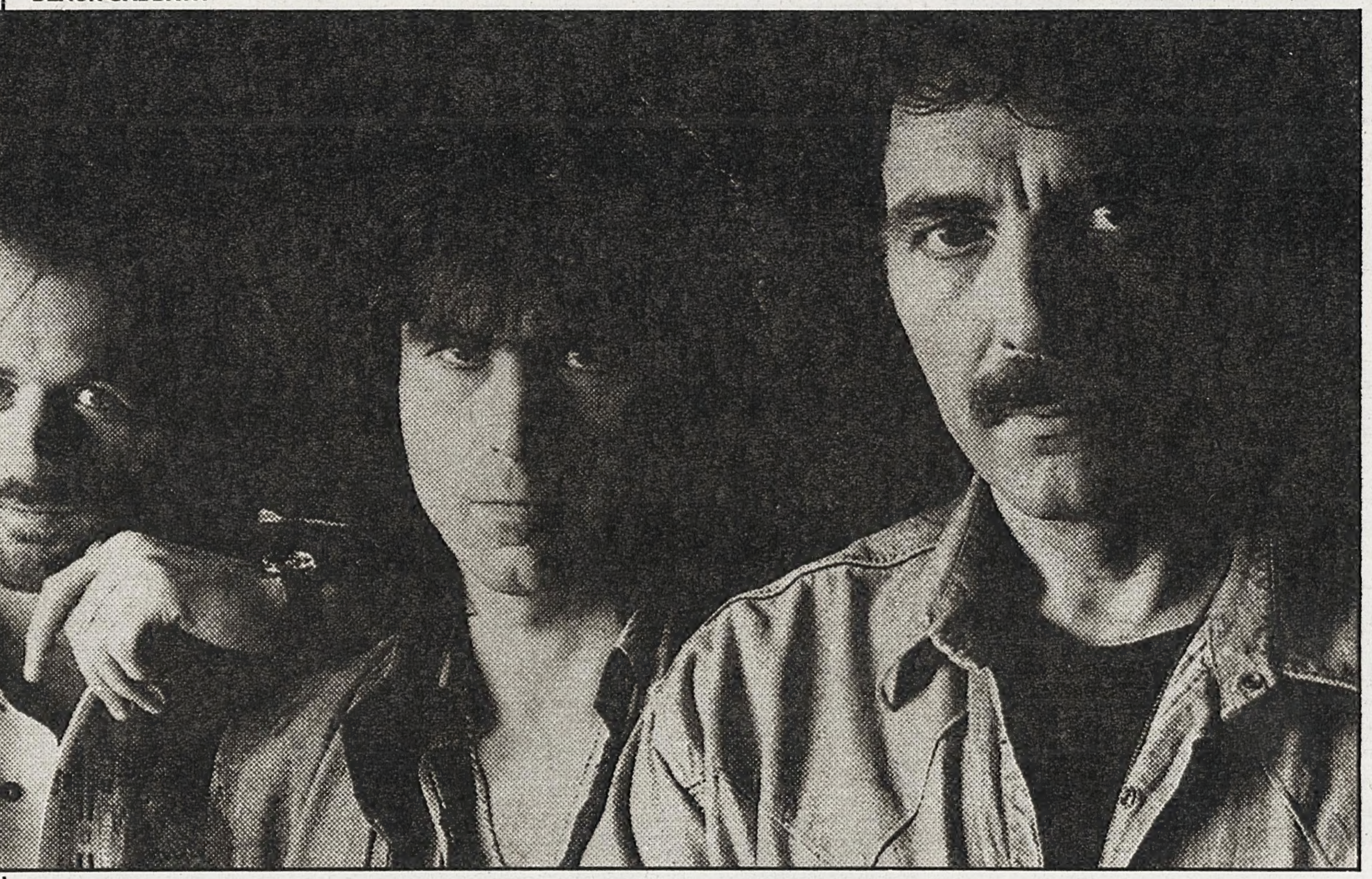
Te naturalne, związane z upływem czasu przemiany musiały odbić się także i na samej percepcji rocka. Ostatnie trzy lata aż nadto dobitnie uzmysłowiły nawet największym niedowiarkom, iż najtreściwszym paliwem sukcesu – a o prawdziwym sukcesie nie można mówić bez zawojowania Ameryki – jest mieszanka oczywistości (odwoływanie się do tradycji, starych sentymentów i nostalgicznych uczuć) i rock'n'rollowego cyrku. Trzecim składnikiem – ważnym przede wszystkim dla najmłodszej części publiczności – jest magia legendy – czy to starszej (The Rolling Stones, The Who, Beach Boys, Grateful Dead), czy też świeższej daty (Madonna, Prince, Michael Jackson). Jednym słowem, współczesny bywalec stadionów i wielkich audytoriów, gdzie odbywają się mamucie rockowe spektakle, posunął się trochę w latach i przesunął na pozycje cokolwiek konserwatywne. Oczekuje przede wszystkim rozrywki i widowiska, przeżycia stanu zbiorowej ekstazy, a nie – rewolucyjnych przesłań i doraźnej sloganowości. Dla tych ostatnich stosowniejsze są kluby dla kilkuset wtajemniczonych.

Porozmawiajmy jednak najpierw

O pieniądzach.

Jeśli już decyduję się na wydanie wcale niebagatelnej sumy na bilet, muszę mieć zagwarantowane, że usłyszę to, co chcę usłyszeć i podane to będzie w sposób wystawny i superprofesjonalny, do jakiego przyzwyczaiły mnie płyty kompaktowe i video clipy. Tak zdaje się rozumować przeciętny odbiorca rocka drugiej połowy lat 80. Po raz pierwszy – jako krytyk – zdałem sobie z tego sprawę trzy lata temu, jesienią, kiedy na Wembley wystąpił ZZ Top, a w telewizji obejrzałem film, nakręcony latem 1986 r. podczas koncertu Queen na tymże stadionie. Na darmo „postępowcy" nawoływali do bojkotu zespołu Freddiego Mercury'ego z powodu przyjęcia przezeń zaproszenia na występy w sercu apartheidu – Sun City w Południowej Afryce. Na stadionie był komplet. Dodać tu trzeba, że dokładnie w tym samym czasie na listach bestsellerów po obu stronach Altantyku królował album Paula Simona *Graceland*. O ile nowe zespoły i nowy rock w swej masie i różnorodności wywoływały dezorientację i podziały w środowisku młodzieżowym, wykonawcy o ustalonej renomie publiczność integrowali. A oto przecież w tej całej zabawie chodzi.

Nie będzie chyba błędne stwierdzenie, że ogromną falę nostalgii, umożliwiającą w USA wielu weteranom radosny powrót na sceny i do studiów, wywołało pojwienie się muzyki wprost odwołującej się do końca lat 60., granej przez grupy w rodzaju R.E.M., The Dream Syndicate, The Rain Parade czy The Long Ryders. To nowe stare „podziemie" dało impuls do reaktywowania się inspirujących je przecież formacji The Byrds (aż w trzech wydaniach – Michaela Clarke'a, Gene'a Clarka i Rogera McGuinna), The Mamas And The Papas, Crosby Stills Nash And Young, a ostatnio – Jefferson Airplane. Po wielu chudych latach nagle w centrum uwagi znaleźli się m.in. wspomniany Paul Simon, John Fogerty, Robbie Robertson, George Harrison. Zaskakujący też jest fakt, że największy sukces komercyjny w całej karierze Grateful Dead odniósł dzięki opublikowanemu w 1987 roku albumowi *Touch Of Grey*.



CZTERDZIESTOLATKI

„Tradycyjny" rock w oryginalnym opakowaniu okazał się bardziej wiarygodny od stylizacji (wyłączywszy R.E.M.), nic więc dziwnego, że wielkie koncerny płytowe zdecydowały się zainwestować w jego promocję ogromne pieniądze, a rezultaty przeszły wszelkie oczekiwania. Nie tak dawno zaskakujące powodzenie koncertów tak różnych wykonawców jak Simon And Garfunkel, The Monkees i Pink Floyd sprawiło, iż w tym roku na tournées zdecydowali się m.in. The Rolling Stones, The Who, Paul McCartney, Ringo Starr, The Allman Brothers, Jefferson Airplane, Beach Boys wraz z Chicago, Grateful Dead, America, Three Dog Night, ponownie The Monkees, Bee Gees, a nawet – Doobie Brothers. Pete Townshend nie kryje, że jednym z głównych powodów „odmrożenia" The Who po siedmiu latach jest nie tylko chęć hucznego uczczenia 25 rocznicy istnienia zespołu, ale pieniądze: *Nagle zdałem sobie sprawę, że sedno sprawy – coś innego niż samo przybycie do Ameryki i odbycie tam tournée – tkwi w tym, że Ameryka uparła się by odesłać mnie z powrotem do domu jako bardzo, bardzo bogatego człowieka. A to jest przyjemne uczucie.* Ocenia się, że The Who wrócą do Anglii bogatsi o co najmniej 30 milionów dolarów. Wstępny kontrakt The Rolling Stones z agencją CPI (Concert Productions International) z Toronto gwarantuje grupie nie mającą precedensu w historii show businessu sumę 65–70 milionów dolarów. Doprawdy przyjemna odmiana po finansowych porażkach solowych prób Micka Jaggera i Keitha Richardsa. Jak czasy się zmieniają, świadczy to, że Johnowi Lydonowi zaoferowano wiosną 2 miliony za reaktywowanie Sex Pistols na letnie tournée po USA.

Ostatnie trzy lata obnażyły gorzką prawdę: w chwili obecnej

Sprawdzeni wykonawcy nie mają właściwie konkurencji.

Nowsze zespoły, by zaistnieć w komercyjnym tego słowa znaczeniu na rynku amerykańskim, muszą liczyć się ze stratami. Pozostaje nadzieja, że mimo wszystko zainteresuje się nimi dosyć ludzi, aby owe straty pokryte zostały z zysków ze sprzedaży płyt. Jak już powiedziałem, dla wykonawców „z przesłaniem" nie ma miejsca w rock'n'rollowym cyrku. Wyjątkiem potwierdzającym regułę pozostaje tylko U2, które zarobiło w 1987 roku w USA 38 milionów, ale wystarczy posłuchać *Rattle And Hum* (albo obejrzeć film), by dostrzec jak ogromnej amerykanizacji uległa ich muzyka. Jeśli chodzi o przybyszów z Wysp Brytyjskich, którzy debiutowali po 1977 roku, prawdziwie autentycznym sukcesem za oceanem poszczycić się mogą jedynie nie istniejący już The Cult (po płycie *London Calling)*, Dire Straits, The Police i Sting oraz Eurythmics. Ci, którzy pragną go odnieść muszą dostosować się do wymogów tamtejszej klienteli (The Cult). Samym Amerykanom młodszego pokolenia też nie jest łatwo. Daleko większe szanse na sprzedaż pół miliona egzemplarzy płyt (i więcej) oraz 10–20 tysięcy biletów na koncert mają Steve Winwood, powracający właśnie z pięcioletniej nieobecności Don Henley (The Eagles), Bob Seger czy Billy Joel niż znacznie od nich oryginalniejsi – ale też mieszczący się w okolicach głównego nurtu The Replacements albo 10 000 Maniacs. Chyba że gra się ową uniwersalną odmianę hard rocka „od lat 7 do 77" jak Bon Jovi, Mötley Crüe i Guns'n'Roses i wypracowało się efektowny image.

Wcześniej napisałem, że iskrą, która wprawiła w ruch tę całą retrorockową maszynerię był tradrock lat 1983–85, ale podstawowym warunkiem jej funkcjonowania pozostaje od lat w USA

Radio,

którego działalność jeden z producentów płytowych określił pogardliwie jako „plądrowanie skamielin". W praktyce oznacza to, że około 80 procent muzyki granej przez 200 wiodących radiostacji o profilu AOR (album-oriented-rock) stanowi rockowa klasyka. Jeśli chodzi o „nowych", przepustką na antenę rozgłośni cieszących się największą popularnością – np. WMMR z Filadelfii lub WNEW z Nowego Jorku – jest ścisły związek ich propozycji z tradycją. Podobna orientacja wykrystalizowała się pod koniec lat 70., kiedy konsultanci programowi odkryli, iż – ogólnie rzecz biorąc – masowa publiczność (w Stanach zawsze raczej konserwatywna) nie chce słuchać nowych grup hardrockowych, nie obchodzi jej żadne ambitne „podziemie" i nudzi ją Nowa Fala. Nie ma tu jednak żadnej artystycznej „ideologii", ale – jak to w Ameryce – pieniądze. Firmy reklamujące się w radiu adresują swoją ofertę do nowej młodej zamożnej klasy średniej – tzw. yuppies – czyli ludzi w wieku od 25 do 40 lat, którzy przede wszystkim pragną słuchać The Doors, Led Zeppelin, The Rolling Stones lub The Who – tego co dobrze znają i z czym czują się związani emocjonalnie.

Pod kątem wymagań stacji AOR, zapewniających doskonałą promocję, kształtują więc politykę wydawniczą wszystkie liczące się wytwórnie płytowe: w tym roku ukazały się albumy Doobie Brothers, Little Feat, Jacka Bruce'a, The Allman Brothers i ich oryginalnych członków Gregga Allmana i Dickey Bettsa, Black Sabbath, Jefferson Airplane, dawnych muzyków Yes (Anderson, Bruford, Wakeman, Howe), Dave'a Masona, Poco i Davida Crosby'ego.

W tym miejscu łańcuch łączący wszystkie główne ogniwa wielkiego show businessu zamyka się i nic nie wskazuje na to, aby taki status quo uległ zasadniczej zmianie w ciągu najbliższych lat. Aby znaleźć się w rock'n'rollowym cyrku i wyjść z niego z milionami, należy zaakceptować rządzące nim reguły gry, a te zakładają konieczność zwrotu do rockowego mainstreamu – do tradycji. I to bez „wydziwiań" à la Sonic Youth czy Swans sprzed lat, bez porównania lepiej odbieranych w Europie niż u siebie.

Z drugiej strony, odpowiedzialność za taki stan rzeczy ponoszą również sami

Młodzi wykonawcy,

którzy zbyt często – z różnych zresztą przyczyn – zamykają się w kultowym kręgu, zadowalając się ledwie kilkusetosobowymi audytoriami, nie przywiązując większej wagi do image'u. Nie rzadko mamy tu do czynienia z propozycjami bardzo ciekawymi i dojrzałymi, o sporych możliwościach komercyjnych, ale nie wiadomo dlaczego pieczołowicie kultywowana „zwyczajność" ich twórców przekreśla szanse dotarcia z nimi do szerokiej publiczności.

Na przestrzeni trzydziestu z górą lat rock stał się świętem i wytworzył swego rodzaju rytualną więź między wykonawcą i słuchaczem – zwłaszcza podczas koncertów. Wiedzą o tym doskonale weterani, lecz debiutanci lat 80. nagminnie ją lekceważą. Oto jeszcze jedna przyczyna starzenia się rocka, która może doprowadzić do zerwania kontaktu z jego dotychczas podstawowym odbiorcą – nastolatkiem. Już dziś nietrudno dostrzec, iż młodzież w przedziale wiekowym 14–20 lat najchętniej sięga do nagrań typu dyskotekowego i utożsamia się silniej z bezpretensjonalnymi piosenkami kreowanych przez przemysł rozrywkowy gwiazdeczek w rodzaju Jody Watley, Debbie Gibson, Soni, Jasona Donovana lub Ricka Astleya. Niebezpieczeństwo to sygnalizują cotygodniowe listy przebojów po obu stronach Atlantyku, na które coraz rzadziej trafiają single z gatunkowo czystym rockiem.

JERZY A. RZEWUSKI



KEITH RICHARDS

JANE'S ADDICTION: ROCKOWA MAGIA

PRZYJACIEL JANE

Perry Farrell dobiega trzydziestki i – zdaniem Michaela Goldberga z „Rolling Stone" – wygląda niczym *punkowo-psychodeliczny szaman.*

Rzeczywiście, nosi się dziwacznie.

Ma kółko w nosie, robi sobie niebieski makijaż, farbuje długie włosy na zielono i zaplata w rastamańskie warkoczyki, dreadlocks. Na dodatek ubiera się ze szczególnym szykiem: coś między elegancją kloszarda a kempingowym luzem.

Farrel przyjmuje dziennikarzy w swym mieszkaniu na peryferiach Los Angeles, urządzonym w dawnym pomieszczeniu sklepowym i – jak się łatwo domyślić – dość dziwnie wyposażonym. W jedynym pokoju tego mieszkania zobaczyć można łóżko, z rozpiętym nad nim spadochronem, a ponadto: motocykl, bardzo wysoki kaktus, kilka czaszek i trochę książek. Perry dzieli to locum z kogutem Pedro, umieszczonym w klatce. I z piękną dziewczyną Casey Niccoli, która podobno niechętnie wkłada coś na siebie. Perry – jakby wbrew swej niesamowitej aparycji – mówi coś najzwyklejszego, gdy rozmowa schodzi na temat Casey: *Kocham moją dziewczynę.*

Jednak chętnie dzieli się bulwersującymi szczegółami swego życiorysu. Opowiada, że był kiedyś męską prostytutką; że przez pewien czas mieszkał z narkomanką o imieniu Jane i dzięki temu powstała jego piosenka *Jane Says.*

A przede wszystkim wygłasza swoje teorie na różne tematy. I też może nimi bulwersować.

Na początku tego roku przekonywał wysłannika „Rolling Stone", że piosenkarskie próby Charlesa Mansona były równie ważne jak płyty Velvet Underground.

Nazwisko Mansona padło tu nie przypadkiem. Jak się zdaje, Farrella intrygują ciemne strony ludzkiej egzystencji i ludzkiej natury. Nawet sformułował sobie własną „filozofię bólu". Oto próbka – którą przekazuję za „Rolling Stone". – *Doświadczyłem dość bólu, aby zasłużyć sobie na życie.*

Dziennikarzowi „Melody Maker" zrobił następujący wykład: *Moim zdaniem nie ma czegoś takiego, jak zdrowie psychiczne. Mogę spojrzeć na kogoś, kogo psychiatra uznałby za normalnego, i dojrzę w nim wariata. Prawdopodobnie wielu psychiatrów wydałoby mi się szaleńcami. Każdy ma na to własne określenie... Morderstwo jest jakąś formą rozładowania się. Mówi się, że to w porządku zabijać w obronie własnej lub w obronie ojczyzny. Ale to szaleństwo zabić kogoś. Powiedzmy sobie szczerze – nasz prezydent to morderca. Zabija codzienie. Wydaje takie rozkazy. Reagan był wariaten. Każdy nasz prezydent był nienormalny.*

I dodał na koniec: *Nie mówię, że sam bym nie zabił. Mógłbym zabić, gdyby ktoś robił krzywdę mnie albo osobie, którą kocham.*

Farrell podaje dziennikarzom swoje credo: *Chciałbym mieć spokój i nie przeszkadzać innym.*

Chce przyglądać się życiu wokół i żyć po swojemu.

Czyli tworzyć.

NAŁÓG JANE

Perry Farrell – wokalista i autor piosenek – próbował znaleźć sobie miejsce na rockowej estradzie od 1981 r. Zaczynał z własną grupą Psi-Com i z postanowieniem, że zaproponuje coś niecodziennego, nie przystającego do ówczesnej mody. Dwa lata pracował nad rock-operą *Buddy Clear-Eyes,* która nie doczekała się wystawienia. Już wówczas używał swego wymyślonego, przekornego imienia i nazwiska (od „peripheral" – „peryferyjny").

Wiosną 1986 r. zakończył formowanie Jane's Addiction; ten Nałóg Jane to on i trzej nieco młodsi – mający nieco ponad dwadzieścia lat – muzycy, o podobnym spojrzeniu na świat. Są to: David Navarro – gitara, Eric Avery – gitara basowa i Stephen Perkins – perkusja.

Zespół dość szybko zyskał pewien rozgłos na amerykańskim Zachodnim Wybrzeżu i wzbudził zainteresowanie show businessu. Perry miał propozycje od koncernu Warner Bros, lecz postanowił postąpić jak na rockowego oryginała przystało: jego grupa nagrała swój debiutancki longplay dla małej, niezależnej wytwórni XXX z Hollywood; płyta *Jane's Addiction* zrealizowana została podczas koncertu w 1987 r. i w tymże roku wydana. Następnie kwartet przeszedł do Warner Bros. Pierwszy – i jak na razie jedyny – tego rezultat to longplay *Nothing's Shocking* z 1988 r.

Płyta zaintrygowała szeroką publiczność. Tak zaczęła się prawdziwa kariera Farrella i jego kolegów. Nobilitowali się wspólnym tournée z Iggym Popem, nestorem rockowych szaleńców.

Chyba było to niezłe połączenie.

SZTUKA JANE

Perry Farrell mawia, że zbyt mało jest wielkiej muzyki i wielkich zespołów; że gotów jest zrobić wszystko, aby Jane's Addiction dołączył do ich grona. Twierdzi ze śmiechem, iż całe swe życie zajmował się sztuką. A później poważnieje i komunikuje, że uważa się za artystę.

I ma ku temu bezdyskusyjne powody.

Jane's Addiction na pewno jest swego rodzaju prowokacją artystyczną; już począwszy od zwariowanego image'u Farrella i perwersyjnych ilustracji na kopertach płyt.

Pisane przez Perry'ego teksty piosenek są ambitniejsze od rockowej średniej. Może w nich drażnić trywialność – niekiedy nawet wulgarność – niektórych sformułowań, ale też jest w nich coś poetyckiego. I pojawia się zgoła publicystyczna pasja. Farrell śpiewa o tym, że idioci rządzą i że upodabniamy się do nich (*Idiots Rule*). Śpiewa o dziewczynie, która nie była nigdy zakochana i wie tylko tyle, iż mężczyźni chcą ją mieć (*Jane Says*). Śpiewa też o względności najpiękniejszych uczuć w naszym świecie (*Summertime Rolls*), o ułudzie tradycyjnego wychowania (*Had A Dad*), o ogłupiającej telewizji (*Ted, Just Admit It*).

Niby są to tematy poruszane już tysiące razy przez rockowych autorów, ale Farrellowi wychodzi to świeżo i bardzo sugestywnie; recenzenci uznali płytę *Nothing's Shocking* za żarliwe oskarżenie amerykańskiego społeczeństwa kończącej się dekady...

Jane's Addiction to nie tylko prowokacja. To także – kolejne w ostatnich latach – spektakularne potwierdzenie siły rocka, pojmowanego jako przeciwieństwo pop music. Jako estradowe wyzwanie. Oczywiście, trzeba tu również powiedzieć o muzyce firmowanej przez cały kwartet.

W jednym z artykułów o Jane's Addiction trafiłem na opinię, że jest to *myślący zespół heavymetalowy.* Z muzycznego punktu widzenia można przyjąć, iż grupa Farrella mieści się w nurcie, w którym prym wiedzie Guns'N'Roses; w nurcie, który nazwałbym „odrodzonym hard rockiem", bo bardzo silnie nawiązuje do tego, co było najbardziej ekspresyjne, agresywne brzmieniowo w muzyce młodzieżowej przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.

Ale prawdę powiedziawszy przypadek Jane's Addiction jest bardziej złożony.

Farrell podaje jako swych ulubionych artystów Iggy'ego Popa, Patti Smith, The Cure, Pixies, Throwing Muses. A debiutancki longplay jego grupy nie pozostawia wątpliwości, że ma też innych mistrzów (zresztą cenionych przez wymienionych rockmenów). W repertuarze Jane's Addiction znalazły się – *Sympathy For The Devil* Rolling Stones (w wersji chwilami łudząco podobnej do oryginału) i *Rock'n'Roll* Lou Reeda, podany... całkiem stonesowsko. W części własnych kompozycji zespół próbuje niby-folku – mówi się teraz neofolk – i robi to także niczym Jagger i spółka (*Jane Says*). W tym krzykliwym „folkowaniu" Farrella jest też może jakiś odblask poszukiwań Led Zeppelin sprzed lat (*My Time*). Z pewnością jest coś „zeppelinowego" w bardziej metalowych utworach; zarazem można się w nich doszukiwać odniesień do amerykańskiego hard rocka i punku z lat siedemdziesiątych (*Trip Away; Whores*).

Nothing's Shocking potwierdza heavymetalowe inklinacje Jane's Addiction. Kwartet funduje słuchaczom dźwiękową kurację wstrząsową, trochę przypominającą Black Sabbath z czasów *Sabotage* (*Ted, Just Admit It*), lecz również cofa się do metalowych źródeł; o ile tak można określić inspirowanie się tym, co było najbardziej chwytliwe w dorobku Jimiego Hendrixa (*Ocean Size*) i Led Zeppelin (*Had A Dad*). Zarazem daje o sobie znać upodobanie do rocka psychodelicznego z przeszłości, może nawet należy tu wymienić Pink Floyd (*Summertime Rolls*). A jakby tego było mało: Farrell ze swymi muzykami pokazuje, że potrafi żonglować klasycznymi wzorami – połączyć melodię w stylu The Who z typową dla The Rolling Stones rytmiką (*Standing In The Shower, Thinking*).

I wszystko to nie ma plagiatorskiego posmaku!

W muzyce Jane's Addiction z *Nothing's Shocking* (jak i w ekspresyjnym śpiewie Perry'ego) słychać też, że były – punk, new wave, thrash; że mamy schyłek lat osiemdziesiątych.

Szaman Ferry zna się na rockowej magii.

WIESŁAW KRÓLIKOWSKI

JANE'S ADDICTION – od lewej: PERKINS, NAVARRO, AVERY, FARRELL





BOB MOULD

25 stycznia rozpadła się grupa Hüsker Dü, jeden z najważniejszych i najbardziej wpływowych wykonawców amerykańskich lat 80. Obok płyt The Replacements, The Minutemen i R.E.M., jej dorobek najpełniej i najprecyzyjniej dokumentuje niepokoje, obawy i frustracje dwudziestolatków z epoki reaganowskiej – począwszy od debiutanckiego albumu *Land Speed Record* z 1980, poprzez EP *In A Free Land* i zbiory *Everything Falls Apart, Metal Circuit, Zen Arcade, New Day Rising, Flip Your Wig* i *Candy Apple Grey*, po pożegnalny, dwupłytowy *Warehouse: Song And Stories* z 1987 r. Wyrastając z punkrockowej rewolty, współtworząc jego amerykańską odmianę hardcore, Hüsker Dü (co po szwedzku znaczy „czy pamiętasz?") jako pierwszy odrzucił pokusy doraźności i chwytliwej, sloganowej retoryki – podjął się ambitnego i – wydawałoby się – beznadziejnego zadania rehabilitacji ideałów ery hippisowskiej. Nie jest z pewnością przypadkiem, że dwa lata po ich debiucie, w Anglii pojawił się tzw. pozytywny punk, a nieco później – The Jesus And Mary Chain. Jeśli w wyobraźni wyciszymy potężny gitarowy atak i przebijemy się przez gęstą fakturę przepuszczonych przez fuzzbox dźwięków i sprzężeń, pozostaną znakomicie skonstruowane, łatwo wpadające w ucho melodie, stanowiące główną siłę rocka lat 60.

W 1987 roku żaden z trzech muzyków tworzących Hüsker Dü nie miał jednak wątpliwości, iż zespół wszedł w fazę artystycznej stagnacji. Sytuację pogorszyło samobójstwo menażera, Davida Savoya, w przeddzień tournée pod hasłem Warehouse i odbijające się na jakości koncertów uzależnienie perkusisty Granta Harta od heroiny. Ponadto, coraz bardziej niezdrowego charakteru nabierała rywalizacja między Hartem i Mouldem. Basista Greg Nortown był bezradny. Niemniej, cała trójka sposobiła się do nagrania nowego, trzeciego dla firmy Warner Bros, albumu w studiu Prince'a, Paisley Park. Do jego powstania jednak już nie doszło. Po koncercie w miejscowości Columbia w stanie Missouri, podczas którego Hart był podobno tak zaćpany, że ledwie mógł utrzymać w rękach pałki, Mould zdecydował się odejść.

Działo się bardzo źle – wspomina tamte przykre chwile Mould. – *Wszyscy mieliśmy jakieś problemy, nie tylko Grant. Czuję się fatalnie z powodu tego, że właśnie z niego zrobiono kozła ofiarnego,winnego rozpadnięcia się zespołu, podczas kiedy to ja odszedłem. Nikt nie dostał żadnego ultimatum i nikt nie został wyrzucony. Nie miałem powodu by pozostać – był to jeden z tych związków, które przestały istnieć.*

Dzisiaj Greg Norton pisze piosenki i prowadzi bar w Red Wing w stanie Minnesota, Grant Hart przezwyciężył szybko nałóg i już w zeszłym roku zadebiutował EP *2541*. Stoi na czele grupy Nova Mob, która nagrała dla SST album *Knock A Hole In It*. Mould powrócił w rodzinne strony, do stanu Nowy Jork, i początkowo zamierzał zrezygnować z kariery muzycznej. Przypadkowo jego nowe piosenki usłyszał perkusista Anton Fier, niegdyś członek Pere Ubu, dzisiaj – lider efemercznej formacji Golden Palominos. *Kiedy po raz pierwszy usłyszałem ten materiał* – mówi Fier – *Steve Fallon (który prowadzi klub Maxwell w Hoboken) powiedział mi, że parę osób, którym Bob puścił te taśmy w ogóle nie dało mu żadnego duchowego wsparcia. Utrzymywali , iż powinien brzmieć podobnie do Hüsker Dü. A on czuł się wtedy bardzo niepewnie. Mnie ten materiał wydał się znakomity. Było to doskonałe rozwinięcie niektórych utworów nagranych z Hüsker Dü – tych późniejszych.* W rzeczy samej, dwie z tych nowych piosenek – *Wishing Well* i *Brasilia Crossed With Trenton* – stały się późniejszymi ozdobami pierwszej solowej płyty Moulda, *Workbook*, która ukazała się późną wiosną bieżącego roku.

W skład grupy akompaniującej Mouldowi weszli – nie trudno się domyślić – Fier, basista Pere Ubu – Tony Maimone oraz wiolonczelistka Jane Scarpantoni z zespołu Tiny Lights z Hoboken. Ten ostatni instrument zapewnił w większości akustycznej muzyce Moulda – wywodzącej się z tradycji balladowych utworów The Beatles, Jethro Tull, Traffic, Crosby Stills Nash And Young, The Byrds i Velvet Underground – całkiem nowy, posępny wymiar. *Miała ona* (wiolonczela) *za zadanie snuć pewien dodatkowy wątek, będący przeciwieństwem soczystej aranżacji. Siła tego instrumentu jest absolutnie fenomenalna. Tutaj oglądamy te ponure filmy dokumentalne o II wojnie światowej, w których wprowadza się intensywne solowe frazy wiolonczeli, by oddały chwile największej udręki.*

Workbook – ze swoimi na pół akustycznymi balladami o nieskazitelnie budowanych napięciach, podkreślających dramatyzm tekstów, wybuchający na koniec wściekłym gitarowym jazgotem w *Whichever Way The Wind Blows* (*Helter Skelter* na lata 80?) – jest płytą, która niechybnie stanie się poważnym pretendentem do miana albumu roku 1989. Niepokoje i gniew młodości z czasów Hüsker Dü ustąpiły miejsca refleksji i goryczy wieku dojrzałego. Próżno tu jednak szukać rezygnacji – w tej muzyce wciąż tli się bunt.

Nieśmiały, zamknięty w sobie, mający problemy z komunikowaniem się z innymi ludźmi, 28-letni Mould całe dnie spędza w swoim małym studiu, bez przerwy komponując. Na pytanie czego się najbardziej boi, odpowiada: niezrozumienia. *Mam nagranych pięć albumów na wypadek śmierci. Szpule są wyraźnie oznaczone, maszynopisy starannie uporządkowane w ogniotrwałej kasetce. Wydaje mi się, że ten strach przed niezrozumieniem jest tak wielki, iż zabezpieczam się by to, co nie zostało wypowiedziane mogło być z łatwością znalezione.*

JERZY A. RZEWUSKI



W. AXL ROSE

SEX & DRUGS & ROCK'N'ROLL

(według W. AXL ROSE'A)

SEX: *Miałem kilka bardzo złych doświadczeń z homoseksualistami. Kiedy po raz pierwszy przyjechałem do Los Angeles, miałem jakieś 18 czy 19 lat. Gdy jechałem po raz pierwszy autostopem, pewien facet powiedział, że mogę się zamelinować w jego pokoju hotelowym. Poszedłem spać i obudziłem się, gdy ten gość próbował mnie zgwałcić. Zrzuciłem go na podłogę. On znowu zaatakował. Pognałem w kierunku drzwi. On za mną. Przydusiłem go drzwiami do ściany. Miałem przy sobie zwykły nóż, wyciągnąłem go i powiedziałem: „Nie waż się mnie dotknąć! Nie waż się myśleć o dotknięciu mnie! Nie waż się nawet zabawiać sam z sobą, myśląc o mnie!". Wziąłem swoje rzeczy i ulotniłem się nie mając dokąd iść, gdzieś w środku nieznanego, na obrzeżach St. Louis. Stąd też bierze się mój negatywny stosunek do tych praktyk.*

Jestem zwolennikiem heteroseksualizmu. Nigdy nie mam dosyć kobiet i nie dostrzegam w mężczyznach tego, co widzą w nich inni mężczyźni. Jest w tym trochę hipokryzji, bo ponad wszystko lubię patrzeć na dwie kochające się kobiety. Ale to moja osobista przyjemność.

Jestem człowiekiem, który żyje w wielu różnorodnych związkach. Bardzo trudno jest mi pozostać dłużej z jedną osobą, gdy ona nie pozwala mi być z innymi. Mam doprawdy bardzo otwarte, hedonistyczne i erotyczne podejście do rzeczy.

DRUGS: *Nie jestem i nigdy nie byłem ćpunem. W ostatnim wywiadzie ze mną „RIP Magazine" wyrwał z kontekstu moje otwarte przyznanie się do brania narkotyków. To było dwa lata temu i trwało tylko dwa tygodnie, kiedy nie miałem nic innego do roboty. Nigdy też nie przekroczyłem granicy bezpieczeństwa. Nie znaczy to, że w pewnym momencie, kiedy będę już miał dosyć życia, nie zdecyduję się na przedawkowanie.*

Nie chcę dożyć chwili, gdy narkotyki rozwalą Guns'n'Roses. Będę przeciw, gdy sprawy posuną się za daleko. Dla mnie „za daleko" oznacza nawet jeden wdech koki. Ten jeden wdech powoduje, że tracę głos na cały tydzień. Nie wiem dlaczego. Może dlatego, że kiedyś sporo tego brałem. Może to poczucie winy, które ulokowało się w moim gardle. Wiem tylko, iż nie jest to dla mnie zdrowe. A jeśli ktoś powie: „Ludzie, to już nie jest ten sam rozrywkowy facet", odpowiadam: „Hej, odpieprzcie się! Chcecie mieć nową płytę, czy nie?"

ROCK'N'ROLL: *To jest zawsze trudne dla mnie pytanie* (jaka muzyka i które zespoły mi się podobają). *Ostatnio słuchałem Derek And The Dominoes, The Bar-Keys. Podoba mi się pierwszy album Patti Smith. Zaczynam odkrywać The Cure. Staram się wyszukiwać takie rzeczy, które we mnie coś otwierają. Lubię Sound Garden – ich wokalista dosłownie zwala mnie z nóg. Z wykonawców klubowych odpowiada mi Saigon Saloon.*

Dzisiaj moją ulubioną płytą jest „Something/Anything" Todda Rundgrena, ale wciąż mam stałych faworytów, jak Sex Pistols, ELO i Queen. Dwie kasety, które zawsze kupuję, gdy mam pod ręką magnetofon, a akurat nie mam ich w torbie, to „Never Mind The Bollocks" i „Queen II". Byłbym w rozterce, gdybym miał zdecydować, którą z nich chciałbym zabrać ze sobą na bezludną wyspę. Chyba Pistolsów, bo – być może – gdyby ich puszczał, usłyszałby to jakiś przepływający statek. (jr wg „Rolling Stone")

JETHRO TULL



NA ROCKOWEJ WYSPIE

W 1988 R. zespół Jethro Tull obchodził swoje dwudziestolecie. Ukazał się pięciopłytowy album *20 Years Of Jethro Tull*, zawierający wszystkie najciekawsze nagrania grupy oraz wiele wcześniej nie publikowanych utworów. Wydana też została kaseta video pod tym samym tytułem, a zespół odbył światowe tournée, promując zrealizowany jesienią 1987 roku kolejny LP *Crest Of A Knave*, będący dowodem wciąż świetnej formy Iana Andersona i jego kolegów. Pomysłowość i żywotność Andersona, a także nieustająca popularność Jethro Tull zdają się potwierdzać odwieczną tezę, że stary dobry rock and roll, mimo długiej brody, nie zamierza umierać.

Kilka miesięcy temu w sklepach pojawił się następny album Jethro Tull, *Rock Island*. Jeśli nie liczyć płyt kompilacyjnych, jest to dwudziesty longplay nagrany przez Iana Andersona od 1968 roku. On bowiem jest właściwym motorem zespołu: kompozytorem wszystkich nagrań, wokalistą, flecistą, gitarzystą, a przede wszystkim aktorem celebrującym na scenie specyficzny rockowy show. Gdy grupa debiutowała albumem *This Was*, Anderson wprawiał się dopiero w komponowaniu. Był wówczas jedynie wokalistą jeszcze jednego bluesowego zespołu, którym opiekowali się Terry Ellis i Chris Wright, założyciele firmy Chrysalis. Podobno powstała ona głównie w celu promowania muzyki Jethro Tull, gdyż wydawcy pierwszego singla *Aeroplane* – MGM Records – nie gwarantowali zespołowi odpowiednich warunków. Ellis i Wright przemianowali agencję koncertową na wytwórnię płytową i – jak się okazało – postawili na właściwego konia. Sami twierdzą po latach, że firma przetrwała i ugruntowała swoją pozycję głównie dzięki Jethro Tull. Zespół zaś przetrwał dzięki niezwykłym zdolnościom Andersona. Ellis dojrzał w nim nie tylko wokalistę, ale przede wszystkim showmana – aktora zdolnego skoncentrować na sobie uwagę publiczności. Od tamtej chwili Ian począł dźwigać na swoich barkach ciężar pełnej odpowiedzialności za Jethro Tull. Już na drugiej płycie *Stand Up* (1969) zespół zerwał prawie całkowicie z bluesem, proponując w zamian oryginalne utwory rockowe, których melodyka wywodziła się z folkowych tradycji. Andersonowi udało się połączyć elementy typowej angielskiej ballady z rockiem, sam zaś wcielił się w postać dawnego minstrela, który jakimś cudem znalazł się w drugiej połowie XIX wieku na rockowej scenie. Od początku lansował też charakterystyczny dziadowski image: rozczochrane długie włosy, równie długie i niezadbane brody, pozornie brudne i niechlujne stroje. Sam zaś pozował na dziada-żebraka, śpiewającego pieprzne piosenki na jarmarku. Legenda głosi, iż nigdy nie poddawał praniu ani konserwacji długiego płaszcza, w którym występował – tak więc po latach rozleciał się on całkowicie, a wcześniej bynajmniej nie pachniał perfumami...

Anderson miał zawsze swoiste poczucie humoru oraz skłonność do rubasznych żartów – zarówno w tekstach piosenek, jak i na scenie. Na koncertowym albumie *Bursting Out* usłyszeć można m.in. jego sposób prezentowania członków zespołu: *... a oto prosto z londyńskiej Akademii Muzyki pan David Palmer... aha, wyskoczył zrobić siusiu, za chwilę wróci...*, zaś koncert z okazji urodzin Bacha zakończył utworem *Thick As A Brick*, zmieniając w ostatnim słowie jedną literkę, co wywołało zgodny rechot wśród publiczności. Na ostatnim albumie również nie zrezygnował z roli starego świntucha w piosence *Kissing Willie* (niezorientowanym pragnę jak najdelikatniej wyjaśnić, że imieniem Willie Anglicy określają pewną sekretną część ciała, zwaną w Polsce pieszczotliwie „ptaszkiem").

W latach 70. Jethro Tull należał do ścisłej czołówki brytyjskiego rocka. Stał się więc jednym z celów punkrockowej nagonki, gdyż tępiono wtedy, dla zasady, wszystkie dinozaury. Niektórzy wykonawcy zrezygnowali z dalszej działalności, inni zmienili maski. Anderson nie zamierzał bynajmniej odejść, nie pragnął też utożsamiać się z większością. Kilka lat wcześniej, gdy krytycy nie zostawili suchej nitki na albumie *A Passion Play*, manifestował jeszcze swoje niezadowolenie groźbami rozwiązania zespołu – były to jednak inne czasy. W drugiej połowie lat 70. po prostu robił swoje – z głęboką wiarą. Krytycy przylepili grupie etykietkę, złośliwie zaczerpniętą z tytułu wydanej w 1976 roku płyty *Too Old To Rock'n'Roll, Too Young To Die* – okazało się jednak, że Jethro Tull zrealizował wtedy kilka swoich najdoskonalszych płyt *(Songs From The Wood, Heavy Horses, Stormwatch)*. W kolejną dekadę wkroczył jednak przystrojony w elektroniczne szatki *(A, Under Wraps)*, co przestraszyło i zniechęciło niektórych fanów. Anderson zmienił wtedy całkowicie skład, pozostawiając jedynie gitarzystę Martina Barre. Jak się później okazało, były to jego przymiarki do zrealizowania solowego albumu. Według wstępnych zamierzeń miał to być *A*, w ostatniej chwili podpisano go jednak nazwą Jethro Tull. Okazało się, że dawni członkowie zespołu przestali być Andersonowi potrzebni. Dzięki temu w grupie znalazł się wtedy na krótko skrzypek i pianista Eddie Jobson, z którego pomocy Ian korzystał przy nagrywaniu *A*. Od tamtej chwili każdy album Jethro Tull nagrywany już był w innym składzie. Wcześniej trzon grupy stanowili m.in. perkusiści Clive Bunker i Barriemore Barlow, basiści Jeffrey Hammond-Hammond i John Glascock, pianista John Evan i organista David Palmer. Potem za perkusją zasiadali kolejno Mark Craney, Gerry Conway i Doane Perry, a Anderson sam obsługiwał automat perkusyjny. Nowym basistą został Dave Pegg, a Peter Vettesse wziął we władanie instrumenty klawiszowe. Solowy LP Andersona ukazał się dopiero jesienią 1983 roku i nosił tytuł *Walk Into Light*. Na okładce znalazła się podobizna mistrza w garniturze, schludnie ostrzyżonego i uczesanego. Flet i gitara tonęły w elektronicznym sosie, który przyprawił Peter Vettesse, mimo to sama muzyka nie odbiegała za bardzo melodyką od tradycyjnego stylu zespołu.

Crest Of A Knave w 1987 roku był powrotem do najdawniejszych recept: znowu gitara i flet zdominowały brzmienie, a muzyka nabrała żywszego rockowego tempa. Andersonowi ponownie udało się wypracować oryginalne i zarazem idealne wyjście. Nie zrezygnował z dobrodziejstw elektroniki – płyta rozpoczyna się niczym nagrania Tangerine Dream – jednak syntezatorowe staccato stanowi tylko wprowadzenie i tło do dynamicznego rockowego przeboju *Steel Monkey*, który równie dobrze mógłby powstać w 1975 roku. Rubaszne jarmarczne „dziady" w nieco zmienionych strojach przetrwały kolejną dekadę i zaaklimatyzowały się doskonale w nowej. U schyłku lat 80. minstrel Anderson powrócił na swoją rockową wyspę, z której przesyła nam coraz to nowe opowieści. *Rock Island* to kolekcja dziesięciu znakomitych utworów: są tu ballady *(Another Christmas Song)*, rockowe przeboje *(Kissing Willie, Heavy Water)*, a także kilka kompozycji rozbudowanych i zaaranżowanych według wciąż skutecznych przepisów z poprzedniego dziesięciolecia *(The Whalers Dues, Rock Island)*.

Ian Anderson: *Chcę być Lee Marvinem rock and rolla. Ten facet jeszcze w wieku 60 lat grywał twardzieli i był w tym dobry. Gdy gram i śpiewam na scenie, nie obchodzi mnie czy robię to dla dwudziestu, czy dwóch tysięcy ludzi. Pragnę tylko czuć, że z każdym z nich mógłbym wyskoczyć na drinka do pubu. Brak takiej świadomości jest czymś najgorszym, co może się przydarzyć twórcy po czterdziestce. Mam już te lata, ale jestem przekonany, że wciąż miałbym o czym rozmawiać przy kieliszku w pubie ze swoją publicznością. I bynajmniej nie ja płaciłbym rachunek.*

TOMASZ BEKSIŃSKI

DYSKOGRAFIA:

1968 – *This Was*
1969 – *Stand Up*
1970 – *Benefit*
1971 – *Aqualung*
1972 – *Thick As A Brick*
Living In The Past (2 LP)
1973 – *A Passion Play*
1974 – *War Child*
1975 – *Minstrel In The Gallery*
MU, The Best Of Jethro Tull
1976 – *Too Old To Rock'n'Roll, Too Young To Die*
1977 – *Songs From The Wood*
The Best Of Jethro Tull, Volume Two
1978 – *Heavy Horses*
Bursting Out – Live (2 LP)
1979 – *Stormwatch*
1980 – *A*
1982 – *Broadsword And The Beast*
1983 – *Walk Into Light* (Ian Anderson solo)
1984 – *Under Wraps*
1987 – *Crest Of A Knave*
1988 – *20 Years Of Jethro Tull* (5 LP lub 3 CD)
1989 – *Rock Island*

ROCK ISLAND

POWRÓT w SIODLE

O grupach pokroju Aerosmith pisze się łatwo. Głębokie analizy twórczości są zbyteczne, a wszystko sprowadza się do opisania kolejnej historyjki o sławie i o bogactwie. Bohaterowie takich opowieści są zobowiązani do potwierdzania w życiu codziennym tego o czym śpiewają. Jest zatem mięcho, pot, krew i męski szowinizm. Jest zdrada, zemsta, sława i upadek. Musi być sex, narkotyki i nadmiernie spożywana whisky. Sprowadza się to do stworzenia atrakcyjnego, buntowniczego obrazu życia muzyków. Będzie on ideałem dla nastoletnich fanów, choć mało który z nich później wydostanie się z drobnomieszczańskiego świata rodziców. Reguła tej gry, o wielkie pieniądze, jest tak skonstruowana, że jej uczestnicy wygrywają, kiedy pójdą na całość. Często musi się to kończyć tragicznie, a tylko ci najwięksi wstają po porażkach na wyprostowane nogi. Do tych ostatnich z pewnością zalicza się AEROSMITH.

Nazwa zespołu po raz pierwszy zostaje wymieniona w doniesieniach prasowych w 1970 r. Grupę założyli wówczas: gitarzysta Joe Perry, basista Tom Hamilton i perkusista Steve Tyler. Tego ostatniego dość szybko za zestawem bębnów zastąpił Joey Kramer, który sprowadził do zespołu drugiego gitarzystę Brada Whitforda. Po krótkim rozstaniu Tyler powrócił do Aerosmith, tym razem w roli wokalisty, a sam zespół przeniósł się z rodzinnego New Hampshire do Bostonu. W nowojorskim klubie Max's Kansas City dostrzegł grupę szef artystyczny wytwórni Columbia, Clive Davis i wkrótce potem został podpisany kontrakt. Na początku 1973 r. pojawił się debiutancki album, nazwany po prostu *Aerosmith.* Nie został on początkowo zauważony, choć zawierał jedną z najlepszych kompozycji grupy, balladę *Dream On.* Dopiero trzy lata później dotarła ona do pierwszej dziesiątki amerykańskiej listy przebojów. Dalszą karierą formacji pokierowała sprawna spółka menażerska. Wydaje się, że ludzie ci mieli wcześniej jasno sprecyzowany obraz zespołu, jaki chcieli wypromować, a Aerosmith idealnie pasował do ich koncepcji. Członkowie kwintetu byli zbyt młodzi i zbyt żądni sławy, by stawiać dodatkowe pytania. W tym czasie powoli zaczęła blaknąć gwiazda formacji Grand Funk, największego, amerykańskiego, komercyjnego fenomenu tamtych lat. Tron narodowego bandu stał się łatwy do przejęcia, a Aerosmith miał wiele atutów. Przede wszystkim zaskakujące podobieństwo Steve'a Tylera i Joe Perry'ego do pary Mick Jagger-Keith Richards. Ze Stonesami łączyły ich również rhythm and bluesowe korzenie, choć w muzyce Amerykanów wyraźniejszy był wpływ Yardbirdsów. Pierwszym krokiem centrum dowodzenia było wysłanie zespołu na trasę koncertową obejmującą wszystkie ważniejsze miasta Stanów Zjednoczonych, drugim zaangażowanie producenta Jacka Douglasa, który stworzył w studiu „brutalne" brzmienie Aerosmith. Efektem tej współpracy był album *Get Your Wings,* który rozpoczął platynową serię. Po nim pojawiły się dwa najciekawsze wydawnictwa grupy: *Toys In Attic i Rocks.* Pierwsze przyniosło przebój *Walk This Way,* drugie fenomenalny hit *Back In The Saddle.* Szczyt popularności przypadł na rok 1976, kiedy to zespół był bezsprzecznie największą amerykańską atrakcją koncertową.

Kariera zespołu, w latach 70. była umiejętnie prowadzona na krawędzi podwójnej imitacji. Z jednej strony ciągłe podtrzymywanie więzi ze Stonesami (Tyler dość szybko opanował sceniczne grepsy Jaggera), z drugiej Perry nie krył skłonności do Led Zeppelin. Umożliwiło to przyciąganie milionowych rzesz fanów, dla których głównym celem było wesołe spędzenie czasu. Przez cztery lata grupa grasowała po Ameryce niczym po swoim królestwie. Niestety życie w bajce nie trwa wiecznie i komercyjna „porażka" albumu *Draw The Line* zasygnalizowała, że gusty publiczności zaczęły zwracać się ku innej muzyce. Nastała mroczna era dyskotekowej szmiry. Aerosmith nie zmienił oblicza i nawet pojawił się w filmie o Sierżancie Pieprzu, podgrzewającym hossę na nowych idoli mas – Bee Gees. Członkowie Aerosmith zdołali do tego czasu zarobić fortuny, lecz byli zbyt mało odporni na radości życia. Narkotyki, alkohol zaczęły robić swoje i kryzys w szeregach kwintetu był nieunikniony. Pierwszy odszedł Joe Perry, który założył chybioną formację Joe Perry Project, nagrywając z nią 3 płyty. Wkrótce w jego ślad poszedł Brad Whitford, który stanął na czele równie nieudanego projektu Whitford – St. Holmes Band. W tym samym czasie Tyler miał wypadek na motorze i Aerosmith na dłuższy czas przestał istnieć. W 1982 r. niezmordowany wokalista reaktywował zespół z nowymi muzykami, lecz efekt był dość mizerny, co dokumentuje najdobitniej album *Rock In A Hard Place.*

Wiele rzeczy, które wówczas czułem było całkowicie chybionych. Moje ego starało się przekonać mnie, że jestem na dobrej drodze. Wydawało mi się, że Jimmy Crespo jest tym, kim był Joe Perry, jednak nasza współpraca układała się nie najlepiej. Pozostało mi tylko czekanie aż zbliźnią się rany. O jakie rany chodziło, wyjaśnił w innym wywiadzie Perry: *To nie były tylko różnice muzyczne, jak to wówczas starano się zinterpretować. Były kłopoty z ludźmi, którzy prowadzili nasze interesy, mieliśmy kłopoty z narkotykami. To właśnie kwasy doprowadziły do tego, że mieliśmy wszystkiego po dziurki w nosie. Doszło do tego, że nie mogliśmy już patrzeć na siebie. Musiało minąć wiele*





STEVEN TYLER w pracy

czasu zanim zdecydowaliśmy się znowu spróbować.

Po udanym leczeniu się naszych rock'n'rollowych bohaterów i rozstaniu, nie bez problemów, z Columbią Aerosmith w 1985 r. w pierwotnym składzie był gotów do kontrataku. Wkrótce światło dzienne ujrzał najbardziej ostry z albumów grupy – *Done With The Mirrors*. Został on ciepło przyjęty przez dotychczas wrogo nastawionych krytyków, ale dobre recenzje nie szły w parze z aplauzem publiczności. Akurat, kiedy rozczarowanie mogło się przeistoczyć w nowy kryzys, rapperska drużyna Run D.M.C. postanowiła nagrać stary przebój *Walk This Way*, z gościnnym wkładem Tylera i Perry'ego. Epilog tej współpracy przeszedł najśmielsze oczekiwania i tym samym Aerosmith stał się jedną z pierwszych grup odkrytych przez czarnych muzyków. Euforia i rola jaką odegrał zespół w narodzinach kierunku metal-rap dodała im wiary we własne siły. Wydany w 1987 r. album *Permanent Vacation* rzucił wszystkich na kolana i przyćmił wszystkie dotychczasowe, klasyczne płyty. Emanował niespożytą energią i zaskakującą różnorodnością materiału. Współpraca ze sławnym metalowym kompozytorem, Desmondem Childem, przyniosła: jedną z najlepszych ballad zespołu – *Angel*, gitarowy fajerwerk – *Heart's Done Time* i wspaniały przebój *Dude (Looks Like A Lady)*. Aerosmithowcy dodali do tego kolejny rewelacyjny hit *Rag Doll*, fantastyczny blues *St. John*, beatlesowską *I'm Down* i parę innych gorących kąsków. *Permanent Vacation* jest dla mnie najlepszym rockowym longplayem tego dziesięciolecia.

Na następny album, *Pump*, przyszło czekać dwa lata. Czy się opłaciło? Z pewnością płyta nie jest tak efektowna jak poprzednia, co spowodowane jest brakiem ewidentnych przebojów. Na plus należy zaliczyć świetną produkcję, w której wyniku brzmienie grupy zyskało jeszcze na agresywności. Chłopcy byli w doskonałej formie i tylko należy ubolewać się nad stanem kolumn aparatury, na której będzie odtwarzany *Pump*.

Możliwe, że muzyka rockowa w końcu przejdzie do historii, jednak ostatnią jej barykadą będzie z pewnością hałas tworzony przez dziadków The Rolling Stones, wujów z Aerosmith i latorośle pokroju Guns'n'Roses. Let it roll!

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

Dyskografia:

1. *Aerosmith* (Columbia 1973)
2. *Get Your Wings* (Columbia 1974)
3. *Toys In The Attic* (Columbia 1975)
4. *Rocks* (Columbia 1976)
5. *Draw The Line* (Columbia 1977)
6. *Live Bootleg* (Columbia 1978) – koncert
7. *Night In The Ruts* (Columbia 1979)
8. *Greatest Hits* (Columbia 1980)
9. *Rock In A Hard Place* (Columbia 1982)
10. *Done With The Mirrors* (Geffen 1985)
11. *Classics Live* (Columbia 1986)
12. *Classics Live 2* (Columbia 1987)
13. *Permanent Vacation* (Geffen 1987)
14. *Pump* (Geffen 1989)



AEROSMITH
Pump
Geffen

Czy w kopercie, na której pieprzą się dwa trucki może być płyta z kiepską muzyką? Jasne, że NIE! Chociaż pierwsze przesłuchanie tego albumu raczej daje powody do zdziwienia niż bezgranicznego uwielbienia. Wydawało się bowiem, że po wielkim sukcesie poprzedniego LP *Permanent Vacation* Aerosmith nagra podobny krążek i stanie się ekwiwalentem Bon Jovi dla 30-latków. Tak się jednak nie stało. Piątka z Bostonu zaryzykowała sławę i dużo pieniędzy decydując się na taki krążek jak *Pump*. Postawiono na jakość i klasę, rezygnując z przebojowości i wtórności.

Na *Pump* nie ma łatwo wpadających w ucho hitów typu *Dude* czy *Rag Doll* z LP *Permanent Vacation*. *Pump* to wspaniały przykład na to, że kilka sprawdzonych, hardrockowych akordów może posłużyć za bazę dla znakomitej, soczyście i pikantnie podanej muzyki. Ta płyta wyraźnie nawiązuje do wyczynów Led Zeppelin w dniach glorii i sławy, ale muzyka spreparowana jest tu zgodnie z wymogami lat... 90. Blues, hard rock, syntetyczne smyczki, elementy psychodelii czy wręcz voodoo oraz żywa blacha stanowią o bogactwie treści i formy muzyki. Bo też w nieco ociężałym, niby ragtimeowym kawałku *The Other Side* słychać nie kwintet a prawdziwy big band, który zmienia się w podejrzaną, patetyczno-psychodeliczną formację na *Janie's Got A Gun*. Natomiast hipnotyczny numer *Voodoo Medicine Man* o nieco karaibskiej rytmice powala emocjonalnym wykonaniem, podobnie jak bluesowa kompozycja *Don't Get Mad, Get Even* zaskakuje swą konstrukcją i uniknięciem sztampowego rozwinięcia i zakończenia. Aranżacyjne przewrotności dodają temu krążkowi wielu smaczków, podobnie jak beatlesowskie harmonie w *Janie's Got A Gun* tudzież w finałowym, patetycznym i rewelacyjnym *What It Takes*. Ten kawałek trwa ponad 6 minut, lecz sprawia więcej radości niż niejedna symfonia. Maczał w nim palce słynny Desmond Child, który z reguły pisze tylko hity i stąd ta nieco prostsza linia melodyczna. Tak w tym, jak i w pozostałych numerach można podziwiać talent, wigor i niebywałą spontaniczność pary Steven Tyler – Joe Perry. Zawsze porównywano ich do tandemu Jagger – Richards, ale tym razem uczniowie przeskoczyli belfrów. Takiego dynamitu nie miał chyba nawet w sobie duet Plant – Page w najlepszych dniach Led Zeppelin. Wrzasku Tylera i gitarowych popisów Perry'ego (w *What It Takes* miałem wrażenie, że to Clapton!) słucha się z otwartą buzią i wytrzeszczonymi oczami.

Zabójcza płyta z zabójczo wyprodukowaną (Bruce Fairbairn) zabójczą muzyką. 40 minut rocka, które wstrząsnęły rokiem 1989.

ROMEK ROGOWIECKI

INNE GŁOSY

LĘKI ZMYWANE ŁZAMI

Po czterech latach milczenia, spędzonych w zaciszu studiów nagraniowych, duet Tears For Fears znów gości na okładkach i pierwszych stronach pism muzycznych. Spisani na straty przez jednych, przez innych zaś po prostu zapomniani, Roland Orzabal i Curt Smith ponownie znaleźli się w centrum uwagi, oferując singel *Sowing The Seeds Of Love* i nowy, trzeci album zatytułowany *Seeds Of Love*. Poprzedni, *Songs From A Big Chair* z 1985 roku, był adresowany głównie do odbiorcy amerykańskiego – stanowił zgrabnie i smakowicie przyrządzony zestaw rockowych klisz. Stare, niezawodnie sprawdzające się za oceanem receptury w połączeniu z najnowocześniejszymi elektronicznymi technologiami przyniosły zapierający dech w piersiach efekt: 10 milionów sprzedanych egzemplarzy. Sukces i jego konsekwencje – zwłaszcza wyczerpujące tournée promocyjne po USA – rozsadziły wszakże wszelkie granice odporności psychicznej owych wyznawców Pierwotnej Terapii, wymyślonej przez psychoanalityka z Los Angeles, doktora Yanova, z której duet zaczerpnął zresztą nazwę (według niej, zakodowane w dzieciństwie strachy i lęki można pokonać tylko przez ich wypłakanie i wykrzyczenie).

Zastosowaliśmy pewne oczywiste środki by zrobić doskonale sprzedający się album – przyznaje Smith, wyjaśniając zarazem przyczyny tak długiej przerwy między ukazaniem się *Songs From A Big Chair* i *Seeds Of Love*. – *Stworzyliśmy potwora i musieliśmy poświęcić sporo czasu w ciągu ostatnich dwóch lat, aby go zgładzić – w przeciwnym bowiem wypadku już nigdy byśmy niczego nowego nie dokonali.*

Ta trzecia płyta długogrająca miała w założeniu być „spontaniczna" i powstać bardzo szybko – jako terapia po burzliwych, często wymykających się spod kontroli wydarzeniach roku 1985. Stało się inaczej. Aby pokryć koszty produkcji *Seeds Of Love*, jej nakład podobno nie może być niższy niż 3 miliony egzemplarzy. Jasne jest też, iż wchodząc po raz pierwszy do studia, Tears For Fears mieli raczej mgliste pojęcie o tym, co pragną osiągnąć.

Pod koniec 1986 roku zeszliśmy się wraz z Clivem Langerem i Alanem Winstanleyem. Spróbowaliśmy nagrać jedną z piosenek, ale nic z tego nie wyszło (...) Potem wróciliśmy do współpracy z Chrisem Hughesem (...). Okazał się on naszym prawdziwym przyjacielem, toteż dopiero gdy praca nad płytą była poważnie zaawansowana, zdaliśmy sobie sprawę, iż musimy ją zrobić samodzielnie, by rozwinąć się artystycznie.

Duży wpływ na ostateczny kształt albumu miała młoda wokalistka Oleta Adams, którą Orzabal i Smith usłyszeli po raz pierwszy w Kansas w 1985 roku. Byli tak wzruszeni jej śpiewem, iż zaprosili ją do udziału w nagraniach obok takich sław jak Phil Collins i John Hassell.

Chcieliśmy stworzyć coś bardziej ekspresyjnego muzycznie – mówi Smith – *a tego nie osiągnie się za pomocą maszyn. Trzeba zatrudnić kilku muzyków i ich wykorzystać (...)*

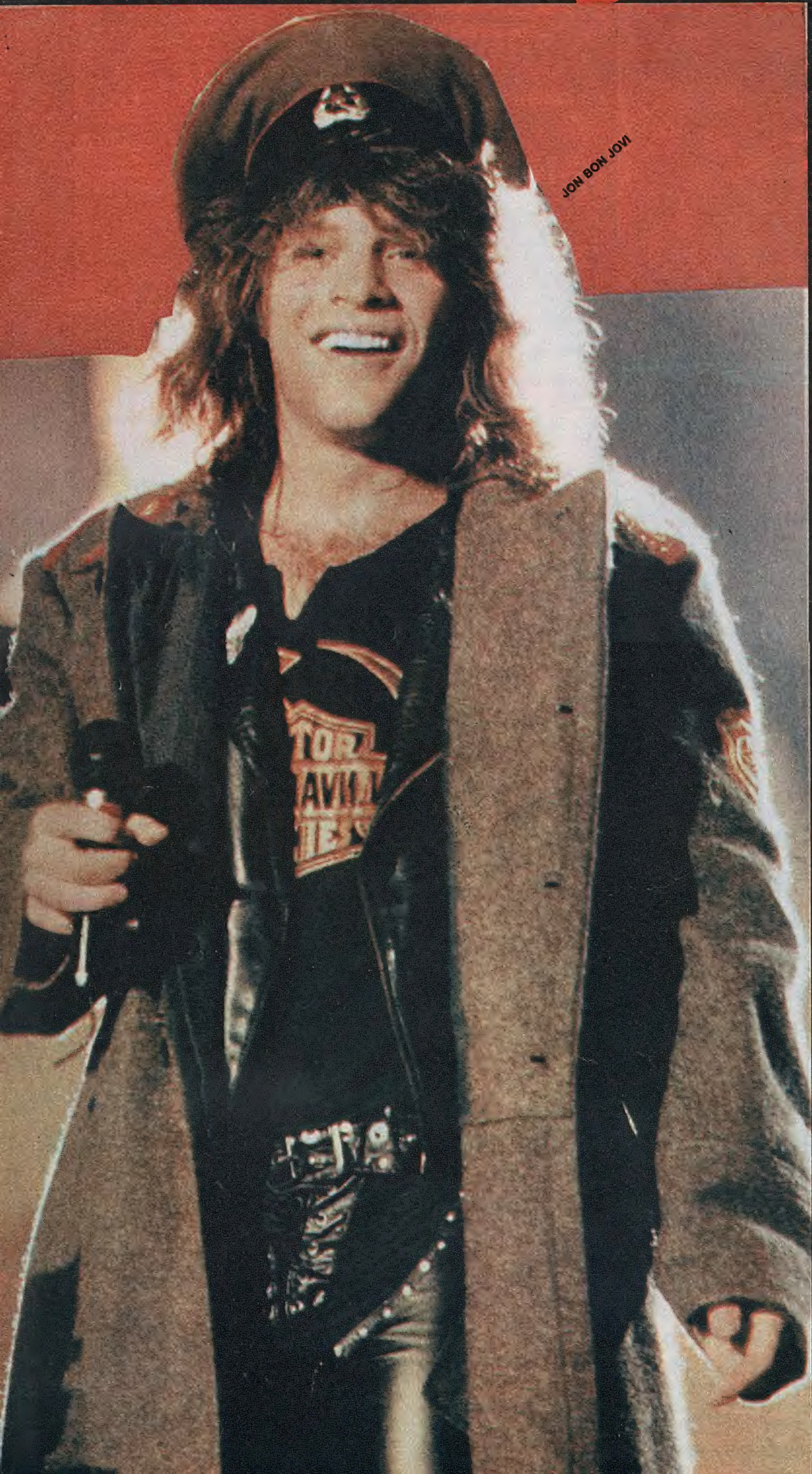
Zwiastujący album singel *Sowing The Seeds Of Love* jako żywo przywołuje pamięć The Beatles z okresu *Sergeant Pepper's Lonely Hearts Club Band*. Przypadek?

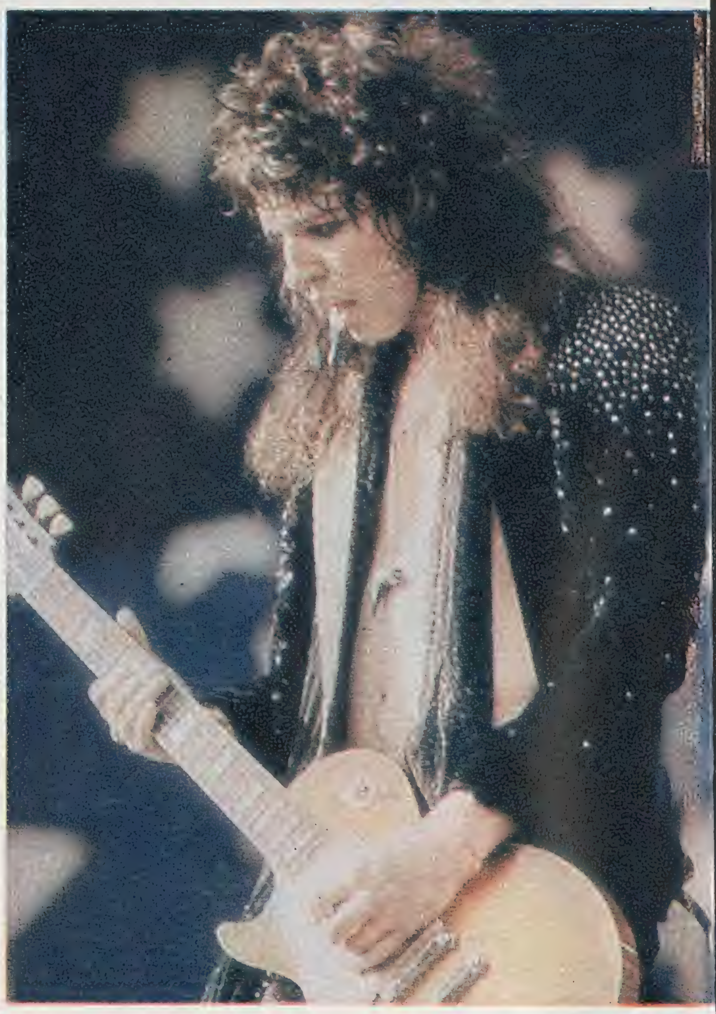
Byłem zły i trochę przygnębiony ponownym wybraniem Thatcher i chciałem napisać protest song. Nie jakąś gniewną, gorzką i wyrażającą moje oburzenie piosenkę, bo to ludzi odrzuca (...), ale utwór, który byłby słodki, a zarazem i cierpki (...). Natomiast chciałem wskrzesić wspomnienia tych czasów, kiedy Brytania była „wielka" – czasów Harolda Wilsona, The Beatles, czerwonych londyńskich autobusów, Twiggy i spódniczek mini. **(jr wg „Melody Maker")**

TEARS FOR FEARS



NAPAD na MOSK





Fot.: DYMITR ŁOWKOWSKI SOLIDNA CINDERELL

12 i 13 sierpnia 1989 r., 20 lat po słynnym festiwalu w Woodstock, armia 650 ludzi z Zachodu zorganizowała największy festiwal muzyki rockowej na Wschodzie – Moscow Music Peace Festival. W tej historycznej imprezie udział wzięli (kolejność od tyłu) – Skid Row, Nuance, Brygada S, Gorky Park, Cinderella, Mötley Crüe, Ozzy Osbourne, Scorpions i Bon Jovi.

Mötley Crüe, po raz pierwszy trzeźwi na scenie od niepamiętnych czasów, dali porywający show, a basista Nikki Sixx przypieczętował go połamaniem gitary.

Ozzy Osbourne był witany w Moskwie niczym Bóg, choć ogólnie rozczarował. Jak zwykle polewał ludzi wodą i wył do księżyca. Był tak zapobiegliwy, że przywiózł ze sobą worek papieru toaletowego.

Scorpions byli jak zwykle nienagannie profesjonalni. Zadali sobie nieco trudu i nauczyli się rosyjskiej melodii ludowej z oryginalnym tekstem. Blisko 100 000 tłum oszalał z radości.

Bon Jovi jako jedyny zespół mógł posługiwać się laserami i pirotechniką. Na tym tle doszło do poważnej awantury pomiędzy Mötley Crüe a ich managerem Dockiem McGhee, który także manageruje Bon Jovi. Natomiast sam Jon Bon Jovi zażegnał konflikt pomiędzy Osbournem i McGhee, kiedy ten pierwszy pakował już swe walizki.

Na bis połączone siły światowego metalu wykonały jam złożony z takich klasyków jak *Hound Dog, Long Tall Sally, Back In The USSR* oraz *Rock'n'Roll*. W numerze Led Zeppelin gościnnie wystąpił na perkusji Jason Bonham. Także drugiego wieczoru odśpiewano wspólnie *Give Peace A Chance* rzucając w publiczność masę kwiatów.

Dzielni Amerykanie przywieźli do Moskwy 75 ton jedzenia i na dwa dni otwarła tam podwoje słynna restauracja Hard Rock Cafe.

NA

WĘ



METALOWE SKORPIONY



PRZEZORNY OZZY



MÖTLEY CRÜE

PAD na MOSKWĘ

HM w

SALTY DOG

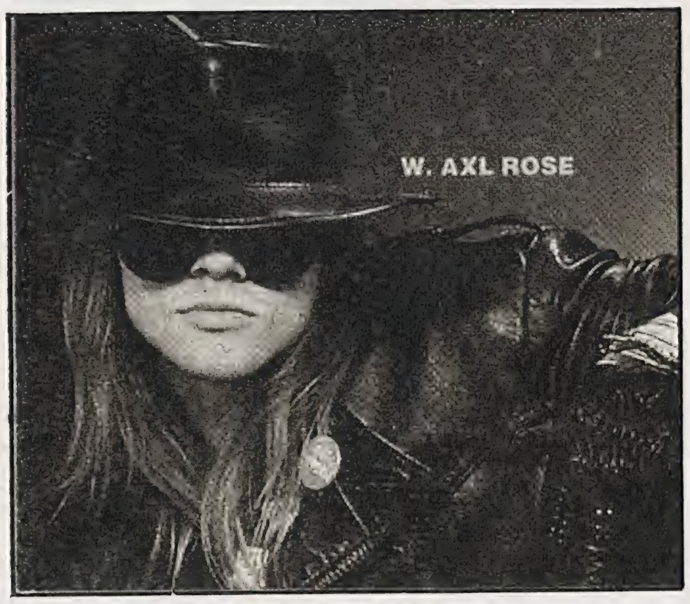


JESZCZE RAZ OD POCZĄTKU ?

Są tacy, którzy widzą w grupie SALTY DOG przyszłych następców Metalliki. Na razie ta bluesowo-metalowa nadzieja kończy swój debiutancki longplay dla szacownej firmy Geffen. A basista Michael Hannon zwierza się na łamach „Kerrangu!": *W przypadku wielu zespołów można powiedzieć, na kim się wzorują, ale z nami jest trochę inaczej. Cofnęliśmy się do nauczycieli naszych nauczycieli. Dlaczego kopiować Teda Nugenta? Cofnęliśmy się do początku. Na naszych taśmach mamy dużo Williego Dixona i Sonny'ego Boya Williamsona, taką muzykę...*

Salty Dog ma w repertuarze *Spoonful* Cream i *Just Like A Woman* Dylana. Pilni uczniowie czy ofiary obecnej mody na rock z hipisowskich czasów?

TAJEMNICE G'N'R cz. 1



W. Axl Rose przyznał się reporterom „Smash Hits", że...

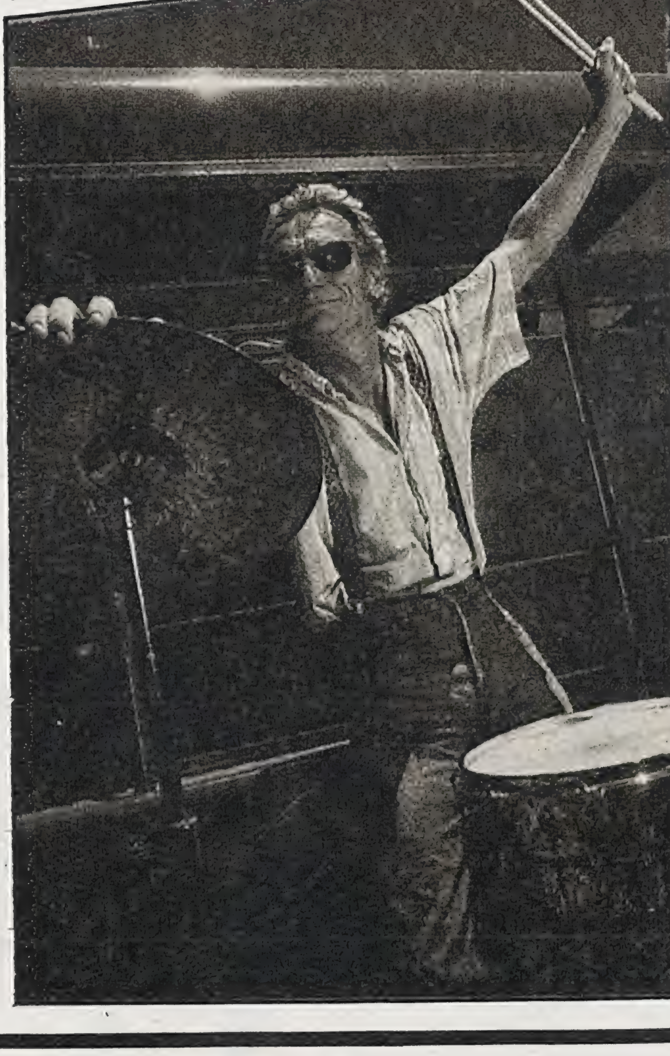
- *jego prawdziwe nazwisko to: Bill Bailey*
- *był prymusem, w szkole zbierał najwyższe oceny*
- *cierpi na „maniakalno-depresyjną schizofrenię"*
- *upił się po raz pierwszy, gdy miał 16 lat; zaraz potem wypadł z okna i złamał sobie rękę*
- *śpiewał w chórze kościelnym, wygrywał konkursy czytania Biblii i chodził do szkółki niedzielnej*
- *za swój ulubiony sport uważa... seks*
- *był 20 razy w areszcie; jego zdaniem tylko 5 razy miał coś na sumieniu (a było to publiczne pijaństwo)*
- *udzielał kiedyś wywiadu radiowego owinięty tylko w ręcznik, bo tuż przedtem pewna dziewczyna ukradła mu portfel razem ze spodniami; innej pary spodni akurat nie miał*
- *jeździ białym Corvette*
- *ma 5 tatuaży.*

GRAM co LUBIĘ

Przed dwudziestu kilku laty zespół Cream miał swój wkład w ciężki rock. Z dzisiejszej perspektywy można ich nazwać jednymi z prekursorów hard rocka. A że nadal Anglosasi używają określeń hard rock i heavy metal wymiennie to... GINGER BAKER – legendarny perkusista Cream, dziś szukający pracy w USA – denerwuje się na łamach „Rolling Stone'a": *Słyszałem od ludzi, że Cream grał heavy metal. Coś podobnego! Gram muzykę, jestem muzykiem. Nie wiem, jak moją muzykę nazwiecie, ale ja jej nie nazywam. Po prostu gram to, co lubię...*

Czy Baker polubi heavy metal?

GINGER BAKER



METALOWE TORTURY zza ŁABY

RFN jest jedną z ojczyzn nowoczesnego heavy metalu, ale młodej grupie metalowej żyje się tam nielekko; nawet jeśli ma wokalistę importowanego z Ameryki. Tak właśnie jest w przypadku kwartetu Vamp z Bonn, w którym USA reprezentuje Tom Bellini.

Bellini narzeka na stolicę RFN: *Nie widzi się na ulicy długowłosych. Gdybyśmy wybrali się do miasta, ludzie padliby z wrażenia. Byłoby: skąd oni się wzięli? Kto ich wypuścił z aresztu?*

Basista Oliver Scholz tak opowiada o dotychczasowej karierze Vamp, udokumentowanej już albumem – nomen omen – *The Rich Don't Rock: Graliśmy w każdym klubie, w którym było można i to dało nam pewną popularność. W 10 dni nasz longplay rozszedł się w 6 tysiącach egzemplarzy, więc najwyraźniej ludzie czekali na tę płytę... Ale, niestety, nie nadawało nas radio. Były stacje, które odmówiły puszczenia naszego albumu. Twierdziły, że muzyka jest zbyt heavy. Myślę, że to komplement dla nas...*

„HM w MM" też tak uważa.



VAMP

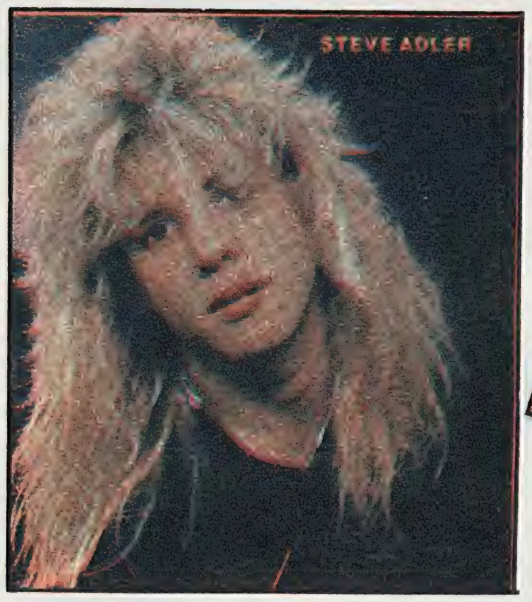
TAJEMNICE G'N'R cz. 2



Co nieco z tajemnic **Slasha:**

- *naprawdę nazywa się Saul Hudson*
- *jego ojciec był projektantem okładek płytowych, a matka – strojów; pracowała przy słynnym filmie Davida Bowiego – „The Man Who Fell To Earth"*
- *wychowywał się u dziadków, w Anglii, bo małżeństwo jego rodziców nie wytrzymało próby czasu*
- *od 1976 r. mieszka w Kalifornii; oto jak wspomina swe pierwsze lata na Zachodnim Wybrzeżu: „Miałem zupełną swobodę. Na całe tygodnie znikałem z domu".*
- *„Codziennie dużo piję. Uwalam się każdego wieczoru. To mój własny wybór"; zatrudnia „goryla", który go strzeże, gdy jest w stanie alkoholowego zamroczenia*
- *nie ma samochodu, bo... (patrz wyżej)*
- *jest właścicielem 3 węży – wielkiego pytona, zwącego się Pandora, drugiego pytona i boa dusiciela.*

TAJEMNICE G'N'R cz. 3



Poniżej podajemy skrupulatnie to, co wysłannikom „Smash Hits" udało się wyciągnąć od **Steve'a Adlera,** zwanego nudziarzem przez kolegów z zespołu...

- *lubi motocykle, prywatki, hokej i rock'n'roll*
- *uważa, że „hałas jest sposobem życia"*
- *wyrzucono go z 8 szkół za złe zachowanie*
- *nie ma samochodu*
- *mieszka ze swą przyjaciółką Cheryl i psem Bensonem.*

Nudne, prawda?

od SADE do SLAYERA

Grupa FAITH NO MORE ma w swym dorobku sporo skandali, szereg wewnętrznych kłótni i dwa albumy: *Introduce Yourself* i *The Real Thing*. I od niedawna – nowego wokalistę.

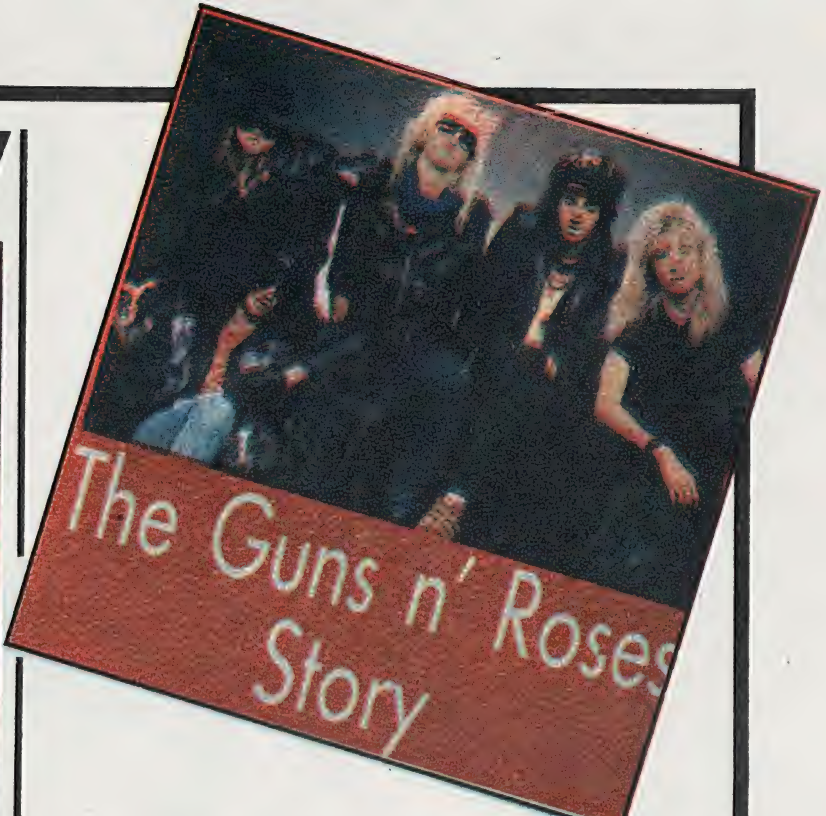
Być może tarcia w zespole wpłyną na nasz show* – mówi Roddy Bottum, klawisze – *ale nie mają wpływu na naszą muzykę.

Faith No More nagrali własną wersję *War Pigs* Black Sabbath. Jednak nie daje to w pełni pojęcia o ich muzycznych gustach. Roddy: *Słuchamy prawie wszystkiego – Sade, Black Sabbath, George Michael, Milli Vanilli, The Proclaimers, Laibach, Slayer.*

Co by nie mówić – niezła lista.

FAITH NO MORE





TAJEMNICE G'N'R cz. 4

Co nieco ze zwierzeń **Izzy'ego Stradlina:**

- *prawdziwe nazwisko: Jeff Isabelle (??)*
- *pochodzi z Indiany*
- *jest kumplem Slasha z dawnych czasów*
- *jego rodzice rozwiedli się, gdy był małym dzieckiem*
- *mnóstwo godzin spędził na graniu w garażu*
- *przyjechał do Los Angeles w 1979 r.*
- *zaznał w życiu biedy; zdarzało mu się nie jeść przez cztery, pięć dni (??)*
- *ma czarne BMW.*





TAJEMNICE G'N'R cz. 5

Wreszcie ostatni rezultat wścibstwa reporterów „Smash Hits", czyli **Duff „Rose" McKagan** wyznaje prawdę i tylko prawdę:

- *prawdziwe imię – Michael; nazwisko – jak wyżej.*
- *pochodzi z Seattle*
- *jest najmłodszy z ośmiorga rodzeństwa*
- *grał już z 30 zespołami*
- *miał krótkie włosy, gdy pierwszy raz spotkał Axla i Slasha; była to fryzura punkowa, ufarbowana na różne kolory*
- *poślubił ostatnio kobietę swoich marzeń (Mandy Brix, wokalistka Lame Flames)*
- *jeździ czarnym jeepem*
- *uważa za swego idola Sida Viciousa.*

UWAGA! Jeśli ktoś nie wie, albo zapomniał to „HM w MM" przypomina – W. Axl Rose śpiewa, Slash i Izzy Stradlin grają na gitarach, Duff McKagan na basie, a Steve Adler na perkusji; zaś Guns' N'Roses są popularni nie tylko w redakcjach „Smash Hits" i „MM".

OPIŁKI

Na początek cytat z „Music Week": *Thrash jest dla rocka lat osiemdziesiątych tym, czym była new wave dla lat siedemdziesiątych.* Nic, tylko oprawić w ramki i powiesić na ścianie... ★ **Annihilator** nadal ma opinię jednej z najlepszych grup thrashowych Wielkiej Brytanii; można w to uwierzyć bez trudu po wysłuchaniu longplaya *Alice In Hell.* ★ **John Lynn Turner,** kiedyś śpiewający w Rainbow, o mało co nie został nowym wokalistą **Deep Purple.** Wspólna próba udała się, lecz Paice i Lord zaprotestowali: ich zdaniem Purple z Turnerem za bardzo przypominałoby tamten zespół. Jak na to zareagował Blackmore – bądź co bądź założyciel Rainbow – prasa nie podała. A Turner coś teraz kombinuje z własnym zespołem **Jolt.** ★ Coraz głośniej o rozrabiakach zwących się **The Dogs D'Amour.** Od 6 lat próbowali zrobić karierę i chyba w końcu im się udało; w każdym razie na listach przebojów mają ostatnio singel *Satellite Kid. Nie zmieniliśmy się* – zapewnia gitarzysta Jo Dogg. – *Tylko teraz nie brak ludzi, którzy w nas wierzą.* ★ Do największych odkryć brytyjskiego HM zalicza się **Dare.** Ten kwintet z Manchesteru, prowadzony przez Darrena Whartona (wcześniej: klawisze w Lizzy) specjalizuje się w tak zwanym „melodyjnym metalu". Mijający rok spędził na koncertach promocyjnych longplaya *Out Of The Silence* (wydanego u schyłku 1988 r.) ★ Bodaj największym konkurentem Dare stał się **Gun** (zadebiutował albumem *Taking On The World).* ★ Sukcesy Metalliki i Antharxu na singlowych listach przebojów nieźle zamieszały w głowach niektórym businessmanom muzycznym; pojawiły się głosy, aby lansować metal jak pop. David Thorne z Phonogramu nie zatracił trzeźwego spojrzenia: *Metallice i Anthraxowi udało się, bo miały już po kilka albumów, ale nie można handlować singlami, gdy zespoły jeszcze nie mają swojej publiczności.* ★ Muzycy **Def Leppard** stali się bohaterami godzinnego filmu dokumentalnego *Rock Of Ages.* ★ Kotłuje się w grupie **Ronniego Dio;** nie ma już basisty Jimmy'ego Baina, a perkusista Vinny Apiece jest już dość długo na wylocie – pewnie do czasu, gdy „HM w MM" ukaże się w druku, mały Ronnie zrobi dużą reorganizację. ★ Brytyjscy dziennikarze dobrze wróżą **Wolfsbane;** debiutancki longplay tej grupy, *Live Fast, Die Fast,* wydany przez Def American, chyba stanie się metalowym wydarzeniem 1989 r. ★ Coś, czego nasi fani metalu nie zobaczą w kinach, a pewnie chcieliby: na ekrany Zachodu wszedł film Penelopy Spheeris – *The Decline Of Western Civilization Part II. The Metal Years.* Występują w nim Alice Cooper, Ozzy Osbourne, grupa Poison oraz niektórzy muzycy Aerosmith, Kiss i Motorhead; są też estradowe popisy Magadeth, Faster Pussycats i Lizy.



PALE SAINTS

O wytwórni 4 AD można głosić najróżniejsze opnie, ale jedno jej trzeba przyznać – z wielkim wyczuciem dobiera nowych wykonawców. Na przestrzeni ostatnich lat niewypałem okazał się tylko Richenel. Ostatnie nabytki Ivo Watts-Russela pochodziły jednak zza Atlantyku. Zespoły Throwing Muses, Ultra Vivid Scene, a przede wszystkim – The Pixies narobiły sporo zamieszania wśród fanów przyzwyczajonych do zwiewnych, natchnionych brzmień Cocteau Twins czy Dead Can Dance. Kolejnym wielkim odkryciem 4 AD miał być AR Kane. Nie udało się. Ten utalentowany duet po nagraniu singla *Lollita* i osławionych kłótniach z braćmi Young z Colourbox, po komercyjnym sukcesie *Pump Up The Volume*, chciał jak najszybciej nagrać album, najlepiej dwupłytowy. Zdaniem Ivo przed dużym krążkiem powinny były się pojawić 2–3 single. W rezultacie AR Kane przeniósł się do Rough Trade i wydał nudny longplay *69*.

Nic nie zapowiadało, aby w barwach 4 AD jeszcze w tym roku miał się pojawić nowy wykonawca. A jednak... Niespodziewanie, bez zapowiedzi, 18 września ukazał się EP zatytułowany *Barging Into The Presence Of God*, sygnowany przez niemal zupełnie nieznany Pale Saints. Pierwsza wzmianka o tej grupie pojawiła się w sierpniu w programie Johna Peela. W tym samym czasie Pale Saints zadebiutował na płycie. Był to kompilacyjny album *Diamonds And Porcupines*, wydany przez zachodnioniemiecki fanzin „Beat All The Tambourines". Zawierał nagrania gitarowych zespołów z sześciu krajów. Utwór Pale Saints *She Rides The Waves* był najciekawszy.

Trio Pale Saints pochodzi z Leeds. Powstało pod koniec 1988 r. i przed nagraniem singla dla 4 AD zdążyło zagrać tylko 14 koncertów. Jeden z nich, w londyńskiej sali Subterrania zwrócił uwagę recenzentów. Nowy nabytek 4 AD wystąpił wraz z nadzieją amerykańskiej firmy SST, zespołem Firehose. Po tym koncercie „New Musical Express" pisał: *Pale Saints to pierwsza niespodzianka tej jesieni. Powiało czymś orzeźwiającym i niewinnym. Nadchodzą Święci.*

Ian Masters – śpiew, gitara basowa, Graeme Naysmith – gitara i Chris Cooper – perkusja. Ci trzej młodzieńcy grają muzykę, która do niedawna była domeną wykonawców związanych z wytwórnią Creation. Trzy nagrania zawarte na debiutanckiej płycie *Barging Into The Presence Of God – Sight Of You, She Rides The Waves i Mother Might* powstały pod wyraźnym wpływem The Jesus And Mary Chain i My Bloody Valentine. Brzmienie Pale Saints jest jednak o wiele prostsze, pozbawione owej charakterystycznej „ściany dźwięku". W utworach słychać gitarę kojarzącą się z Television, linię basu zapożyczoną od New Order oraz typowy dla zespołów Creation cichy, nieśmiały śpiew. O ile jednak twórczość grup w rodzaju My Bloody Valentine może razić sztucznością, piosenki Pale Saints rozwijają się w sposób naturalny i niewymuszony. Producentem płyty jest Gil Norton. O Pale Saints zapewne będzie głośno, kiedy w lutym 1990 roku ukaże się pierwszy album.



SOMEWHERE – Lights In A Fat City (These)

Dystrybucją tego albumu zajęła się firma Recommended, co już w pewnym sensie tłumaczy jego zawartość. Lights In A Fat City to trio Stephen Kent, Eddy Sayer i Simon Tassano. Pierwszy gra na didgeridoo, drugi – na instrumentach perkusyjnych, ostatni odpowiedzialny jest za pozostałe dźwięki. *Somewhere* jest płytą, która wywodzi się z plemiennej muzyki australijskich aborygenów. Stamtąd właśnie pochodzi didgeridoo – instrument pełniący tu pierwszoplanową rolę, a spopularyzowany w Europie przez Dead Can Dance. Muzyka Lights In A Fat City jest jednak bliższa oryginału, chociaż o klimacie 10 nagrań zawartych na płycie w równej mierze decyduje brzmienie didgeridoo, jak i efektów z taśmy. Coś dla lubujących się w egzotyce, ale podanej w sposób zrozumiały dla Europejczyka.



2 NICE GIRLS – Two Nice Girls (Rough Trade)

Firma Rough Trade poprzez swoje amerykańskie oddziały ma doskonałe rozeznanie w tamtejszym rynku. Nie po raz pierwszy zdarzyło się, że zespół z USA najpierw zdobywa popularność w Wielkiej Brytanii. Two Nice Girls (w rzeczywistości grupę tworzą 3 dziewczyny!) to – trzeba przyznać – trochę spóźniona odpowiedź na sukces Michelle Shocked. Trio pochodzi z Austin w Texasie i śpiewa folkowe ballady, z towarzyszeniem gitar akustycznych i tylko w jednym nagraniu – elektrycznej. Na uwagę zasługuje zwłaszcza utwór *Sweet Jane (With Affection)*, będący genialnym połączeniem kompozycji Lou Reeda i przeboju Joan Armatrading.



LOVE LIES FROM CENTRAL EUROPE – Tom Mega (Rough Trade Deutschland)

Tom Mega jest mało znaną postacią, chociaż na początku lat osiemdziesiątych stał na czele jednej z ciekawszych wówczas formacji – Me And The Heat. Jej album, *Game of Position*, był swego czasu taką samą sensacją jak pierwsza płyta Einstürzende Neubauten, a obie grupy zaliczano do czołówki Neue Deutsche Welle. Po krótkiej współpracy z zespołem Das Pferd, Mega rozpoczął karierę solową. W 1988 r. pojawiły się albumy *Backyards Of Pleasure*, a jesienią – *Love Lies From Central Europe*. W swoim nowym wcieleniu Mega w niemal kabaretowy, almondowski sposób interpretuje melancholijne piosenki, które decydują o atmosferze płyty. W trzech rockowych nagraniach bliski jest natomiast stylistyce Nicka Cave'a.

MROCZNI NIEZALEŻNI

Redaguje PRZEMYSŁAW MROCZEK

z życia indian

● Co działo się na niezależnym rynku w ostatnich miesiącach 1989 r.? Po ubiegłorocznej plajcie Red Rhino, niedawno zbankrutował kolejny niezależny dystrybutor – PRT, z którym związanych było około 150 wytwórni. Dystrybucja i reklama to w dalszym ciągu najsłabsza strona „indies". Z tego właśnie powodu szeregi niezależnych opuściły kolejne znane zespoły – Sonic Youth (to największa niespodzianka), A Certain Ratio (dla A & M wydał już singel *The Big E*), grupa Brix Smith (żony Marka E. Smitha z The Fall), The Adult Net, nagrała album *Honeytange* dla Fontany – Phonogram, a Ghost Dance podpisał umowę z firmą Chrysalis, której nakładem ukazała się mała płytka *Down To The Wire.* ● Pop Will Eat Itself, który w ubiegłym roku zmienił Chapter 22 na RCA, kłóci się z nowym pracodawcą. Szefowie RCA bez konsultacji z zespołem wybierają nagrania na single, a Pop Will Eat Itself grozi, że w odwecie zerwie kontrakt. Jeżeli dotrzyma słowa, być może zwiąże się z jedną z nowych niezależnych firm, powstałych w tym roku. ● Najciekawiej zapowiada się Foundation, założona przez producenta Stephena Streeta, wieloletniego współpracownika Morrisseya i The Smiths, dziennikarza tygodnika „Music Week" Jerry'ego Smitha oraz bliżej nieznanego Terry-ego Hollingswortha. Pierwszą płytą Foundation jest singel *In Liverpool* zespołu Bradford. ● Z Hull pochodzi formacja The Planet Wilson, której członkowie, byli muzycy Red Guitars, powołali do życia wytwórnię Records Of Achievement. Jej działalność – a zarazem zespołu The Planet Wilson – inauguruje krążek *Not Warning But Drowning.* ● Dystrybutor Pacific założył oddział Submission, specjalizujący się w muzyce tanecznej. Planuje wydanie płyt zespołów Cut The Q i Diskonexion. ● W Liverpoolu powstała firma finansowana przez tłocznię płyt Foresight. Zadebiutowała ona singlem *Body And Soul* grupy The Farm. ● Coraz lepiej powodzi się wytwórni Native (duży zysk z licencji płyt The Primitives), która przyjęła w swoje szeregi kolejne obiecujące grupy: Smell Funky Beast, The Snapdragons, Success, Treebound Story, a także weteranów industrialnego disco – Hula. Ciężkie chwile przeżywa natomiast Product Inc. Spółka ta, częściowo finansowana przez Mute, postanowiła się usamodzielnić. Nie będzie to takie proste, skoro odeszły od niej trzy do tej pory najbardziej kasowe zespoły, The Young Gods, Swans i World Domination Enterprises. Ten ostatni nagrywa obecnie dla Immaculate, a jego najnowszy singel nosi tytuł *The Company News.* ● Po dłuższej przerwie powrócił były lider Orange Juice, Edwyn Collins. Nakładem Demon ukazał się jego solowy album *Hope And Despair.* Przypomniał również o sobie ex-lider The Sound, Adrian Borland. Dla belgijskiej firmy Play It Again Sam nagrał longplay wraz z zespołem The Citizens. *Alexandria,* taki jest bowiem jej tytuł, zawiera 10 popowych piosenek. ● Do nagrywania nowej płyty przystąpił Colourbox, natomiast była wokalistka tej grupy, Lorita Grahame rozpoczęła karierę solową. Jej pierwszy singel, *Hit The Roof,* wydała wytwórnia One Little Indian. ● Zupełnie bez echa przeszła wiadomość o reaktywowaniu się słynnego Buzzcocks. Teraz nazywa się Buzzcocks FOC, ale w jego składzie zabarakło Pete'a Shelleya. Album Buzzcocks FOC to *Sunset On Thin Line.* ● Inni weterani również mają nowe płyty: Blake Xolton, były współpracownik Phila Spectora – LP *Cool On My Skin* (New Rose), Steve Smith (dawny członek Red Lorry Yellow Lorry, Fiat Lux i Ghost Dance) nagrał jako Riprize singel *Belvitched* (Karbon), a David Cross, niegdyś muzyk King Crimson, album *Memos From Purgatory* (Red Hot). ● Na zakończenie ciekawostka – płyta, która może trafić do księgi rekordów Guinessa. Album *Disgrace To The Corpse Of Sid* zespołu Sore Throat zawiera... 101 utworów! 90 znalazło się na stronie pierwszej, 11 – na drugiej. ● Na niezależnym rynku może nie tak ciekawie, ale weselej.



Miss MEGACLIP

Co jest aktualnym szlagierem londyńskiego West Endu? Opowieść o pewnej wietnamskiej dziewczynie, która zakochała się z wzajemnością w amerykańskim żołnierzu. Ciąg dalszy łatwo można przewidzieć. On musiał wraz z innymi dzielnymi marines uciekać z Sajgonu. Ona czeka, z dzieckiem zresztą, bo ukochany obiecał wrócić. Po kilku latach on przyjeżdża, ale z inną, amerykańską już, żoną.

Ta banalna opowieść powielająca po raz kolejny wytarty schemat, kopiująca bez żenady losy Madame Butterflay, stała się największym tegorocznym musicalowym hitem. Bilety na *Miss Sajgon*, bo tak nazywa się owo dzieło, wykupiono na wiele miesięcy naprzód.

Krytycy twierdzą, że *Miss Sajgon* jest ckliwą historyjką, nikt też nie zachwyca się jej muzycznymi wartościami. Liczy się widowisko z efektami. Na scenie lądują helikopter, którym ewakuują się z Sajgonu żołnierze, albo też nagle wyrasta kilkumetrowa postać Ho Szi Mina, ideowego opiekuna dzielnych Wietnamczyków. Tego jeszcze w teatrze nie było.

Musical stał się dzisiaj nieodrodnym dzieckiem kultury pop. Krytycy zżymają się, co prawda, nad upadkiem gatunku, ale żale te nie są wstanie zahamować zachodzących przemian. Zresztą całe jego dzieje są dość powikłane, czyż można się więc dziwić, że teraz bierze on kolejny zakręt?

W tym momencie należałoby dokonać krótkiego rysu historycznego. Musical na gruncie europejskim wywodzi się w prostej linii z operetki. Gdy ta uwikłała się w nieustanne powielanie opowieści o hrabinach zakochanych w baronach przebranych dla niepoznaki za ubogich malarzy, studentów czy huzarów, gdy ten rodzaj widowiska muzycznego stał się kwintesencją kiczu i bzdury, zaczęła grozić mu nieuchronna śmierć. Na szczęście operetka trafiła do Ameryki, gdzie została skoligacona z widowiskiem typu rewiowego i z tego mariażu narodził się musical. Z jednej strony stał się on inteligentną komedią, bazującą na dobrym starym libretcie zaczerpniętym nierzadko z literatury lub teatru dramatycznego, z drugiej strony przerodziły się w prawdziwą fabrykę przebojów.

Dziś ten typ spektaklu jest już szlachetnym anachronizmem. Współczesne muzyczne przeboje rodzą się nie w teatrze, a w wytwórniach płytowych. By zaś obejrzeć atrakcyjne widowisko nie trzeba chodzić do teatru, wystarczy w domu nastawić sobie kasetę z video clipami.

Musical jednak się broni, próbując dostosować się do czasów, w których muzyka przestała być wartością samą w sobie. Musi być wsparta techniką i atrakcyjnym obrazem. Muzyka sama jest dzisiaj widowiskiem, wielkim show czy to w wersji pigułki videoclipowej, czy też w wydaniu koncertowym.

I w stronę widowiska zmierza dziś także musical. Treść stała się w nim rzeczą drugoplanową, liczą się efekty uatrakcyjniające błahą opowiastkę z szablonową na ogół muzyką. *Miss Sajgon*, na którą londyńczycy bezskutecznie usiłują zdobyć bilety, byłaby niczym, gdyby nie ów helikopter na scenie, monumentalny Ho Szi Min i parę innych efektów specjalnych. Spółka autorska Boblil-Schönberg opanowała tę tajmnicę bezbłędnie. Owoc ich poprzedniej współpracy – *Les Misérables*, czyli wersja „Nędzników" Victora Hugo próbuje jeszcze śladem klasycznego musicalu bazować na dobrej literaturze. Ale autorzy czuli, że ta pompatyczno-romantyczna historia o złoczyńcy ze szlachetnym sercem i o niewinnej miłości ze szczęśliwym finałem jest w gruncie rzeczy nudną ramotą. I dlatego największą wartością tego musicalu jest zbudowana w teatrze wielopiętrowa, obrotowa barykada, pozwalająca rozegrać sceny z paryskiego powstania tak, jak nigdy jeszcze nie pokazywano w teatrze ulicznych walk.

Anglicy mówią o najnowszych dokonaniach tego gatunku „high tech musical". Istotnie bez techniki byłby on niczym. Elektroniczna aparatura muzyczna i nagłaśniająca, laserowa scenografia pozwalająca np. wyczarować nagle na scenie olbrzymią twarz przedstawiciela pozaziemskiej cywilizacji (musical *Time),* to wszystko stało się już codziennością tego teatru. Wszyscy dają się nabrać na techniczne cuda i dlatego musical cieszy się nadal popularnością, mimo wyraźnego obniżenia swego artystycznego poziomu. Mało kto jednak zauważa, że nowoczesny musical przestał być już właściwie spójnym widowiskiem, w którym ważna jest misternie konstruowana intryga sceniczna. Rozpadł się na poszczególne cząstki, z których każda stara się być jak najbardziej atrakcyjna. Musical dziś to właściwie zbiór video clipów, tyle tylko, że w wydaniu scenicznym.

O dziełach takich jak *Miss Sajgon* czy *Les Misérables* mówi się również megahity, bo widowisko realizowane z takim nakładem kosztów, powielane w różnych teatrach, potrafi przynieść zyski liczone w setkach milionów dolarów. Ale tak naprawdę nie jest to megahit, co raczej megaclip.

Droga, którą obrał musical, jest atrakcyjna dla widza, ale i niebezpieczna dla samego gatunku, Cóż bowiem trzeba jeszcze wymyślić, by kolejne widowisko było bardziej atrakcyjne od poprzedniego? Jest to również droga dla nas właściwie niedostępna. Kto bowiem u nas potrafi zrealizować choćby jeden przyzwoity video clip?

JOTEM



KING'S X

Dla tych, którzy jak ja są już nieco znudzeni kolejnymi rewelacjami z obozu Guns'N'Roses i zamiast czytać bzdury woleliby poznać nowego wykonawcę spod znaku heavy metalu godnego bacznej uwagi – mam dobrą wiadomość! Pojawiło się parę niezłych kapel, a ta której koniecznie należy posłuchać zwie się King's X. W roku ubiegłym krytycy tygodnika „Kerrang!" uznali debiutancki album tria King's X *Out Of The Silent Planet* najlepszą płytą '88. Latem tego roku, kiedy Amerykanie wydali drugi krążek *Gretchen Goes To Nebraska*, spadła na nich następna lawina pochwał. Sukces komercyjny nie szedł z nimi w parze! Podejrzewam jaka była tego przyczyna. Gdy po raz pierwszy słuchałem nagrań King's X nie mogłem pojąć, skąd wziął się ten zachwyt. Jednak stopniowo mnie „wzięło". Nie zdradzając ZZ Top, Aerosmith czy Guns'N'Roses zacząłem flirtować z King's X. Powód jest prosty. King's X zwyczajnie nikogo nie małpuje – ani od strony muzycznej, ani wizualnej. Nie jest to słodki soft metal. Bluźnierstwem byłoby nazwanie tej muzyki thrash metalem. To coś innego, ale zdecydowanie dla zwolenników inteligentnie granego metalu.

Fakt, że trio King's X istnieje 9 lat w tym samym składzie świadczy wymownie o zażyłych, przyjacielskich stosunkach, jakie łączą muzyków. Blisko dekada grania razem bez większych sukcesów to zjawisko w show businessie wręcz kuriozalne. A jednak chłopcy z Missouri, mieszkający obecnie w Teksasie, przetrwali tę próbę czasu i doczekali się uznania. Ci muzycy to ciemnoskóry basista i wokalista Doug Pinnick, gitarzysta Ty Tabor oraz perkusista Jerry Gaskill. Podobnie jak inni, słynni teksańczycy – ZZ Top – King's X sprawiają wrażenie indywidualistów, co wyraźnie słychać w ich muzyce i tekstach. Typowe ciężkie brzmienie z nieco monotonnym biciem perkusji uzupełnione jest świetnymi partiami wokalnymi, a ich harmonie mają mało wspólnego z heavy metalem. Numer *The Difference* z drugiego LP mógłby z powodzeniem znaleźć się na płycie... Crosby, Stils and Nash. Nie chodzi tu jednak o zmiękczanie brzmienia – King's X gwarantuje potężną, głośną i ekspresyjną dawkę metalu. Cenna jest ich zdolność tworzenia ciekawych linii melodycznych bez uciekania się do gmatwaniny rytmów. Może przydałoby się w tych utworach nieco komercyjnego retuszu, ale sprytna promocja mogłaby utorować takim numerom jak *Over My Head* czy *Summerland* drogę na listy przebojów.

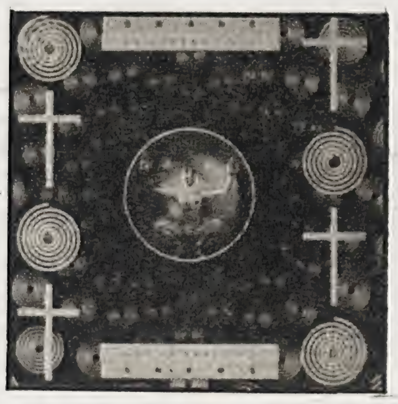
Inna kwestia to teksty dalekie od typowej, metalowej krwiożerczo-idiotycznej sztampy. Właściwie ich zaletą i wadą jest pewna ogólność. Chwilami ma się wrażenie, że King's X uprawia rodzaj moralizatorskiej dydaktyki jak choćby w numerze *Everybody Knows A Little Bit Of Something*, kiedy Pinnick śpiewa: *mądrość to skarb zrodzony w niebie, ci, którzy ją znajdą posiądą coś cennego.* Podtekstowa, generalna pochwała dobra z jednoczesnym szydzeniem z amerykańskich, skorumpowanych kaznodziei w znakomitym kawałku *Mission* zbliża King's X do nurtu white metal, zwanego także christian metal – metalu chrześcijańskiego. Potwierdzając zainteresowanie sprawami duchowymi, perkusista Jerry Gaskill podsumował tę kwestię w jednym z wywiadów. *Zło bierze się z dobra i wszyscy powinniśmy stawiać na dobro.*

Trio King's X nie jest jeszcze na mesjańskim zakręcie i dla przeciętnego słuchacza jego muzyka będzie bliższa szatańskiemu wyciu. Na scenie grupa ta emanuje wielką energią i witalnością, o czym przekonali się już fani metalu po obu stronach Wielkiej Wody. Grając wspólne koncerty z Anthrax King's X wzbudził taki entuzjazm, jak przedstawiany niedawno w „MM" kwartet Living Colour. Te dwie kapele powinny mieć bardzo wiele do powiedzenia w latach 90., bo wszystko wskazuje na to, że wkraczamy w czasy, kiedy liczą się umiejętności, a nie pozy. A fakt, iż na kopercie albumu *Gretchen Goes To Nebraska* znalazła się alegoryczna bajeczka o takim właśnie tytule bynajmniej nic nie robi z King's X braci Grimm, tylko ludzi odnoszących się do rzeczywistości z odpowiednim dystansem.

ROMEK ROGOWIECKI






MOJE 10 PŁYT LAT OSIEMDZIESIĄTYCH

JOY DIVISION, *CLOSER*, Factory (1980)

Jest to płyta, której sama okładka robi już wrażenie. Wspominając początek dekady, aż wierzyć się nie chce, że można było wówczas wytrzymać tak olbrzymią dawkę schizofrenicznej muzyki. Bo to przecież nie tylko Joy Division – także The Cure, Siouxsie, Danse Society, Play Dead i inne dziwolągi.

TUXEDOMOON, *DESIRE*, PRE (1981)

Nie wiem dlaczego album ten zawsze kojarzył mi się z psychodelią, lecz nie z tą znaną wcześniej i później. Z psychodelią czysto retoryczną, ciałem doskonale czarnym, kolapserem będącym szczytem możliwości fizycznych ciał. To było ukoronowanie działalności zespołu, w zestawieniu z którym brytyjscy odnowiciele jawili się jako plastikowe kukiełki. Muzyka Browna i Reiningera zniewalała bez reszty. Wprowadzała w narkotyczny trans bez użycia środków odurzających. Do klasy *Desire* zespół zbliżył się później tylko raz, na albumie *You*, który jest jednym z pierwszych w rezerwowej dziesiątce. Śmieszyło mnie i do tej pory śmieszy traktowanie muzyki Tuxedomoon jako awangardy. Przecież muzykę najpierw powinno się czuć. Kiedy czuję ją już wszystkimi częściami ciała, można wyzwolić jaźń i zacząć rozumieć.

SONIC YOUTH, *BAD MOON RISING*, Blast First (1985)

Sonic Youth odnalazł piękno w brzydocie. Jego płyt nie da się w spokoju słuchać. Drażnią każdy nerw, nie pozwalają się skupić, wyprowadzają z równowagi, a jednocześnie zadziwiają. Jak to możliwe, aby ten muzyczny brud był zarazem tak uporządkowany? Wybrałem Sonic Youth, chociaż powinienem był tu wymienić inny zespół – Savage Republic – szkoda tylko, że nie udało mu się przekazać jego rewolucyjnych idei muzycznych w skondensowanej formie na żadnej z płyt.

SWANS, *CHILDREN OF GOD*, Product Inc. (1987)

Ameryka zrodziła wielu geniuszy, a jednym z nich jest bez wątpienia Michael Gira. Stworzył najbardziej znienawidzony przez krytyków zespół lat osiemdziesiątych. Swans, bo o nim mowa, we wszystkim co robił obrażał. Obrażał, bo mówił to o czym porządny, poważny obywatel świata nie rozmawia. Dla Michaela Giry nie było tabu. Pokazywał do czego prowadzi pieniądz, na czym polega kariera, czym jest religia. Robił to w tak prosty i sugestywny sposób, że aż dziw bierze, iż nikt przed nim nie wpadł na podobny pomysł. To najbardziej inteligentnie przemyślany album lat osiemdziesiątych. Połączenie liryzmu i agresji dało nieprawdopodobny efekt. Swans zburzył świat, aby go wskrzesić w kształcie zdeformowanym do granic możliwości.

SCRAPING FOETUS OFF THE WHEEL, *HOLE*, Some Bizzare (1986)

Podobny sposób rozumowania jak Gira cechuje kolejną wielką postać – Jima Thirwella. Ten osiadły w Anglii Australijczyk jest prawdziwym demonem autodestrukcji. Za każdym razem kiedy słucham jego nagrań, zastanawiam się, czy jeszcze nie zwariowałem. Thirwell stworzył kilka formacji, z których najbardziej znane to Wiseblood (duet z Roli Mosimanem) i Scraping Foetus Off The Wheel. Pierwszy album tej drugiej zapewne przejdzie do historii rocka. Świat Foetusa jest światem z sennego koszmaru. Sny to jednak odzwierciedlenia jawy. Na *Hole* znalazł się jeden z najbardziej wstrząsających utworów, jakie dane mi było usłyszeć – *I'll Meet You In Poland Baby* – spowiedź paranoicznego wizjonera – Hitlera. Thirwell stosuje proste muzyczne środki – rock and roll, rockabilly, ale tak zakamuflowane w przebogatej aranżacji, że sprawiają wrażanie niezwykle skomplikowanych. Thirwell-szarlatan dźwięku jest wielkim intuicjonistą.

KOWALSKI, *OVERMAN UNDERGROUND*, Virgin (1982)

Zespół Kowalski był jednorazowym objawieniem, które jednak miało totalny charakter. Zachodnioniemiecki rock wykreował wiele ciekawych zespołów, jednak muzyka żadnego z nich nie była tak genialna jak na płycie Kowalskiego. Album początkowo ukazał się tylko w RFN, nakładem tamtejszego oddziału Virgin. Dopiero po entuzjastycznych recenzjach zdecydowano się wydać go w Anglii. Jest to płyta, która powinna znaleźć się w każdym domu. *Overman Undergound* to w równej mierze dzieło Kowalskiego, jak i producenta, Conny'ego Planka. Bogactwo form i dźwięków po prostu poraża. Jest przykładem, że industrialny rock może mieć postać zrozumiałą i strawną. Są tutaj utwory, w których nałożono na siebie 6, a nawet 7 planów dźwiękowych. Każdy z nich z powodzeniem mógłby egzystować oddzielnie, a zestawione razem dają efekt dźwiękowej pełni. To tak, jakby można było jednocześnie odbierać wszystkie zakresy fal i to nie tylko muzykę, ale wszelkiego rodzaju efekty akustyczne – od szumu kosmicznego tła aż po dźwięki zderzających się ze sobą stalowych brył.

HINNERICK BROSKAMP, *VOR DER FLUT*, Eigelstein (1984)

Projekt pod tym tytułem to pomysł zachodnioniemieckiego filmowca Hinnericka Broskampa. Kręcił film o mieszczących się na przedmieściach Kolonii zbiornikach wody pitnej – Severin. Owe olbrzymie podziemne zbiorniki po raz pierwszy od stu lat zostały opróżnione. Filmowiec trafił do podziemi, które swoją monumentalnością wywarły na nim wielkie wrażenie. Na dodatek okazało się, że ich akustyka ma niezwykłe właściwości. Powstające tam echo rozbrzmiewa aż przez 45 sekund. Broskamp przypomniał sobie o nagraniach, jakich dokonał w 1968 r. Amerykanin Paul Horn w słynnym mauzoleum Taj Mahal. Tak zrodził się pomysł niezwykłego koncertu. Zaproszono kilkunastu muzyków z całego świata, grających na najróżniejszych instrumentach. Wśród nich znaleźli się Dario Domingues z Argentyny grający na fletni Pana, Paulina Oliveros z USA (akordeon), Conrad Bauer z NRD (puzon), Roberto Lanieri (wokalista z Włoch), a także Heiner Goebbels, członek słynnego awangardowego zespołu Cassiber. Nagrań dokonano „na żywo", bez żadnej późniejszej obróbki w studiu. Efekt okazał się niesamowity. Słuchając spokojnych, medytacyjnych utworów, jazzowych improwizacji czy awangardy znajdujemy się w świecie muzyki z innego wymiaru.

THIS MORTAL COIL, *IT'LL END IN TEARS*, 4 AD (1984)

Choroba pod tytułem 4 AD zawładnęła mną wraz z pierwszą płytą Cocteau Twins. Później owa dolegliwość minęła, aby powrócić w zupełnie innej formie – zwanej The Pixies. Któraś z płyt wydanych przez 4 AD powinna więc się tu znaleźć. Wybór może być tylko jeden: *It'll End In Tears*. Wszyscy współpracownicy 4 AD właśnie na tej płycie osiągnęli szczyt swoich możliwości. Przede wszystkim Lisa Gerard, której nagrań z Dead Can Dance niestety nie mogę strawić (ku zmartwieniu kilku osób i obojętności całej reszty). Okazało się, że tego rodzaju pomysły sprawdzają się tylko raz. Drugi album This Mortal Coil był po prostu galerią kiczu.

THE JESUS AND MARY CHAIN, *PSYCHOCANDY*, Blanco y Negro (1985)

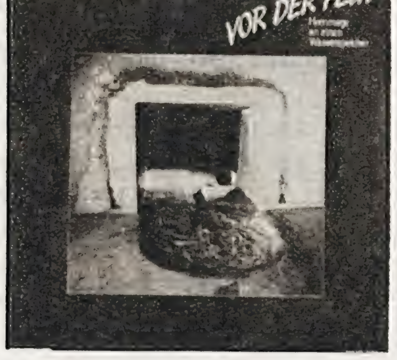
Lata osiemdziesiąte byłyby niepełne bez The Jesus And Mary Chain. Co jakiś czas muzyce rockowej potrzebne są skandale, potrzebni są bezkompromisowi młodzieńcy, którzy pokazują gwiazdom, że już przybladły. Tak było za sprawą TJAMC. Ten cukiereczek z wybuchowym nadzieniem dał początek nowemu stylowi, chociaż sam był mieszaniną dobrze znanych pomysłów. Czasami wystarczy nagrać jedną płytę, aby przejść do historii. TJAMC wspominam jeszcze z jednego powodu. Miałem okazję obejrzenia tej grupy na żywo, kiedy dopiero rodziła się jej sława. Grała 20 minut, ale wystarczyło to, aby z około 150 osób do końca wytrzymały tylko 4 (cztery!). To było to! Niech żyje rock and roll!

POGUES, *RUM SODOMY AND THE LASH*, Pogue Mahone (1985)

Wreszcie ostatnia płyta. Najmniej poważna, a właściwie zupełnie niepoważna. Album fantastycznych facetów, których zespół pierwotnie nazywał się rewelacyjnie – Pogue Mahone, co w staroceltyckim języku znaczy ponoć „pocałuj mnie w d..." The Pogues reklamowano jako „the best music for drink", co zresztą było zgodne z prawdą. Żałuję, że nigdy nie dane mi było obejrzenie tego zespołu w czasach, kiedy grał jeszcze w pubach. Jednak płyty rekompensują to aż nadto. Nie ma nic bardziej rajcującego i poprawiającego humor niż posłuchanie Shane'a MacGowana, śpiewającego o butelce whisky czy starym brudnym mieście. Połączenie folku i punk rocka jest sztuką, której udało się dokonać tylko kilku zespołom (The Men They Couldn't Hang), ale niepowtarzalny wdzięk i naturalność to specjalność jedynie The Pogues.

PRZEMYSŁAW MROCZEK

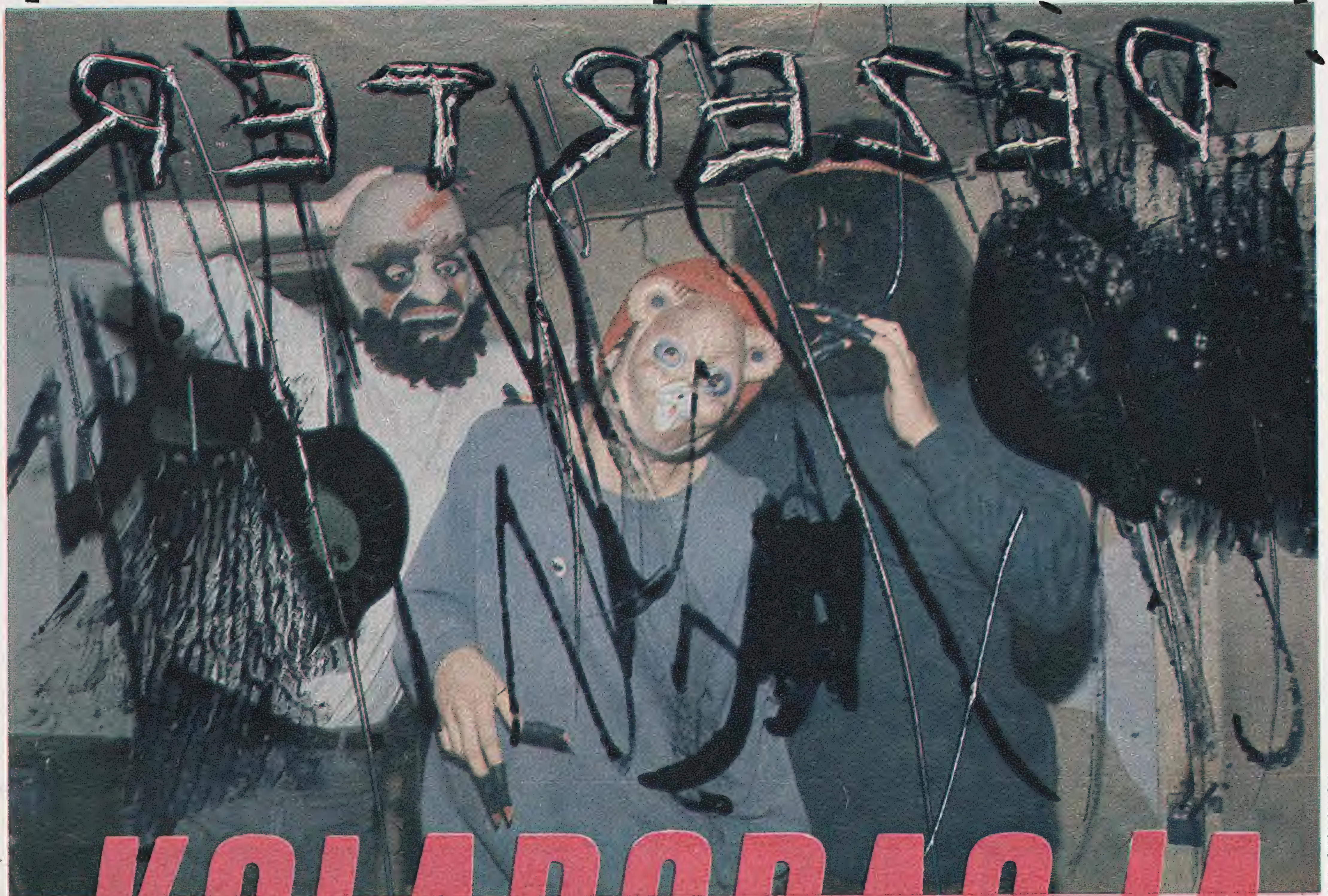












Fot.: JERZY STOKOWSKI

KOLABORACJA

– JAK WAM SIĘ ŻYJE W NOWYCH CZASACH?

KRZYSZTOF GRABOWSKI: *Biednie...*

ROBERT MATERA: *Z naszego punktu widzenia nic się nie zmieniło.*

– Zaskakujące usłyszeć coś takiego od zespołu, który zawsze borykał się z cenzurą i długo miał kłopoty już z powodu samej nazwy...

RM: *Cenzura nadal jest...*

KG: *Teraz robimy nowy materiał. I jak zwykle – nie przejmujemy się cenzurą. Jak nam będą chcieli z tego zrobić ser szwajcarski, to niech robią.*

– Ostatnio ukazał się wasz drugi polski longplay. Znów bez tytułu...

KG: *Płyta miała tytuł, tak jak i pierwsza. Tylko nie przeszedł w cenzurze. Pierwsza to „Kolaboracja", a druga to „Kolaboracja II". W cenzurze zostało też dziesięć tekstów.*

– Okładkowy żart jest całkiem na czasie, a płyta rozeszła się szybko, choć nie było żadnej reklamy. Chyba możecie czuć się zadowoleni.

KG: *Po nagraniu byłem zadowolony, ale mi przeszło.*

RM: *Ta płyta pochodzi z okresu „dezintegracji naszych postaw". Były takie momenty, że nie wiedzieliśmy, w którą stronę iść. Chwilami wszystko nam się rozmywało. Mieliśmy zbyt mało czasu na wypróbowanie wszystkich pomysłów.*

KG: *Był taki pomysł, żeby zrobić płytę inną od pierwszej.*

PAWEŁ PIOTROWSKI: *Chcieliśmy zaskoczyć parę osób.*

– I wyszła wam płyta, najkrócej mówiąc, bardziej artystyczna, bardziej urozmaicona, a przy tym jednak nie pozbawiona punkowej zgryźliwości. Zresztą kilka utworów było już znanych od lat z waszych koncertów...

KG: *Taki „Salwador" gramy właściwie od początku, ale ponieważ w Salwadorze nic się nie zmieniło...*

RM: *... potraktowaliśmy sprawę z większym luzem. Podobno zanotowano kilka opadów szczęk wśród ortodoksyjnych czadersów.*

PP: *Teraz stwierdzamy, że płyta nie wyszła nam tak, jak chcieliśmy, czemu na pewno przysłużył się brak faceta, który umie nagrywać taką muzykę i wie, jak powinna brzmieć.*

– Ale przecież łagodniejsze brzmienie uzasadniają niektóre teksty. Bądź co bądź w ostatniej piosence przekonujecie słuchacza, że *miłość może stać się twoją bronią, jeśli tylko tego chcesz...*

KG: *Ten numer wcale nie jest taki grzeczny. Ma swoją przewrotność.*

– Można go też zrozumieć w ten sposób, że zdradzacie punk.

RM: *No coś ty! Widać, że nie słuchałeś takich grup jak Crass...*

KG: *Nasza następna płyta będzie bardziej czadowa. Ostrzejsza.*

PP: *Cudowna.*

– Maciek Góralski – kiedyś muzyk Kryzysu – nie tak dawno nabijał się na łamach „Non Stopu" z zawodowych punkowców. Jak długo – waszym zdaniem – można grać punk rock?

KG: *Nie jesteśmy zawodowi, bo nie utrzymujemy się z tego.*

PP: *Nikt z nas nie chodził do punkowej zawodówki.*

– A mówiąc bardziej serio...

KG: *Myślę, że można taką muzykę grać dopóki jest to szczere. A to, co robimy, jest nadal szczere. Chociaż może to nie pasować ludziom, którym punk kojarzy się jedynie z obserwowaną w PRL-u postawą: zaprawione gówniarstwo wąchające klej. Nas interesują ludzie, którzy mają coś w głowach.*

– Czym jest dziś dla was punk? Jeszcze pokoleniowym buntem i pewną ideologią? Czy może już tylko rockowym stylem? Śpiewacie: *nasza rewolucja upadła, możemy zasiąść do kolacji...*

KG: *Wchodzimy na bardzo śliski grunt. I nie chciałbym powiedzieć czegoś, czego później będę żałował.*

PP: *Punk to sposób myślenia, który zostaje.*

RM: *Chyba – mówię „chyba", bo nic nie jest na pewno – namawiamy do własnego działania, własnego myślenia. Do niezależności. My nadal sami decydujemy o sobie. Nie zależymy od nikogo... I żeby było bardziej perfidnie – nie koncertujemy* (śmieje się).

– Gdyby nie nowa płyta już można byłoby zapomnieć o Dezerterze...

PP: *O nas? Nigdy!*

KG: *Rzeczywiście, ostatni raz zagraliśmy w Polsce mniej więcej rok temu, na „Róbrege". Nie gramy w kraju, bo koncerty przestały być przyjemnością. Dla obu stron. Jechać i stresować się, że dostanie się w mordę? Poza tym ja czułbym się odpowiedzialny, jeżeli ktoś przyszedłby na mój koncert i zostałby poszkodowany... Aż się wierzyć nie chce, że jeszcze niedawno bywało tak sympatycznie podczas koncertów.*

– No to opowiedzcie o występach, które najlepiej wspominacie.

KG: *Jarocin'84 to był koncert! Gdyby to ktoś nagrał na video albo na płytę – na pewno wyszłoby coś świetnego. Uważam, że to był jeden z naszych najlepszych koncertów.*

RM: *W 1987 r. w Gdańsku, w klubie „Kwadratowa" też nam się fajnie zagrało. Mimo naszych obaw, że przyjdą jacyś chuligani, zebrała się kapitalna załoga. I była wspólna zabawa z publiką. Wspaniały kontakt. Tak się rozegraliśmy,*

że skończyło się skokami z fortepianu.

– Latem można było przeczytać w „Sztandarze Młodych" reportaż o dziewczynie-punkówie z małego miasta, która popadła w tarapaty i wyznaje, że tylko teksty ‚Dezertera trzymają ją przy życiu... Co wy na to?

RM: *Zawsze mnie przeraża, że ktoś może traktować nasze teksty 'jak Biblię. Do wszystkiego w życiu trzeba mieć trochę dystansu.*

KG: *Nie zgadzam się z tobą do końca. Wolę takich, którzy nas słuchają i rozmieją, od tych, którzy oczekują tylko łomotu.*

– A jak wam było za granicą? Podobno pograliście trochę w klubach na Zachodzie.

KG: *Dzięki przyjacielskim kontaktom pojechaliśmy do Finlandii, Szwajcarii, RFN i Francji. Razem 25 koncertów.*

RM: *Przekonaliśmy się, że koncert punkowy może wyglądać tak, że ludzie nie tłuką się butelkami po głowach. Po prostu wspaniale bawią się. A wszędzie jest piwo...*

– Kiedyś rozmawialiście z dziennikarzami jak przy piwie. Nie oglądaliście się na żadne układy: w czasie największej popularności Lady Pank kpiliście sobie z Borysewicza...

KG: *Teraz też kpimy z różnych ludzi, tylko nikt nas o to nie pyta... Zresztą kiedyś było łatwiej. Wystarczała określona poza, której oczekiwali dziennikarze. Można było robić jaja na całego i oni to kupowali. Dawno temu, w Jarocinie, nagadaliśmy wysłanniczce „Polityki", pani Biełous, kompletnych głupot, rodem z „Wojen gwiezdnych" i ona, biedna, w to uwierzyła. A przynajmniej to napisała.* (śmieje się).

– Może jednak i teraz powiedzielibyście coś o polskim rocku z pozycji Dezertera...

PP: *Nie ma o czym mówić. W ogóle nie słucham.*

RM: *Bardzo rzadko zdarza mi się usłyszeć polską muzykę, która by mi się podobała. A jeszcze rzadziej taką, która by mnie zainspirowała...*

– A co z zagraniczną?

RM: *Jeśli chodzi o punk to jest parę kapel: Nomeansno, Rudimentary Peni, Bad Brains. Nadal świetna jest New Model Army.*

– Wróćmy do kraju...

KG: *Krajowa Scena Młodzieżowa to kolejna próba wsadzenia kitu. Myślę, że skończy się to nurtem typu Skaldowie i Wawele.*

RM: *Z niecierpliwością czekam na ekspansję KSM do NRD, ZSRR, Rumunii i Czechosłowacji.*

KG: *Chcemy jeszcze dodać, że – pomimo ponawiających się okresowo wątpliwości – utrzymujemy, że Ziemia jest nadal płaska.*

Rozmawiał
WIESŁAW KRÓLIKOWSKI

PS. Autoryzowane w pijalni czekolady Wedla, w Warszawie.

DEZERTER – DYSKOGRAFIA:
1. *Underground Of Poland*, Maximum R'n'R, MRR 003 (płyta wydana w USA i rozprowadzana w niezależnej sieci dystrybucyjnej na Zachodzie).
2. *Dezerter*, Klub Płytowy „Razem" RLP 020
3. *Dezerter*, Poljazz PSJ 211

NIEMEN / TEMAT NA NOWELĘ

1.

Czesław Niemen pokazuje mi okładkę swego longplaya *Terra deflorata*. Okładka – jego własnego projektu – jest już wydrukowana i to w 50 tysiącach egzemplarzy. Płyty jeszcze nie ma.

Nacięliśmy acetat bardzo uważnie i oddaliśmy do Polskich Nagrań, żeby zrobili nam z tego pozytyw do matrycy – mówi w imieniu swoim i Veritonu, który wydaje *Terrę defloratę*. – *Ale pierwsza przymiarka spowodowała zniszczenie acetatu. Trzeba było nacinać następny...*

Teraz wybiera się po próbną płytę do Pionek. Zawsze bardzo przejmował się wszystkim, co dotyczyło jego nagrań płytowych. Zawsze traktował bardzo serio swoją twórczość i swoich słuchaczy. Chciał, aby do ich rąk trafił jak najlepszy produkt.

Tym razem okazja jest szczególna. *Terra deflorata* to jego pierwszy longplay po dziesięcioletniej przerwie.

2.

Siedzę pod oknem, plecami do ogrodu, który niknie w chłodnawym, październikowym zmroku. Z prawej mam potężne biurko, przy którym zajmuje miejsce mój rozmówca. Z lewej – starą szafę. Za jej przeszklonymi drzwiami widać festiwalowe trofea, wypchaną papugę, słowniki, podręczniki do nauki języków obcych, tomy poezji Norwida i Herberta, wreszcie – album malarstwa Hieronymusa Boscha; artysty, którego twórczość przez wieki była uważana za dziwaczną i śmieszną, a od kilkudziesięciu lat ceniona jest za głęboki sens i ważką symbolikę.

Dziwny jest ten świat.

3.

Przed sobą mam pokój wypełniony przeróżną aparaturą muzyczną. Centralne miejsce zajmują komputerowe wieże, dobrze już znane z koncertów. Niemen nazywa tę swoją maszynerię „robotestra".

Słucham z nim fragmentów *Terry defloraty*, z cyfrowego magnetofonu DAT. Brzmienie jak z compact discu. Niemen, choć nie ma własnego odtwarzacza laserowego, nie tylko myśli o jak najlepszej płycie analogowej; obiecuje też kompaktową wersję.

Pierwsze wrażenie: jest to jedna z bardziej udanych pozycji w bogatej dyskografii Niemena. Mówiąc zupełnie skrótowo: efektowny dowód żywotności jego stylu muzycznego. Niemen potrafi pozostać sobą i być nowoczesnym. Oczywiście, *Terra deflorata* to też kolejne potwierdzenie wyjątkowości jego głosu. I ambicji jako autora tekstów. Ambicji, których rezultat – jak zawsze u Niemena – może wydać się niektórym kontrowersyjny.

A właściwie: musi.

4.

Starałem się, żeby elektronika nie przesłoniła treści. Z całego systemu Yamahy wykorzystałem tylko dźwięki najbardziej naturalne: harfowe, organowe. Jest tu trochę efektów przeniesionych za pomocą samplerów z moich dawnych instrumentów elektronicznych – z Synthi AKS, z minimooga. Ale głównym źródłem dźwięków dla mojej komputerowej aparatury były brzmienia zwykłych instrumentów. Chodziło mi o to, żeby można to było odebrać jako żywy zespół...

5.

Niemen mówi mi, że o powstawaniu *Terry defloraty* dałoby się napisać nowelę. Sam mogłem z daleka śledzić przynajmniej część jego perypetii. Gdy w 1984 r. robiłem z nim wywiad dla „Magazynu Muzycznego" zapowiedział ten longplay i podał tytuł. W dwa lata później powiedział mi, że jest w połowie pracy. Od schyłku zeszłego roku było wiadomo, że *Terrę* zamierza wydać Veriton i że Niemen już ją kończy.

To kończenie trwało do późnego lata; podobno nawet odebrał przekazaną już Veritonowi taśmę, żeby coś jeszcze poprawić.

W początkach swej kariery doprowadzał do białej gorączki realizatorów nagrań swymi wymaganiami, niecodziennymi pomysłami aranżacyjnymi i zapędami do perfekcji. Jeżeli to więc dodam, że *Terrę defloratę* nagrywał zupełnie sam, w zwykłym pokoju zwykłego domu (zajmowanego z rodziną), to powinno być jasne, dlaczego o mało co nie stała się ona *Terrą infinitą*. Nagrania ciągnęły się przeszło rok także dlatego, iż Niemen kilkakrotnie zwijał swe zaimprowizowane studio: brał aparaturę na koncerty. A z występów nie chciał zrezygnować już choćby z tego powodu, że pozwoliły mu na zakup jeszcze kilku urządzeń, przydatnych przy realizacji longplaya.

Ktoś zapyta, dlaczego nie nagrywał w profesjonalnym studiu? Ja nie zadałem Niemenowi takiego pytania. W kraju nękanym prowizorkami można mieć największe zaufanie do własnej prowizorki. Ale Niemen nie byłby sobą, gdyby nie chciał naprawdę się uniezależnić i w tej dziedzinie: właśnie buduje sobie piwniczkę-studio.

Mówi o niej: mój bunkier.

6.

To w zasadzie powstało po tej naszej zawierusze, po stanie wojennym. W 1982 r. występowałem w Berlinie Zachodnim, w Szwecji i zetknąłem się z takimi pseudobojkotami. Wmieszano mnie w te polityczne sprawy. Niby, że poparłem to, co się stało w kraju, bo pokazano coś mojego w telewizji w grudniu' 81... Takie niesmaczne, takie prymitywne pomówienia... Śpiewałem wtedy prawie wyłącznie Norwida i były też zarzuty, że nie rozumiem, co śpiewam. Strasznie mnie to wszystko zgniewało.

Pomyślałem: napiszę sobie coś, żeby się rozładować. Takie detale na temat dziwnego świata ludzkich spraw. Były to białe wiersze. Później zacząłem je rymować, mocniej rytmizować i powstały z tego piosenki. Właściwie od razu myślałem o płycie, ale długo nikt nie przejawiał chęci, żeby mi ją wydać. Nie było mnie w telewizji, na listach przebojów...



NIEMEN/ TEMAT NA NOWELĘ

7.

Niemen mówi, że nie zawracałby sobie głowy nagrywaniem *Terry deflorаty*, gdyby nie chciał jeszcze występować.

Powrócił na estradę jesienią 1984 po blisko dwuletniej przerwie. W 1985 r. pojawił się w polonijnych klubach USA i Kanady; wtedy też kupił swe komputerowe instrumentarium.

Zastanawia się i dodaje, że wznowił koncerty, bo chciał się jeszcze raz sprawdzić. I zrobił sobie sprawdzian bez taryfy ulgowej. Nawet przebił się ze swą muzyką do dzisiejszych nastolatków: w 1987 r. wziął udział w jarocińskim festiwalu i był dobrze przyjęty. Młoda publiczność najbardziej chciała usłyszeć *Dziwny jest ten świat*. Zaśpiewał na bis. Może nawet trochę zdziwiony.

W 1980 r. zwierzał się na łamach „Tygodnika Kulturalnego": *Dosłownie nie znoszę tego gitarowego jazgotu, który kiedyś sam lansowałem. Może dlatego, że jazgot ciągle jest ten sam. Nic nowego. Następne pokolenie po prostu powiela po poprzednim pokoleniu.*

W 1987 r. – tuż po Jarocinie – zapewniał w wywiadzie dla „Gazety Robotniczej": *Nie zatraciłem fascynacji rockiem, dalej to czuję i pewnie więcej wiem na ten temat.*

Chyba i więcej już wiedział o samym sobie.

8.

Właściwie te teksty kwalifikowałyby się też do innej muzyki. Ale założyłem sobie, że mają to być piosenki. Mało tego: piosenki rock'n'rollujące! Przyznam się, że nawet usiłowałem trochę nawiązać do mojej muzyki z końca lat sześćdziesiątych i z mojego CBS-owskiego okresu. Takie brzmienie perkusji, taka ekspresja całości...

Trudno mi mówić o tej płycie obiektywnie, bo jestem nią strasznie zmęczony. Cieszę się, że w ogóle skończyłem... Za długo to trwało. Teraz muszę przyspieszyć. Czeka w kolejce do nagrania dalszy materiał z mojego programu estradowego. Czeka też nie zrealizowana płyta z wieszami Norwida, „Pieśń od ziemi naszej". I chciałbym jeszcze nagrać te moje stare przeboje, które wykonuję teraz na koncertach.

9.

W tym roku telewidzowie mogli zobaczyć, jak fetowano Niemena podczas jego recitalu na festiwalu opolskim.

A nieco wcześniej pojawił się na szklanym ekranie w przedwyborczym programie Solidarności. Trudno nie zapytać o ten występ.

Moje poglądy są bardzo proste – opowiada. – *Uważam, że zgubą świata są partie polityczne... Ojciec nauczył mnie, żebym się raczej nie wtrącał do polityki, bo nikt nie ma monopolu na prawdę i nie powinno się nikomu nic narzucać... Dlatego śmieszy mnie takie zacietrzewienie, jakie widziałem w programie Studia 2, „Dokąd zmierza polska lewica?" Wstało dwóch młodych ludzi i domagało się rewolucji... Czyli co? Himalaje chcą tu zrobić? Wiadomo, że wszystkie rewolucje to są kataklizmy... I że politycy to ludzie o wybujałych genach władczych. Ale trafiają się wśród nich postacie piękne, szlachetne. Jak nasz premier.*

10.

Obecny rok jest dla Niemena szczególny jeszcze z jednej przyczyny. W lutym przypadły jego pięćdziesiąte urodziny. W „Jazz Forum" ukazał się z tego powodu okolicznościowy tekst. Później doszły gratulacje „Sztandaru Młodych"...

Ja się tym nie przejąłem – mówi Niemen. – *Nie czuję się na te pięćdziesiąt lat. Nawet nie wiem, co mi tam powypisywali, bo nie zaglądałem...*

Wygląda lepiej niż kilka lat temu. Uważa, że nie bez znaczenia jest wegetariańska dieta; w 1982 r. po raz ostatni jadł mięso.

Przejeżdżając koło sklepu mięsnego mam ochotę zatrzymać się i wytłumaczyć tym babom, po jaką truciznę stoją w ogonkach. Ale pewnie by mnie zlinczowały – opowiada śmiejąc się. – *Tak sobie czasami myślę, że dobrze byłoby, gdyby Polacy zrozumieli, że mięso jest szkodliwe. O ile bylibyśmy bogatsi! Wszyscy wychodzą z założenia, że mięso daje siłę. A ja uważam, że odbiera. Poza tym ja w ogóle mało jem...*

Mimo to można nadal pozazdrościć Niemenowi bicepsów.

Kiedyś byłem wysportowany, ćwiczyłem gimnastykę przyrządową – wyjaśnia. – *Teraz ubolewam, że nie robię żadnych ćwiczeń, trochę mi się to odbija na krążeniu. Właściwie prowadzę siedzący tryb życia, w domu ślęczę przy tych moich komputerach. Najlepiej czuję się na trasie koncertowej, bo wtedy cały dzień jestem na nogach.*

11.

Niemen powiedział w zeszłym roku w jednym z wywiadów, że *sztuczny podział na starych i młodych muzyków jest niepotrzebny.* Sam to udowodnił na estradzie: w czasie Róbrege 87 wystąpił gościnnie z zespołem Tomasza „Kciuka" Jaworskiego; zaśpiewał z ich akompaniamentem *Little Wing* Hendrixa (uwaga dla młodych czytelników: utwór ten miał już swą renomę w świecie rocka zanim zainteresował się nim Sting).

Niemen nagrał też tę piosenkę na jazz-rockową płytę Kciuka, którą wydać ma Arston. Właśnie kończymy rozmowę, gdy zjawia się Jaworski. Kciuk przyszedł z prośbą, aby Niemen zgodził się na umieszczenie swego nazwiska na tytułowej stronie okładki.

I nie zawiódł się.

WIESŁAW KRÓLIKOWSKI

Fot.: JERZY STOKOWSKI



NIE BRAŁAM ŚLUBU Z LUDŹMI

Informuje OLGA JACKOWSKA – KORA

w rozmowie z Marianem T. Kutiakiem

– Niektórzy złośliwi krakowianie twierdzą, że Zygmunt III Waza przeniósł stolicę Polski z Krakowa do Warszawy, gdyż lekarz zalecił mu świeże, wiejskie powietrze. Ty także zmieniłaś Kraków na Warszawę.

– O tym twierdzeniu to nawet nie wiedziałam. Nie uważam Warszawy za wieś. Nie jestem złośliwa w stosunku do Stolicy. Do tej decyzji skłoniły mnie sprawy osobiste. Wcześniej przez kilka lat mieszkałam w Warszawie. Oczywiście, nie kocham jej tak jak Krakowa.

– Dużo zmieniło się w Twoim życiu prywatnym, o czym wie krąg bliskich znajomych. Także dużo zmieniło się w Twojej sytuacji zawodowej. Jak te dwie sfery wpływają na siebie?

– Prywatna sytuacja to to, że mieszkam w Warszawie. I więcej nie chciałabym o tym mówić. Ona, wbrew pozorom, nie zmieniła się aż tak diametralnie, jakby się wydawało. Natomiast zawodowo? Nie ma grupy Maanam, nie gramy ze sobą. Teraz nie śpiewam. Ale drugiego października wchodzę do studia i będę nagrywać bardzo dziwną płytę. W każdym razie nie będą to moje teksty ani muzyka, żadnego współczesnego kompozytora.

– Co to będzie?

– Jeszcze nie wiem. Będzie to tak dziwny produkt, że sama nie wiem, co z tego wyniknie. W każdym razie będzie to coś zupełnie innego od tego, co do tej pory robiłam.

– A jednak zmiany. Czy będzie zmiana emploi?

– Nie. Nagrywam płytę, gdyż jest to jedna z nielicznych rzeczy, które – jeżeli chodzi o pracę – lubię robić. Ponieważ nie mam swoich kompozycji nagrywam to, co jest dla mnie interesujące.

– Czy to jest Twoje definitywne odejście od rocka?

– Nie, choć do rockowej muzyki mam dość ambiwalentny stosunek.

– Przeżyłaś na scenie boom rockowy w Polsce, który się już skończył, bądź kończy. Czy mogłabyś go ocenić z dystansu?

– Wtedy, gdy on był, to, mówiąc szczerze, bardzo mało wiedziałam i widziałam. Nie miałam w ogóle perspektywy. A bez niej nic nie można zobaczyć.

– A teraz?

– Teraz ją mam i bardzo miło wspominam ten okres. Ale też wspominam go jakby wydarzył się nie mnie, tylko innej osobie. Ten boom rockowy to była reperkusja jeszcze hipisowskich czasów. U nas w latach 60. ten ruch zaistniał przede wszystkim socjologicznie. Muzycznie zaś nie aż tak. To drzemało w ludziach. Niespełnione tęsknoty, potencjały, z którymi się nic nie działo. Także sytuacja polityczna w drugiej połowie lat 70. była bardzo istotna. Pamiętam tę atmosferę i nas w tym wszystkim. W polityce już wtedy mówiło się o wolności. Zaczęły się pierwsze ruchy solidarnościowe. Młodzi ludzie tacy jak ja i dużo młodsi wreszcie mogli się pod czymś podpisać. Nie będąc zaangażowanymi politycznie, bo polityka nie jest dla dzieci, chcieli mieć coś quasi-politycznego. Coś, co dawałoby im możliwość odnalezienia i akceptacji samych siebie. A teraz jest już po tym. Zresztą w kraju jest paranoiczna sytuacja. Ostro się tutaj dzieje. Jest to bardzo interesujące. Nie sposób od tego uciec. Ludzie w tym tkwią i tym żyją. Chociaż z drugiej strony Jarocin udowodnił, że muzyka młodych jest nadal dla nich magnesem. Może jest mniej koncertowo, mniej halowo. Ale to już są czysto ekonomiczne sprawy.

– Jak w tym, o czym mówiłaś, widzisz Maanam?

– To była bardzo mocno kultowa grupa, pomimo że w pewnym momencie nie byliśmy już undergroundem. Byliśmy dla wielu ludzi ważni, potrzebni. Coś ten Maanam znaczył. Ludzie się z nim utożsamiali. I takiej ważności nie jest w stanie nic przekreślić. Bo cóż, czy teraz śpiewam, czy nie – to nie ma znaczenia. Równie dobrze mogłabym umrzeć, zginąć w wypadku samochodowym i też by tego Maanamu nie było. Jeżeli ludzie uważają, że tylko – tak jak w Kościele – śmierć może rozłączyć węzeł małżeński, to już ich sprawa. Nie brałam z ludźmi ślubu.

Ale gdybym nadal była z Maanamem, mogłoby dojść do kuriozalnej sytuacji. Tak jak The Rolling Stones. Oni są dla mnie totalnym okazem dziwnego baobabu, mamutem syberyjskim. Bo cóż można powiedzieć o coraz starszych panach dbających, by wyglądać coraz młodziej. Daje to żałosny efekt. Ta sama muzyka, to samo trzepanie. Koszmar, po prostu koszmar. Przynajmniej dla mnie. Ja tego nie akceptuję. Ale inni lubią żywe mity.

– Jeżeli już jesteśmy przy mitach, to Ty też nim jesteś. Przez cały okres naszego boomu rockowego funkcjonowałaś z metryczką gwiazdy. A teraz...

– Jeżeli można mówić o jakichkolwiek zmianach, to zmieniam się tak jak drzewo. Mam silne poczucie indywidualności, uważam się za osobę niesamowicie niezwykłą. Ale też każdy człowiek jest właśnie taki. I chciałabym, żeby ludzie tak właśnie na siebie patrzyli. Żeby widzieli w sobie przepiękny, skończony twór boski. Oznacza to, że z jednej strony mam kult dla swojej osoby, tak samo jak dla każdej osoby żyjącej. Z drugiej – jestem najnormalniejszym człowiekiem. Z tego też wynika moje widzenie i Maanamu, i tamtego okresu. To był wspaniały okres. Ale zubażał mnie mocno o bardzo istotne dla mnie treści życiowe. W tej chwili nareszcie czuję się kobietą. Tak naprawdę do tej pory ta kobiecość była bardzo zubożona. Byłam tworem, który już nawet sam siebie nie dotykał, tworem pozbawionym czucia. Z jednej strony duża wiarygodność, a z drugiej potworne zmęczenie, brak czasu i siły by pomyśleć o sobie. W tej chwili nareszcie mam na to czas. Od momentu, gdy się rozstałam z Maanamem zrobiłam właśnie dla siebie bardzo dużo istotnych rzeczy. Gdybym miała jeszcze raz rozstać się z Maanamem, zrobiłabym to samo.

– Zostańmy jeszcze przez chwilę przy gwieździe. Byłaś gwiazdą nie wykreowaną, wymyśloną przez kogoś z zewnątrz. Sama siebie wykreowałaś, a przez swoje teksty kreowałaś rzeczywistość.

– Ja siebie nie wymyśliłam. Zaczynaliśmy od czegoś bardzo małego, czysto rozrywkowego, by miło spędzić wieczór, gdy już dzieci zasnęły. A potem to się rozpędziło tak, jak mała kulka śniegu tocząca się z góry. Nasze muzykowanie też nabrało masy. Teksty pisałam od siebie. To nie były listy kierowane do jakiegoś konkretnego odbiorcy. Po prostu opisywałam rzeczywistość, a Marek pogłębiał to muzyką. Ludzie odnajdywali się w tym, bo mówiłam o tym, w czym wszyscy żyliśmy. Przecież nie żyłam na Atlantydzie czy gdzieś w kosmosie.

– O różnicy, podziałach pokoleniowych wiele napisano. Jesteś w specyficznej sytuacji. Z jednej strony byłaś idolem małolatów, z drugiej zaś matką dwóch nastolatków.

– Z moimi synami nie mam żadnych konfliktów, bardzo się kochamy. Są moimi partnerami życiowymi. Nie wyobrażam sobie bycia bez nich.

– A konflikty pokoleniowe poza rodziną?

– Ja ich w ogóle nie odczuwam, bo bardzo się izoluję. Nie jestem człowiekiem społecznym, który chodzi i załatwia cudze sprawy w sposób normalny. Robię to z katedry, ze sceny. Natomiast prawdą jest, że niezależnie od wieku, ludzie nie widzą we mnie kobiety dorosłej. Koledzy mego czternastoletniego syna mówią mi na ty. Patrzę na to trochę ze zdumieniem, ale akceptuję, bo cóż innego mogę zrobić. Człowiek, który ma szersze widzenie świata nie wpada w konflikty. Ludzie każdego pokolenia są interesujący i ciekawi. I dzieci, i dorośli. Nie odczuwam konfliktów i obym nigdy nie musiała powiedzieć, że nie rozumiem młodego pokolenia. Wszystko polega na zrozumieniu, a ja jestem chyba w stanie zrozumieć wszystko.

– Jakie jest młode pokolenie?

– Towarzystwo, który przychodzi do mojego starszego syna, to ludzie szesnasto-, osiemnasto- i dwudziestoparoletni. Jego koledzy, przyjaciele są bardzo interesujący. Spędzam z nimi czas, piję kawę, rozmawiam. Ale gdy na przykład jestem w „Remoncie", ogarnia mnie strach. To jest zgroza, horror. Porównując te środowiska z analogicznymi na Zachodzie, widać między nimi kolosalną różnicę. Ładunek agresji, który unosi się w powietrzu w „Remoncie" jest dla mnie czymś przerażającym. Ostatnio byłam tam tylko dwa razy, ale wszystkie miejsca, gdzie gromadzi się młodzież są tak samo przesiąknięte agresją. Czegoś takiego nigdy nie odczuwałam. To jest straszne. „Remont" był klubem, do którego kiedyś chodziliśmy. Ale nigdy nie było tam czego takiego. Teraz tam bez przerwy się biją. Myślę, że oni się zupełnie nie spełniają w życiu jako ludzie. Stąd bierze się ta potworna agresja. Jeżeli tak dalej będzie, to wkrótce wszyscy się pozabijają.

– Twój zawód, kariera nie ułatwia Ci wychowania synów.

– Ostatnie dwa, trzy lata jestem o wiele więcej z nimi i odbieram to wspaniale. Nie mam żadnych problemów wychowawczych. Dużo ze sobą rozmawiamy. Ustaliłam wzajemną relację stuprocentowej lojalności. Wszystko sobie mówimy. Nie ma takiej sytuacji, że coś przed sobą ukrywamy. Nawet gdy zareaguję agresywnie, co się rzadko zdarza, oni to tolerują, gdyż wiedzą jaka jestem naprawdę. Ale oni nigdy nie wychowywali się w trudnych warunkach. Ogromne trudności materialne mogą powodować trudności wychowawcze, konfliktować, bo ludzie są wtedy napięci. Na razie nie brakuje mi pieniędzy zbyt dramatycznie. Aczkolwiek nie mam ich za dużo. Nie są to kokosy, ale nie ma też tego, co jest chyba w większości polskich domów – panicznego lęku o byt.

– Nie tęsknisz za sceną, nie brakuje Ci jej?

– Ostatni koncert zagrałam w grudniu. Niedługo będzie już rok. Brakuje mi tego. Ale dobrze się składa, bo nagrywam płytę, a po niej chcę zrobić parę recitali i jadę na koncerty do Stanów. Oprócz tego przejadę przez Frankfurt, gdzie mam spotkać się z australijskim muzykiem, który chce dla mnie komponować. Nie znam go, wiem tylko, że jest świetnym gitarzystą grającym w bardzo popularnym australijskim zespole. Usłyszał mnie na płycie i zaproponował mojemu menażerowi współpracę. Nie siedzę w miejscu, nie gnuśnieję. Kiedyś ze Staszkiem Sojką zrobiliśmy na żywo mały występ w telewizji. Miałam przyjemność, bo była tam publiczność.

– W zeszłym roku wystąpiłaś w koncercie galowym Przeglądu Piosenki Aktorskiej. Zaśpiewałaś *Okularników* i *Kochanków z ulicy Kamiennej*. Skąd u Ciebie taki repertuar?

– Agnieszka Osiecka zaproponowała mi udział w Gali. „Okularników" znam, bo śpiewałam ich, gdy byłam małą dziewczynką. Teraz mam propozycję na recitale z tego typu repertuarem. Ale są to otwarte sprawy. Wymagają czasu i poświęcenia. Jednak w dalszym ciągu bliższa mi jest samorealizacja jako autora niż wykonawcy. Wykonawca to też jest wspaniała rola. Na to jest jednak zawsze czas. Natomiast, żeby śpiewać i robić wrażenie na scenie czasu mam coraz mniej. Jestem kobietą. Muszę występować i robić własne rzeczy.

– Przymierzasz się też do płyty z piosenkami „Kabaretu Starszych Panów". Pierwsze wykonania tych piosenek są sztuką przez największe S. Czy nie boisz się konfrontacji z ideałem?

– Pan Jeremi Przybora wybrał dla mnie utwory, które były mało wykonywane i nie są takimi wzorcami. Ale oczywiście, że się nie boję. Nie jestem byle jakim wykonawcą. Gdy Sting zaśpiewał Brechta, to ja nie lubiąca Brechta, byłam oczarowana. Nie lubiłam także dotychczasowych sposobów wykonywania jego songów. Ale Sting zrobił z nich coś genialnego.

Oczywiście, te pierwowzory bardzo kocham. Są to wspaniali wykonawcy, ale zaśpiewam tylko jedną piosenkę Kaliny Jędrusik, którą później śpiewało wiele kobiet – „Bo we mnie jest seks"...

– Tę piosenkę może zaśpiewać prawie każda kobieta.

– Tak. Kalina jednak zaśpiewała to rewelacyjnie. Poza tym jeszcze tego nie zrobiłam. A propozycja wyszła od pana Przybory.

– O czym marzy Kora?

– Prawdę powiedziawszy o niczym nie marzę. Pan Bóg mnie kocha. Moje pomysły realizują się powolutku. A ponieważ nienawidzę pośpiechu, jest mi z tym dobrze.

Rozmawiał MARIAN T. KUTIAK





Fot.: WOJCIECH GLINKA



Fot.: WITOLD GÓRKA



Fot.: JACEK SZMUC



RÓŻE EUROPY
Krew Marilyn Monroe
Pronit

Z wypowiedzi Piotra Klatta, opublikowanej w tym roku na łamach „Magazynu Muzycznego", można było odnieść wrażenie, że jego zespół – Róże Europy – przechodzi kolejne stadia muzycznego rozwoju; że poszukuje nowych form artystycznej wypowiedzi.

Tymczasem drugi longplay Róż, *Krew Marilyn Monroe*, świadczy tylko o bezradności i o – co najwyżej – wątpliwych, doraźnych zmianach w repertuarze. Wstydliwych wpadek tu nie ma, lecz też brak powodów do radości.

Dość żałośnie wypada próba „wyostrzenia" muzyki za pomocą pożyczek ze stylu The Cult, z longplaya *Electric*; krańcowym tego przykładem są *Kobiety nowoczesnych szminek*. Klatt nawet przyswoił sobie ulubiony okrzyk Iana Astbury'ego – *jajo!* – ale ciągle idzie mu niesporo śpiewanie prawdziwego rocka; chyba już z tego powodu Róże powinny pozostać przy wcześniejszej konwencji, dającej się umownie określić jako „rockowa piosenka studencka".

Na tym – niestety – nie koniec niespodzianek. Róże zaczęły naśladować... swych krajowych konkurentów. Płyta dedykowana jest kilku naszym zespołom, chyba więc chodzi o pastisze z premedytacją. W tytułowej piosence longplaya jest coś ze stylu T. Love. *Rendez vous z koszerną* podejmuje dramatyczny wątek antyalkoholowy, znany z repertuaru Kultu, zaś *Surfingujące buty* przypominają do złudzenia pod każdym względem przeboje Kobranocki. I co z tego? I czy nie za wcześnie na wzajemne składanie sobie hołdów?

Klatt i spółka potrafią całkiem zgrabnie popełnić coś w rodzaju rockowego hymnu *(Żyj szybko, kochaj, mocno, umieraj młodo)*, ale też „studenctwo" Róż zbyt mocno daje znać o sobie. Zdarza im się zupełnie rozmijać z rockową stylistyką i proponować coś w rodzaju piosenki aktorskiej z pseudohiszpańskim akompaniamentem gitarowym; coś raczej pasującego tylko do krakowskiego festiwalu *(Witraże na kolację i śniadanie)*.

Nadal można uznać, że najważniejsze są teksty Klatta. Ciągle ma on swój szczególny, prowokacyjny i niedbały styl. Nadal potrafi z polotem i ironią oddać bolączki naszego życia; żartować okrutnie i celnie *(Ławka oczekujących do strzelnicy)*. Jednak próbuje też studiować kobiecą naturę z takim sobie wynikiem *(Kobiety nowoczesnych szminek)*. A to, że zaczął pisać w konwencjach, które kojarzą się z innymi zespołami...

Może to jakiś sprawdzian, może żart, może ostatnia deska ratunku... **(5)**

WIESŁAW KRÓLIKOWSKI



T. LOVE
Wychowanie
Polskie Nagrania

Już przed wysłuchaniem tego krążka zastanawiałam się, czy T. Love może mnie czymś zaskoczyć. Niestety, nagrana na płycie średniej jakości muzyczka pop nie wzbudziła jednak we mnie większych emocji.

Wychowanie to drugi LP zespołu, nie odbiegający w zasadzie, zbytnio od poprzedniego. Znajdują się na nim nowości oraz trzy starsze utwory z premierowej płyty T. Love *(Fank! Nasza Tradycja* oraz tytułowy, *Wychowanie)* nagranej podczas koncertu w sali stołecznej „Riviery". Z tego akurat faktu należy być zadowolonym: po pierwsze dlatego, że poprzednia płyta wydana była przez Klub Płytowy „Razem" w małym nakładzie, po drugie zaś, zespół koszmarnie brzmi live (Bozia poskąpiła Muńkowi głosu), po trzecie, są to jedne z najlepszych utworów na tym krążku.

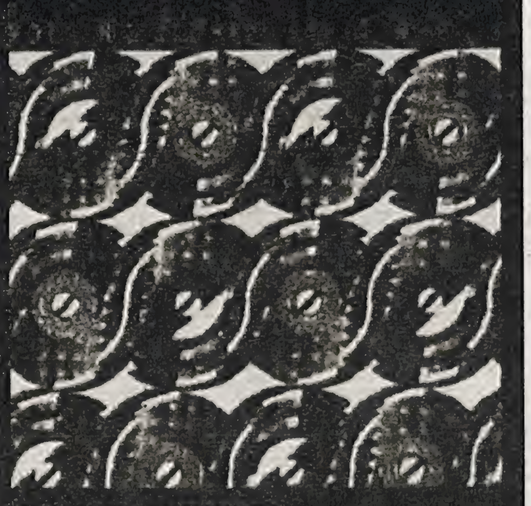
Jakie są więc nowości? Dwie z nich są już znane słuchaczom radiowej Trójki *(Wolny jak taczanka na stepie* i *Śpiewam bęben)*. Wszystkie teksty, autorstwa frontmana Zygmunta Staszczyka, mówią głównie o otaczającej nas smutnej, szarej rzeczywistości. Od strony muzycznej kapela nie zaoferowała jednak nic nowego. Kompozycje są wtórne. Wyjątkiem jest *Śpiewam bęben* oparty na rytmach reggae oraz *Gumka babulumka*, piosenka, w której słychać wpływ naszej „wspaniałej" grupy Papa Dance (czyżby zespół miał ochotę na młodociane fanki?). Ten „żart" równoważy przejmujący marsz *Idą Kołnierze*.

W sumie T. Love ma dobre chęci i próbuje uprzyjemniać nam ciężkie chwile swoją muzyką. **(6)**

DOROTA GOGOLEWSKA

PUNKTACJA

1 – dno
2 – okropna
3 – zła
4 – słaba
5 – przeciętna
6 – niezła
7 – dobra
8 – bardzo dobra
9 – znakomita
10 – rewelacja



ROLLING STONES
Steel Wheels
Rolling Stones

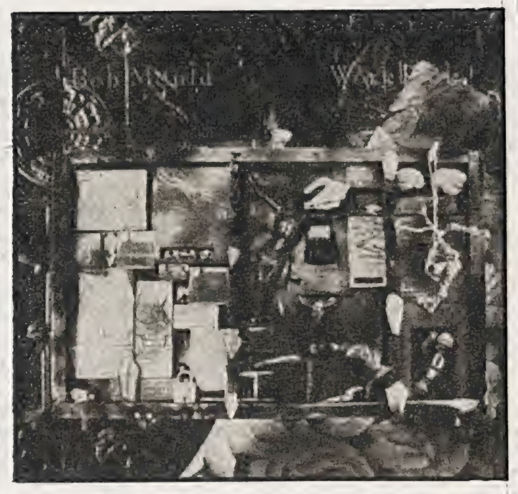
Toczące się kamienie, po trzech latach przerwy, podjechały z piskiem stalowych kół. Zwaśnieni „bracia" Jagger i Richards nareszcie usiedli razem i efektem tej miłości z pogranicza nienawiści jest najlepsza płyta The Stones lat 80. Ci starzejący się playboye mają w sobie to COŚ, o czym marzą wszyscy rockmeni na świecie. Niebywałą charyzmę, fantastyczny tupet, niepowtarzalne oblicza i odrobinę talentu. Choć znacznie różnią się od siebie, Mick i Keef (tak ma być) są synonimami terminu rock and roll. The Stones i The Who – dwa zespoły, które wychowały już jedną generację, a wszystko wskazuje na to, że i następne pokolenie też ma dla nich wielki szacunek. Album *Steel Wheels* może go tylko spotęgować!

Po chyba 27 latach bycia razem i oddzielnie The Rolling Stones nie mogą już niczym specjalnym zaskoczyć. Mogą natomiast zawieść, ale na szczęście tym razem tak się nie stało. Dwie przyzwoite solowe płyty Jaggera i generalnie nie zrozumiany debiut Richardsa uświadomiły wszystkim fakt, że bez tych „trzech" stojących z tyłu żaden z nich nie zrobi płyty brzmiącej jak The Rolling Stones. Mick i Keith to fasada, ale bez solidnej, antyefekciarskiej sekcji Watts–Wyman nie ma mowy o tym prostym, wciągającym rhythm and bluesowym klimacie. A na tym krążku jest go dużo i to w najlepszym wydaniu.

Największym atutem *Steel Wheels* jest repertuarowa wariacja osadzona mocno w stonesowskiej tradycji. W tym wypadku nawet afrykański charakter świetnego numeru *Continental Drift*, gdzie Jagger ma okazję sprawdzić się jako muła nawołujący do poszanowania miłości nie jest tendencyjnym sprzedawaniem się wymogom mody, a ukłonem w stronę nieżyjącego Briana Jonesa, który uwielbiał muzykę marokańską. Podobnie odbieram jeden z najlepszych kawałków na płytce, śliczną, countrującą balladę *Blinded By Love*, która natychmiast kojarzy się, poprzez klimat, z klasycznym nagraniem *Wild Horses*. Zawyłem też z zachwytu, gdy usłyszałem bluesowy popis Jaggera na harmonijce ustnej w *Break The Spell*. O nieco innym charakterze *Steel Wheels* zdecydowały też dwa numery w wykonaniu Keitha Richardsa – *Can't Be Seen* oraz *Slippin' Away*. To swoisty oddech od manierycznego i równocześnie kapitalnego śpiewu Jaggera i nieco inna, bardziej „naiwna", mniej agresywna stylistyka. (LP *Talk Is Cheap* sugerował, że choć Keith wygląda na bandytę, to w gruncie rzeczy siedzi w nim niepowtarzalny miłośnik starego rock and rolla z lat 50.). Mniej agresywne, mniej wulgarne i mniej „zaangażowane" są też teksty nowych „piosenek" The Stones. Tylko *Hearts For Sale* zakończone miękką solówką gitary godną Roberta Craya wygląda mi na socjologiczne ostrzeżenie przed używaniem życia. Dwa inne utwory, dla których dałbym się posiekać, to typowe, stonesowskie łomoty o świetnie narastającym napięciu, czyli *Terrifying* oraz *Rock And The Hard Place*.

Jagger bryluje, bo jest rzeczywiście w świetnej formie, Keith Richards rąbie swe nieśmiertelne akordy i okazjonalnie próbuje zabawnie „solować", ale to wszystko ma stonesowski charakter za sprawą oszczędnego i miarowego bicia w bęben przez Charlie Wattsa. Oby żelazne koła toczyły się wraz z kamieniami w tym kierunku w przyszłości. (8)

ROMEK ROGOWIECKI



BOB MOULD
Workbook
Virgin

Otwierający ten album liryczny, gitarowy instrumental nie zapowiada, że będziemy mieli do czynienia z jednym z najbardziej gorzkich dzieł ostatnich lat. Jego autorem jest były lider nie istniejącej już formacji Hüsker Dü. Grupy, która nie zyskała u nas szerszego uznania, a w Ameryce okrzyknięto ją „najważniejszym trashpopowym bandem tej dekady". W przypadku *Workbook* mamy do czynienia z całkiem nowym obliczem Moulda. Nie próbował on powrócić do gitarowej ściany dźwięku charakteryzującej muzykę Hüsker Dü. Wręcz przeciwnie, drastycznie zmniejszył ilość decybeli wychodzących z jego wzmacniacza, a przy tym osiągnął jeszcze bardziej przejmujący efekt.

Sam dobór muzyków uczestniczących w powstaniu *Workbook* świadczy, że Mouldowi zależało na wykreowaniu innego klimatu. Sekcja rytmiczna złożona z doświadczonych, a zarazem otwartych na poszukiwania instrumentalistów: basisty zespołu Pere Ubu Tony'ego Maimone'a i byłego perkusisty tej grupy, obecnie grającego w Golden Palominos, Antona Fiera, dawała gwarancję bezbłędnego zrealizowania producenckich koncepcji autora. Mould nie stał się jednak eksperymentatorem i jego muzyka wciąż mieści się w ramach rock'n'rolla. Bez studyjnych, elektronicznych oszustw zdołał on jednak stworzyć niesamowitą przestrzeń brzmieniową rozciągającą się od pełnego powietrza tła po przerażającą dźwiękową klaustrofobię. Szczególna rola w zabarwieniu muzycznych planów przypadła wiolonczelistce Jane Scarpantoni. Mould w większości kompozycji postawił na gitarę akustyczną, dzięki czemu jego chropowato-warkliwy głos został uwypuklony bardziej niż dotychczas. Jego śpiew idealnie pasuje do tematyki tekstów opowiadających o życiu w małym miasteczku, straconych złudzeniach, gorzkich oskarżeniach i innych grzechach dnia codziennego. Mimo że jako całość album jest brzmieniowo nad wyraz spójny, to poszczególne utwory są dość zróżnicowane. Mamy łagodną balladę *Heartbreak A Stranger*, popowy *See A Little Light*, folkowy *Dreaming, I Am*, a z drugiej strony epickie gitarowe utwory: *Wishing Well*, *Lonely Afternoon*, *Poison Years* czy wręcz hardcorowy *Whichever Way The Wind Blows*. Centralnym numerem na *Workbook* jest *Brasilia Crossed With Trenton (Kiedy żyjesz pośrodku nicości Twoja wyobraźnia jak dzika wybiega na zewnątrz)*, w której Bob Mould niemożność łączy z pragnieniem choćby złudnej zmiany.

Nie jest to płyta dla szerokiego odbiorcy i należy dokonać pewnego wysiłku, by zrozumieć, co Mould miał do przekazania. *Workbook* w swym muzycznym wyizolowaniu stoi pośród najlepszych autorskich dokonań tego roku. **(10)**

GRZEGORZ BRZOZOWICZ



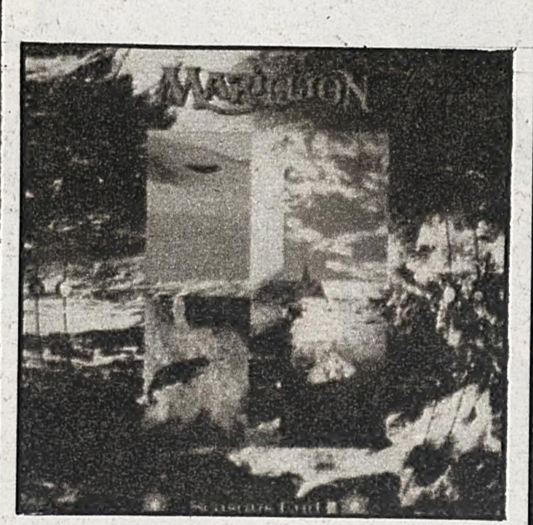
TEARS FOR FEARS
The Seeds Of Love
Fontana

Czekaliśmy prawie pięć lat. Kilka razy zdołaliśmy nawet pożegnać Tears For Fears, gdyż nic nie wskazywało na to, że pp. Orzabal i Smith zdecydują się znowu wejść do studia. Gdzieś przed dwoma laty doszły nas słuchy, że TFF pracują nad nową płytą. Czekaliśmy więc cierpliwie, potem niecierpliwie, w końcu straciliśmy nadzieję. Aż tu nagle...

Teledysk do utworu *Sowing The Seeds Of Love* wyglądał efektownie, a piosenka brzmiała jak kulawy brat *I'm The Walrus* z repertuaru słynnej czwórki z Liverpoolu. Ogólnie tyle w tym było TFF, co kot napłakał, nawet Orzabal zrobił sobie fryzurę à la Jamajka. Wreszcie ukazał się album, nad którym – ku memu zdumieniu – pracowali m.in. Phil Collins, Manu Katche, Robbie McIntosh i Puno Palladino. Bliskie spotkanie trzeciego stopnia z owocem ich wysiłków wypadło jednak ponuro. Powiem otwarcie: przy pierwszym słuchaniu nader skwapliwie korzystałem z przycisku „play next", który okazał się dobrodziejstwem odtwarzacza CD. Po chwili okazało się, że płyta dobiega końca. Zacząłem więc od początku i znowu nie dotrwałem nawet do połowy drugiej piosenki. Trzecia próba podejścia do tego albumu skończyła się podobnie, a po czwartej zrezygnowałem i przez kolejne trzy godziny oglądałem kreskówki z cyklu *Tom And Jerry*, aby dojść do względnej równowagi.

The Seeds Of Love to katalogowy przykład muzyki jakiej nie znoszę: pop-soul z elementami jazzowymi. Zbyt wielki wkład w jej powstanie miała czarnoskóra pianistka i wokalistka, Nicky Holland. Dziwi fakt, że produkcji podjął się David Bascombe, odpowiedzialny za wyśmienity LP Depeche Mode *Music For The Masses*. Jestem zdegustowany i zniesmaczony. Chyba odwiedzę jakiegoś doktora i skryję się w bezpiecznym cieniu „wysokiego stołka" (big chair)... (1)

TOMASZ BEKSIŃSKI



MARILLION
Seasons End
EMI

Gdy zabierałem się do słuchania tej płyty, czułem się wyjątkowo niewygodnie. Rok temu napisałem, że „Marillion bez Fisha to jak akwarium bez ryby" – miałem wrażenie, że znalazłem się nagle w takim akwarium: żadnej przyjaznej duszy obok, tylko woda i szkło, a ja przecież nie umiem pływać. Widok okładki zdawał się potwierdzać ponure obawy: dużo spienionej wody, na tym tle cztery fotki – liść na tle pustyni, jaszczurka (kameleon?) na tle ognia, kawałek czapki jestera na tle nieba (a cóż on tutaj robi?) i obrazek z okładki Fugazi utopiony (!) w mętnej wodzie... Całość spłodził już nie Mark Wilkinson, a Bill Smith (tak, tak, ten sam Bill Smith, autor jakże pomysłowych okładek do płyt Genesis – *Abacab, Three Sides Live, Genesis, Invisible Touch*). Do tego tytuł *Seasons End,* jakże wymowny... Mój dyskomfort pogłębiał fakt, że butelka wódki kosztuje ponad 10 tysięcy, a wytrawnego czerwonego wina nie uwidzisz nigdzie. Jak więc zabrać się w tej sytuacji do słuchania płyty firmowanej nazwą tak kiedyś bliską sercu jak Marillion?

Gdy już muzyka wypełniła pokój od podłogi po sufit, w ciągu 51 minut doświadczyłem praktycznie wszystkich uczuć: bólu, wzruszenia, rozpaczy, zadowolenia, obrzydzenia i bezsilnej wściekłości. Nadal nie wiem, czy śmiać się (dość szyderczo) czy płakać. Oto więc trzy różne podejścia do tej płyty.

Opinia 1 (obiektywna w miarę): doskonała muzyka, niekiedy wręcz rewelacyjna (*Seasons End, Berlin, Easter, The Space*). Wysoki – jak zwykle – poziom gry i produkcji. Przeciętny, raczej tuzinkowy i bardzo „amerykański" głos wokalisty. Płyta nierówna – obok utworów wybitnych są tu też ewidentne knoty (rekordy bije przebój *Hooks In You,* nie najlepsze wrażenie robi też pierwszy utwór *The King Of Sunset Town).*

Opinia 2 (subiektywna): jest tu materiał na poziomie najwybitniejszych klasyków Marillion (słuchając *Berlin* miałem łzy w oczach: czułem co Fish mógłby z tego zrobić) i po prostu, za przeproszeniem, szlag mnie trafia, gdy słyszę jak Steve Hogarth go marnuje. Opuśćmy zasłonę miłosierdzia na teksty. Ten facet pasuje do muzyki Marillion jak skisła marmolada do wytrawnego wina. Rok temu pp. Rothery i Kelly zapowiedzieli, że następca Fisha będzie się musiał legitymować oryginalnym głosem. Jeśli to ma być oryginalność, to nie pozostaje nic innego, jak z okna swobodnym wzbić się lotem. Kiedyś słuchałem nagrań Styx, Journey itp., wcale teraz nie pragnę, by coś takiego podpisywał Marillion. Kto wie, może faktycznie Ian Mosley powinien sięgnąć na próbę po mikrofon...?

Opinia 3 (od serca): zażenowanie. Czuję wstyd, że niektóre utwory mi się podobają. Jedno jest pewne: płyta ma wybitnie adekwatny tytuł. Moja przygoda z Marillionem dobiegła końca. The game is REALLY over.

Obiektywnie nawet **(6),** subiektywnie **(5),** od serca **(0).**

TOMASZ BEKSIŃSKI



STEVIE RAY VAUGHAN and DOUBLE TROUBLE
In Step
Epic

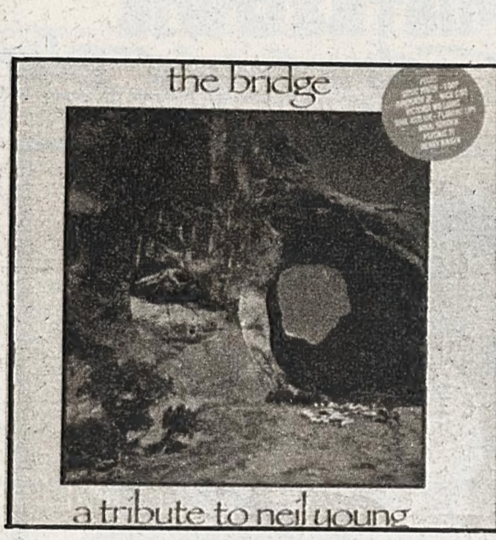
Pseudoproblem dotyczący Stevie Ray Vaughana jest prosty i oczywisty. Czy można go potępić za to, że od 5 lat gra swoje i czyjeś bluesy z jednakową brawurą i polotem? Co zyskałaby muzyka, gdyby SRV zaczął „poszukiwać"? Dlaczego mam nie cieszyć się kolejną, dobrą płytą niczym kolejną koszulą, która ma szablonowe dwa rękawy i kołnierzyk?

In Step, piąty solowy LP teksańskiego, gitarowego szpenia to płyta, o którą nie warto kruszyć kopii. Wiadomo nie od dziś, że SRV to przeciętny kompozytor i na tym froncie niewiele się zmieniło. Vaughan pisze szybkie albo wolne bluesy, czasami nieco swawolnie rockowe lub twistujące. Dbając o brzmienie ubarwił dwa numery – *Crossfire* i *Love Me Darling* partiami blachy, choć wiadomo, że każdy kupuje jego płyty dla jego solówek. A tych, na szczęście, nie brakuje! Są krótkie jak w *Scratch'n'Sniff* lub długie jak w *Leave My Girl Alone,* wolne lub szybkie, ale zawsze nienaganne od strony technicznej. Mam też wrażenie, że z albumu na album (oprócz płyty koncertowej) SRV staje się coraz mniej efekciarski, że wygrywa barwą a nie trickami. Tym samym jest bardziej stonowany i wyciszony, co może być też poczytane za finalne zwycięstwo z alkoholizmem i narkotykami. Odbiciem poważnych, osobistych problemów są zapewne gorzkie spostrzeżenia zawarte w utworach *Tightrope* i *Wall Of Denial.*

Klasą dla siebie jest jednak SRV w kompozycjach takich asów jak Willie Dixon czy Buddy Guy. *Let Me Love You Baby* i *Leave My Girl Alone* to chwytliwe tematy z mistrzowską wstawką SRV. I kiedy myślimy, że to już po wszystkim następuje blisko 9 minut niebiańskiej muzyki. Delikatna, misternie skonstruowana impresja *Riviera Paradise* zaskakuje swym jazzującym charakterem. Piękna melodia rozbudowana dzięki wielkiej wyobraźni i wrażliwości teksańskiego kowboja. Nokaut dla tych, którzy okrzyknęli SRV sprawnym, ale łatwym do przewidzenia bluesmanem.

Album *In Step* przypomina życie jego autora – kilka wzlotów i kilka upadków. (6)

ROMEK ROGOWIECKI



RÓŻNI WYKONAWCY
The Bridge – A Tribute To Neil Young
Caroline

Co pewien czas pojawiają się płyty zawierające kompozycje jednego autora, a wykonywanie przez różnych artystów. Ich celem jest: a) komercyjne wykorzystanie potencjału twórcy, b) zebranie na jednym albumie atrakcyjnych nazwisk, c) hołd składany danemu muzykowi. Oczywiście, niezależnie od kategorii, mogą to być wydawnictwa mniej lub bardziej udane. *The Bridge* należy do trzeciej grupy, gdyż Neil Young w tym dziesięcioleciu raczej niweczył wcześniejszą ogromną popularność, a wykonawcy uczestniczący w powstaniu tego projektu wprawdzie należą do elity, ale elity muzyki zdecydowanie niekomercyjnej. Spodziewałem się, że większość muzyków będzie się wywodzić z nurtu tradrockowego, dla którego Kanadyjczyk był niekwestionowanym wzorem. Ku memu zdziwieniu jedynie formację Dinosaur Jr. można zaliczyć do dłużników Younga, a raczej brzmienia wypracowanego przez grupę Crazy Horse. Resztę stanowią w większości wykonawcy dobrze znani, lecz tworzący w często bardzo odległych stylistykach: Nick Cave, Pixies, Sonic Youth, Psychic TV. Dwa zespoły są dla mnie całkowicie nieznane (Flaming Lips, Victoria Williams And The Williams Brothers), a dwa inne – dopiero od niedawna zdobyły szersze uznanie: amerykański Soul Asylum i bardzo chwalony, brytyjski Loop. Szczególną uwagę zwracają jeszcze: kombatant awangardy, gitarzysta Henry Kaiser i były członek formacji Crime And The City Solution – Nicky Sudaen.

Wybór utworów obejmuje w zasadzie cały okres twórczości Younga, a najwięcej piosenek (trzy) pochodzi z albumu *After The Gold Rush.* Najtrudniejsze zadanie postawił sobie Sonic Youth, wybierając *Computer Age,* pochodzący z elektronicznej, zdecydowanie nieudanej fazy w twórczości Kanadyjczyka i niestety nie zdołał stworzyć zachwycającej interpretacji. Część zespołów starała się odtworzyć klimat piosenek Younga i najlepiej udało się to Pixies *(Winterlong)* i Loop *(Cinnamon Girl).* Dla innych kompozycje Younga stanowiły tylko punkt wyjścia. Nick Cave z jednego z największych hymnów muzyki hippisowskiej *Helpless* stworzył prawdziwe dekadenckie arcydziełko. Równie cudownie wypadł *Only Love Can Break Your Heart* w wykonaniu Psychic TV, choć grupa powstrzymała się od typowych dla niej odjazdów. Dinosaur Jr. z *Lotta Love* zrobili ciężką do rozpoznania hardcore'ową miniaturę.

The Bridge może zadowolić zarówno wielbicieli talentu Younga, jak również tych, którym nazwisko Kanadyjczyka nic nie mówi. Jednocześnie, album stanowi zamkniętą całość, w której każda piosenka wynika z poprzedniej. Cały projekt był pomyślany jako hołd dla Younga, a dochód z niej przeznaczono dla szkoły The Bridge, w której uczą się dzieci opóźnione w rozwoju. W sumie – artystyczne znaczenie przerosło pierwotne zamierzenie. **(8)**

GRZEGORZ BRZOZOWICZ



MISTRZOWIE *drugiego planu*



1. Imię, nazwisko, ksywa, rocznik.
– Alan (Sors) Baster, 1962.

2. Praca, gdzie, od kiedy?
– Chwila Nieuwagi (79–82), Menes (81–83), Turbo (83–85), Piotr Zander (85–86), od 1986 r. Bajm.

3. Pierwsza kupiona płyta.
– SBB Live.

4. Ulubieni muzycy, dlaczego?
– David Lee Roth, Huey Lewis, Steve Gadd, Osmar Hakim, Dave Wetki, Ronald Shannon Jackson.

5. Na jakich grasz instrumentach?
– Perkusja, fortepian.

6. Największa satysfakcja z pracy.
– Koncert Jarocin '84 w sekcji z Pawłem Jastrzębskim. Występ z Robertem Podgajnym.

7. Największa plama.
– Zaduszki '82 w Krakowie.

8. Szkodnik polskiego rocka?
– Grono producentów i realizatorów dźwięku.

9. Marzenie: z kim grać lub nagrywać?
– David Lee Roth, Huey Lewis, AC/DC, Metallica.

10. Czy wolisz być muzykiem studyjnym czy koncertowym?
– Satysfakcję z pracy w studio mam tylko wtedy, gdy gram na instrumencie akustycznym.

11. Ulubione zajęcie?
– Sex, auta, bębny, narty.

12. Kobieta.
– Jeśli zapewnia komfort psychiczny i na co dzień udowadnia lojalność, to pomaga w pracy – Magda.

13. Rady dla młodych muzyków.
– Ćwiczyć puls, czas i motorykę.

Ankietował
JACEK WAROWNY

She

Z gdańską grupą SHE
rozmawia Arkadiusz Pragłowski

W POSZUKIWANIU ZDROWEGO ROZSĄDKU

– Od pewnego czasu o zespole She znów jest głośno. Wystąpiliście na kilku znanych festiwalach, nagraliście płytę, podpisaliście kontrakt z pewną poważną firmą. Co działo się z wami wcześniej, gdy nie można was było praktycznie nigdzie zobaczyć ani usłyszeć?

– Zawsze chcieliśmy grać koncerty, które nie schodziłyby poniżej pewnego profesjonalnego poziomu, który obowiązuje gdzie indziej, a w Polsce nie. Tu chyba nikomu nie zależy na zapewnieniu dobrego sprzętu i zawodowych warunków do grania. Jeśli mamy do wyboru zagrać koncert, z którego nie bylibyśmy zadowoleni i nie zagrać wcale, zawsze wybieramy to drugie. Zespół, koncertując, utrwala swój wizerunek u odbiorców – dlaczego w takim razie mielibyśmy dążyć do tego, aby ludzie kojarzyli nas z huczącymi wzmacniaczami i tekturową perkusją. Publiczności nie interesują przyczyny – po prostu koncert albo jako całość jest dobry, albo nie. Dlatego postanowiliśmy grać wyłącznie koncerty dobre i występujemy tylko wtedy, gdy zostają stworzone do tego warunki.

– To dlatego częściej można was zobaczyć w ZSRR niż w Polsce?

– Między innymi dlatego.

– Ale obecność na scenie to tylko część działalności każdego zespołu...

– Oczywiście. Pracujemy praktycznie cały czas i choć nie było może o nas słychać, myślę, że już niedługo dadzą o sobie znać efekty tej pracy.

– Na przykład?

– Na przykład nagraliśmy płytę. Zajęło nam to trzy miesiące – czyli bardzo długo jak na polskie warunki, ale dzięki temu mogliśmy to zrobić dokładnie tak, jak chcieliśmy.

– To musiało kosztować straszne pieniądze! Kto zapłacił za tak długi pobyt w studio?

– Jest to wynik tej właśnie naszej działalności, której nie widać, a która potem procentuje. W Polsce pokutuje chore myślenie, że rock musi być biedny, połatany i broń Boże nie można na nim zarabiać pieniędzy. Jakie są tego efekty wszyscy widzimy. Natomiast jakie są efekty innego podejścia, można zobaczyć na przykładzie działalności Grzegorza Ciechowskiego. Jest to jedyny u nas człowiek, który dba o stronę – nazwijmy ją – propagandową tego, co robi jako artysta. Bo zastanówmy się, co można osiągnąć finansowo i artystycznie, poświęcając się wyłącznie koncertom. Nic.

– A nie sądzicie, że lekceważąc polską publiczność, nigdy nie zostaniecie przez nią zaakceptowani?

– Nigdy nie lekceważyliśmy polskiej (ani żadnej innej) publiczności. Właśnie dlatego nie gramy dla nich koncertów, które mogłyby wypaść źle. Nie z naszej winy, nie naszą przecież jest winą, że nie ma w Polsce ludzi, którzy potrafiliby przygotować je dobrze. Poza tym nie ma się co oszukiwać – my chcielibyśmy mieć z czego żyć, a z koncertów wyżyć się nie da.

– Jak w takim razie radzą sobie inne zespoły?

– Widzę, że mi nie wierzysz, a to jest bardzo prosty rachunek. W Polsce jest mniej więcej 40 miast, w których, ze względu na liczbę potencjalnych słuchaczy, można robić opłacalne koncerty. 40 koncertów rocznie (gdyż naszym zdaniem nieuczciwe jest występowanie w jednym miejscu dwa lub więcej razy w roku z tym samym programem, a programu nie zmienia się co pół roku) to daje ok. miliona zł do podziału na cały zespół. Przecież to śmieszne. Dlaczego trzeba grać za granicą i próbować innych sposobów na sprzedanie własnej muzyki.

– Kierujecie swoją karierą w zdecydowanie inny od większości polskich kapel sposób. Czy mógłbyś zdradzić, jakie są te wasze metody?

– Na razie koncentrujemy się na zebraniu profesjonalnych, w zachodnim rozumieniu tego słowa, materiałów promocyjnych. W Polsce nikogo na to nie stać (nas też), więc musieliśmy poszukać sponsora.

– Znaleźliście BUP...

– Tak, dzięki niemu zagraliśmy na przykład w Sopocie, co nam dało wiele w sensie promocyjnym...

– Podajcie jakieś konkretne propozycje.

– Telefonów było sporo – głównie ze Związku Radzieckiego.

– To nie jest ta strona świata, w której dzieją się sprawy najważniejsze w muzyce...

– My mamy na to nieco inne spojrzenie. Nie przypadkowo tak wiele zespołów z Zachodu jeździ teraz na koncerty do Moskwy lub Leningradu. Oczy całego świata są zwrócone na ten kraj i grając tam można zostać zauważonym również gdzie indziej. A poza tym jest to kraina niezwykle ciekawa.

– To znaczy, że chcecie zdobyć Zachód via Wschód?

– My nie chcemy zdobywać. Po prostu dążymy do celu, który sobie wymyśliliśmy. A że nie możemy realizować wszystkich zamierzeń w naszym kraju to już inna sprawa. Nie jest naszą winą, że w tej chwili o wiele łatwiej (i taniej) jest nagrać profesjonalne promocyjne video w Moskwie niż w Warszawie. Pewnych rzczy nie można przeskoczyć.

– Martwi mnie w tym wszystkim jedna sprawa – od ponad dwóch lat podejmujecie działania promocyjne, które mają procentować w bliżej nieokreślonej przyszłości, ciągle zbieracie siły, ale nie wykonujecie decydującego ruchu. Wciąż brak wymiernych efektów. Nie boicie się, że wkrótce staniecie się zespołem starym, nie do zaakceptowania dla młodego odbiorcy – po prostu stracicie swoją szansę?

– Wiesz, gdy zaczynaliśmy, tak naprawdę nie mieliśmy wiele do przekazania. Może to nawet nieźle brzmiało, ale było strasznie płytkie, nijakie. Nasza muzyka narasta, staje się doskonalsza i wszystkie nasze działania zmierzają do tego, żeby ją sprzedać w tym momencie, w którym nie będziemy mieli najmniejszych powodów do wstydu.

– Ale możecie mieć wtedy po 40 lat...

– A gdyby nawet to co – jest wielu 40-latków, którzy robią wspaniałą muzykę i są na topie. Ale nie przesadzajmy z tym wiekiem – nasz wokalista ma 19 lat i chyba trudno go uznać za weterana. A poza tym muzyka to nie wyścigi i nie można jej traktować w ten sposób, bo to prędzej czy później się zemści.

– Gdy zaczynaliście, nikt w Polsce nie grał tak jak wy, dziś pojawiło się już sporo kapel grających pokrewną muzykę – nie boicie się konkurencji?

– Na świecie istnieje jeszcze więcej takich zespołów, ale czy to jest powód, żeby przestać grać, siąść gdzieś w kącie i zapłakać się na śmierć? Chodzi o to, aby robić swoje jak najlepiej. Skoro to będzie dobre, ktoś kupi płytę i będzie jej słuchał. I to jest dla mnie miernik wartości tego, co robię.

– Skoro jesteśmy przy płycie, to powiedzcie trochę o zawartości waszego pierwszego krążka, który właśnie trafił do sklepów.

– Ci, którzy oczekują przebojów będą chyba trochę zawiedzeni, jeśli jednak ktoś lubi wsłuchiwać się w muzykę i odkrywać w niej wciąż nowe światy to powinien być usatysfakcjonowany. Pracowaliśmy nad nią wystarczająco długo, aby wszystko dokładnie przemyśleć, dlatego efekt jest chyba interesujący.

– Przyznam się, że zabrakło mi na tej płycie kilku utworów znanych z koncertów.

– Hmm, prawdę mówiąc nam się już trochę znudziły. Chodziło o to, aby płyta była jednolita brzmieniowo i stylistycznie, dlatego musieliśmy zrezygnować z niektórych numerów. Być może znajdą się one na albumie koncertowym.

– Wszystko co mówicie sugeruje, że grupa konsekwentnie rozwija się i pewnie, bez wahań i wstrząsów kroczy własną drogą. Jak pogodzić to z faktem, że tak często zmienia się jej skład?

– Właśnie dlatego, że wciąż chcemy się rozwijać. Po prostu nasze myślenie i działanie musi być całkowicie podporządkowane muzyce, jeśli dzieje się inaczej rozstajemy się (czasem po to, by po pewnym czasie znów pracować razem – tak jak to było z Mańkiem, naszym gitarzystą). Wszystko to ma na celu ochronę zespołu przed rozpadem. Nie możemy sobie na to pozwolić. Włożyliśmy zbyt wiele pracy i pieniędzy w to, co robimy, żebyśmy mieli w ten sposób zakończyć działalność. She to firma, która trwa, a nie zabłyśnie i zgaśnie.

– Miejmy nadzieję, że kiedyś także zabłyśnie. Dziękuję za rozmowę. She gra obecnie w składzie: Teel (voc), Radek Zblewski (dr), Ireneusz Mazurek (bass), Jan Haase (g), Mariusz Kotwicki (g – pitchrider), Andrew (detonator – kbrds).

SHE

Fot. ROBERT KRÓL



Pełna dyskografia:
H. Budd, P. Collins, Cream, Dire Straits, R. Fripp, E. Froese, J-M. Jarre, King Crimson, Pink Floyd, R. Schröder, K. Schulze, Tangerine Dream, Vangelis, R. Waters. Inni.

Wypożyczalnia Płyt Kompaktowych dla Koneserów

Warszawa, Modzelewskiego 46/50/428
tel. 47 55 94

Przegrywamy na kasety magnetofonowe, udostępniamy sprzęt, wypożyczamy płyty.

BR–711

Nagrania z płyt kompaktowych na kasety.

Music Collection- Sławomir Wąsik

26-609 Radom 11
skr. poczt. 46

HEAVY METAL, ROCK, POP

BR-15

STUDIO XYMOX FIRMY ELKOMED

Nowości!

OFERUJE:

★ wypożyczanie płyt kompaktowych
★ nagrywanie kaset magnetofonowych

Najkrótsze terminy!

Przyjmujemy zamówienia drogą pocztową
Wysyłamy katalogi

15-879 Białystok ul. K. Wyszyńskiego 2/35 tel. 27-100 w. 71

BR–555

The BEATLES – od stycznia co miesiąc w „MM”

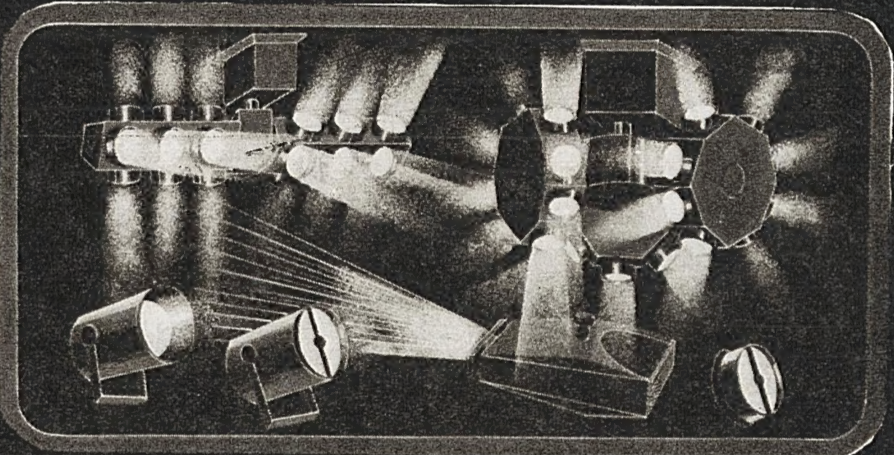
---

lightblack

WYTWÓRNIA URZĄDZEŃ DYSKOTEKOWYCH ESTRADOWYCH ORAZ KOMPOZYCJI AUDIOWIZUALNYCH

91-071 Łódź, ul. Ogrodowa 52, tel. 32-79-32, tlx 884713

Urządzenia wirujące
walce ORION
krążki TRYTON
NOWOŚĆ – KSIĘŻYCOWY KWIAT
gwarantują
znakomitą zabawę
w karnawale '90!



BR-730

Music Market

UWAGA! Muzycy
realizatorzy dźwięku
studia nagrań
domy kultury
instytucje...

MUSIC MARKET CORPORATION

oferuje swoje usługi w zakresie
eksportu–importu,
kupna–sprzedaży, komisu,
pośrednictwa, wymiany
instrumentów, aparatury oraz profesjonalnego sprzętu muzycznego i audiowizualnego produkcji renomowanych firm zagranicznych i krajowych.
Proponujemy państwu:
szeroki asortyment niezawodnego sprzętu
rzetelną fachową obsługę
konkurencyjne ceny
Zapraszamy!
02-344 Warszawa
ul. Częstochowska 8/2, tel. 236 154

BR–721

P.P.U. „PST" Sp. z o.o. Dom Usługowo-Handlowy

PST-DUH

oferuje

profesjonalny sprzęt elektro-akustyczny
wzmacniacze mocy typ PST A-602 i A-402
equalizery 27 kanałowe i 2x10
cross-overy dwu- i trzydrożne
konsolety mikserskie
okablowanie
inne urządzenia, ich naprawę i konserwację

gwarancja 12 miesięcy – pełny serwis

02-928 Warszawa, ul. Okrężna 3, telefon 42-44-30

BR-707

C★C★S studio nagrań C★C★S

Najnowocześniejszy sprzęt m.in. 16-śladowy magnetofon, 24-śladowy sequencer. Uwaga: nowy mikser Soundcraft 6000 (32–16–2). Wszelkie efekty. Cyfrowy master. Dotychczas nagrywali m.in.: Maanam, Perfect, Urszula (CD), Moskwa, Kult, Klaus Mittfoch, Opera, D. Rinn, Walk Away, J. Strobel, Osjan, Jerzy Satanowski, P. Gintrowski... Ceny do uzgodnienia.

Profesjonalne studio nagrań, Warszawa, ul. Strawczyńska 4, tel. 37 73 61

BR-178



Podobno Św. Mikołaj przynosi prezenty tylko grzecznym dzieciom. Każdy kto poluje na kolejny numer „MM", a potem traci wzrok by przeczytać genialny tekst na, powiedzmy, mocno niebieskim podkładzie zasługuje na prezent. Wezwany przez nas faxem dyżurny Mikołaj (zgadnijcie kto to?) spisał się całkiem nieźle. Przyniósł w prezencie pięć kaset/płyt. My ze swej strony dokładamy przedmiot pożądania każdego fana rocka w PRL – T-shirt Magazynu Muzycznego na zbliżające się gorące lato. Ten prezent dotrze więc do Was nieco później. Odpowiedzi – tylko na kartkach pocztowych – mogą napływać do 15 stycznia. WESOŁYCH, ROCK AND ROLLOWYCH ŚWIĄT!!



